

Czesław Ryszka

# OBRAZY KOŃCA CZASÓW

Oficyna Wydawnicza 4K

Bytom 1993

*„Pryjdzie dzień, kiedy także i Ziemia jako wielka skamielina krążyć będzie wokół Słońca, cała biała. Nie będzie na jej powierzchni żadnego ruchu. W jej wnętrzu spoczywać będą nasze kości”.*

*Teilhard de Chardin*



wigilijny wieczór 1938 roku CBS radio w Stanach Zjednoczonych nadało słuchowisko oparte na książce G. Wellsa „Wojna światów”. Aktorzy zagrali tak wspaniale, że kilka milionów ludzi w panice wybiegło na ulicę myśląc, że nastąpił koniec świata. Jak pamiętamy, rzecz dotyczy lądowania Marsjan. Z metalowych potworów, statków kosmicznych, wydobywał się dym i ogień, które dusiły i paliły wszystko wokół. Tylko w jednej potyczce 7 tysięcy żołnierzy zostało zdeptanych i spalonych żywcem. Efekty dźwiękowe wykorzystane w audycji były tak przejmujące, że nawet ci, którzy nie wpadli w panikę, pomyśleli, że gdy rzeczywiście nadejdzie koniec świata, scenariusz będzie podobny. W Pittsburgu jakaś kobieta z buteleczką trucizny w ręce krzyczała na ulicy: „Wolę umrzeć od razu, aniżeli oglądać, co będzie dalej”. Tysiące ludzi wypełniło też kościoły, aby w nich oczekiwać na dalszy bieg wydarzeń. Jak niewiele było potrzeba, aby rozbudzić emocje związane z końcem świata.

Schyłek drugiego tysiąclecia, w jakim żyjemy, zapowiada specjalny klimat dla rozważań nad tym zagadnieniem. Każda okrągła data w minionych wiekach podsyciała niepokój, zaostrzała sytuację międzynarodową. W połowie naszego tysiąclecia doprowadziło to do wybuchu Reformacji, a pięćset lat wcześniej, do wielkiej schizmy, od-

łączenia się Wschodu z centrum w Bizancjum od Zachodu czyli Rzymu.

Obecny koniec tysiąclecia zastaje świat w stanie osobliwego zamieszania i podziału. Spowodował to głównie upadek „imperium zła”, jak określono były Związek Radziecki. Rozsypał się jeden z największych totalitaryzmów, może nie w historii świata, ale odznaczający się do niedawna cechą „wieczności”. Niestety, świętowanie trwało krótko. Choć spełniło się pragnienie milionów prześladowanych, szybko jednak opadła z ludzi radość, a wkraść się zwyczajny strach o dzień jutrzejszy. Wywołał go chaos gospodarczy i polityczny, konflikty narodowościowe zamieniające się w bratobójcze wojny.

Rozpad Związku Radzieckiego nie przyniósł końca historii komunistów, czego się spodziewano. Sterowane przez neokomunistów masy wychodzą na ulice i złorzeczą przeciw wolności i demokracji. Mało kto orientuje się w tym zamęciu. Może więc trafne jest postrzeganie w upadku współczesnego Babilonu, znaku nadejścia czasów ostatecznych! Spełniła się w zasadzie przepowiednia z Fatimy o nawróceniu Rosji. Można oczekiwać, że wypełni się również wizja św. Maksymiliana Kolbego, który w czasie podróży przez Moskwę, widział statwę Niepokalanej na najwyższej wieży Kremla.

Wśród innych znaków końca ze Wschodu, wymienia się jeszcze dwa: możliwość zagłady nuklearnej z powodu nie kontrolowanego dostępu do tej broni przez mało doświadczonych polityków, oraz — przestarzałe elektrownie i reaktory atomowe, grożące w każdej chwili awarią. Są to zagrożenia na skalę kosmiczną, o czym nie wszyscy wiedzą, ale większość przeczuwa.

Znaki końca napływają również z Zachodu. Europa przestaje być kontynentem chrześcijańskim. W krajach o najwyższej kulturze szerzy się najbardziej radykalny materializm i ateizm. Są to kraje rozbitych rodzin, maso-

wych sztucznych poronień, moralnego nihilizmu. Obojętność, konformizm moralny — to są cechy szczególne tej postawy. Kradzież samochodu, czy jazda tramwajem bez biletu, są bardziej potępiane, aniżeli usuwanie ciąży, eutanazja czy samobójstwo.

Degrengoladę moralną pogłębia mit nowej, powszechnej religii nazwanej *New Age* (Nowa Era), która ma zakończyć dwutysiącletnią historię chrześcijaństwa. To właśnie sekta *New Age* z powodzeniem propaguje astrologię, magię, parapsychologię... Ta ogromna fala irracjonalizmu przenika wszystko, ponieważ panuje w środkach przekazu — najsilniejszej władzy na świecie.

Znaki z Zachodu to również wirus *HIV*, siejący strach, uważany w szerokich kręgach za karę Bożą. Można do tego dodać zagrożenie ekologiczne, dalej, strach przed manipulacjami genetycznymi, głód i przeludnienie w krajach Afryki, Azji czy Ameryki Południowej. To wszystko tworzy scenariusz końca świata, przewidywany, i w zasadzie już teraz możliwy.

Kiedyś Jean Guilton napisał, że ludzkość posuwa się drogą ku temu, czego nie da się przewidzieć. Dawniej można było oddzielić los ludzi od losu ludzkości i powiedzieć sobie, że jeśli ludziom się nie udało, to ludzkość mimo wszystko kroczyła do przodu. Tę nadzieję w naszych czasach zniweczyła Hiroszima. Dzisiaj do scenariusza końca ludzkości można dopisać więcej zagrożeń. Obok zagłady nuklearnej wyrosła bomba ekologiczna rażąca na gigantyczną skalę.

Fizycy zapewniają, że taki kres musi nastąpić. Domaga się tego druga zasada termodynamiki o rozpadzie energii i wzroście entropii. Ale mówią też, że energii wystarczy na około 4 miliardy lat, czyli że można spać spokojnie.

Straszą natomiast astronomowie. Nie wykluczają, że któraś z gwiazd może spowodować niewyobrażalną katastrofę kosmiczną, mogącą spopielić nasz glob już jutro.



Jakaż ogromna rozpiętość czasu dzieli obydwie granice życia.

„Przyjdzie dzień, kiedy także i Ziemia jako wielka ska-mielina krążyć będzie wokół Słońca, cała biała. Nie będzie na jej powierzchni żadnego ruchu. W jej wnętrzu spoczywać będą nasze kości.” Są to słowa Teilharda de Chardin, który spoglądając na księżyc widział w nim „nieubłagane zwierciadło naszej przyszłości”.

Pytanie o czas końca świata jest zasadne, ale nikt nie może podać na nie wyczerpującej odpowiedzi. „*O dniu owym albo o godzinie, nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec. Strzeżcie się, czuwajcie, bo nie wie-cie, kiedy czas nastanie*” (Mk 13, 32).

Czasem z lękiem obserwuję, jak papież Jan Paweł II spieszy się. Czy to jego cecha osobowa, czy też jakieś piętno Kościoła, nacechowanie myśleniem o końcu życia człowieka i świata. Tak mi się wydaje, jakby ten Papież wiedział znacznie więcej, niż wszyscy politycy i naukowcy. Ten *homo mysticus* jakby szukał możliwości ocalenia, woła więc do narodów i do sumienia każdego człowieka, aby otworzyć się na znaki czasów.

Jeśli ktoś nie uważa Papieża za autorytet moralny, niech pomyśli o tym, co napisał filozof kultury, bliski nawet marksistom, kanadyjczyk Marshall Mac Luhan: „Żyjemy w porządku apokaliptycznym. Kiedy zanika mo-żliwość relacji do prawa naturalnego, to co pozostaje, to prawo nadnaturalne. Mamy szansę odnalezienia własnego znaczenia tylko na poziomie supernaturalnym. Taki już jest dziwny los człowieka wieku elektronicznego, że albo jest religijny, albo pozostaje niczym” (*Teksty* 2/1979 s. 139).

Nie twierdzę w tej książce, że czeka nas wkrótce koniec świata. Natomiast wszystko wskazuje na fakt końca cza-sów, na zbliżanie się człowieka i świata do punktu krytycznego.



## RZEMIJA POSTAĆ TEGO ŚWIATA





w. Justyn, męczennik, tłumacząc zawiedzionym chrześcijanom, dlaczego nie nadchodzi zapowiedziany koniec świata, pisał, że „Bóg ma wzgląd na wschodzące chrześcijan nasienie i w nim widzi przyczynę zachowania świata” (*II Apologia*). W pierwszych wiekach po Chrystusie można było takim wyjaśnieniem zamknąć sprawę. Dzieje chrześcijaństwa dopiero się rozpoczynały. Dzisiaj nikt nie przyjąłby takiego wytłumaczenia. Każdy, kto śledzi przemiany w Kościele i teologii, może dojść do przekonania, że dane jest nam żyć w schyłkowej fazie chrześcijaństwa, w jakimś okresie posthistorycznym, w końcu czasów.

Wszystko już było. Wiara w postęć i marksistowskie proroctwa o ziemskiej szczęśliwości. Wiara w naukę i zwycięstwo nad śmiercią. Nadzieja przeciw nadziei. Jutro będzie nie do zniesienia. Powtórka dziejów nie jest możliwa.

Jak zauważa Guitton, „przemiany przedhistorycznej epoki trwały miliony lat. Przejście ze Średniowiecza do czasów współczesnych trwało trzy lub cztery wieki. Lecz przejście od broni konwencjonalnej do broni atomowej zajęło tylko czas jednego pokolenia. I nawet ta broń atomowa co dziesięć lat jest odnawiana. Komputery z 1941 roku wydają nam się równie śmieszne, jak pierwsze aeroplany. Wszystko odbywa się tak, jakbyśmy szli coraz

to szybciej, w stronę jakiegoś *progu*” (w: *Marta Robin*, Częstochowa 1991, s. 167).

Już nie czeka nas żaden etap ewolucji, a raczej ostatnia eschatologiczna faza. Będzie to trwanie pośpieszne, niezwykle skoncentrowane, bogate w nadzieję. Wybitny teolog Teilhard de Chardin zauważał „analogię pomiędzy sytuacją ziemi przy końcu trzeciorzędu, a religijną sytuacją obecnego świata. Gdyby tak milion lat temu pewien obserwator przyglądał się w celu klasyfikacji naczelnym, mógłby on drogą indukcji wywnioskować, że pewna rodzina wielkich małp z ludzką głową nosiła w sobie obraz przyszłości. W podobny sposób możemy dostrzec w obecnym wszechświecie pierwsze zarysy nowego chrześcijaństwa, lub raczej jakiejś dokonanej religii, która nie byłaby niczym innym, jak tylko w pełni rozwiniętym katolicyzmem”.

Koniec czasów, według Biblii, ma być objawieniem się pełni chwały Chrystusa, czyli takim punktem Omega, o czym pisał piękne traktaty Teilhard de Chardin. Jednak ten ostatni akt dramatu człowieka i świata jest jak mroczny tunel. Nic nie jest w stanie go rozświetlić na tyle, aby wiedzieć co nas czeka. Pozostaje tylko strach i wiara. Tych dwoje. Niektórzy żyją tylko strachem. Tym będzie jeszcze trudniej.

## Dzień Pański

**W** bibliotece domowej mojego ojca na eksponowanym miejscu stała opasła księga Starego i Nowego Testamentu. Było to wydanie ilustrowane, posiadające dodatkowo dołączoną księgę Apokalipsy św. Jana Apostoła wraz z rycinami Alberta Dürera. Tekst był dla mnie całkowicie nie do pojęcia, ale trafiał do wyobraźni, podobnie jak baśnie lub bajki, dlatego jako chłopiec wertowa-

łem te karty, wycierałem osiadający na nich kurz, starałem się bodaj zrozumieć te straszne obrazki, pełne zamachnięć miecza, ryku dzikich zwierząt, srogich kar spadających z nieba na rozpustną ziemię. Pamiętam jak dzisiaj, choć minęło już blisko czterdzieści lat, że na tutełowej stronie Księgi Apokalipsy były ręcznie dopisane słowa: „Dzień Pański przyjdzie jako złodziej, zjawi się jako grom z nieba”.

Kto te słowa dopisał? Czy stanowiły memento kogoś, kto poszukiwał w tej księdze odpowiedzi na pytania o los człowieka i świata? Czy je odnalazł?

Myśląc o tym kimś, zadawałem to pytanie biblistom, ale z pewnym zdziwieniem konstatowałem, że oni nie lubią rozmów o końcu świata. Tylko nieliczni z nich zajmują się analizą Księgi Apokalipsy. Tak mówiąc szczerze, woleliby, aby jej nie było w Biblii. Objawienie św. Jana, czyli krótko mówiąc Apokalipsa Janowa, spowodowała w dziejach wiele zamieszania. Srodze zawiedli się na niej ci, którzy szukali tam scenariusza końca świata. Choć to księga natchniona, to jest w niej mnóstwo tekstów dodanych, opisów historycznych i legend, literackich opowieści czy spisów czynności liturgicznych. Nie znajdziemy w niej reportażu o ostatnich dniach naszej planety, ponieważ „adresatem” znajdujących się tam scen grozy nie jest ludzki umysł, wiedza, nauka, ale nasze serce, wyobraźnia, sumienie.

We wspomnianych rycinach Dürera centralne miejsce zajmuje osoba Mesjasza, który jest symbolem czasów ostatecznych. Można napisać, że od dnia powołania przez Jahwe Abrahama oraz Narodu Wybranego, rozpoczęły się czasy oczekiwania na przyjście Mesjasza. Minęły jednak dwa długie tysiąclecia, zanim spełniły się mesjańskie zapowiedzi. Po wielu wiekach „niebiosa spuściły rosę z nieba, zlały z deszczem Sprawiedliwego: ziemia się otworzyła i zrodziła Zbawiciela” (por. Iz 45, 8).

Zapowiedzi było wiele i rozmaitych. Niektóre konkretne, inne obrazowe. Np. patriarcha Jakub na łożu śmierci

powiedział do syna prorocze słowa: „*Nie będzie odjęte berło od Judy, ani laska pasterska spośród kolan jego, aż przyjdzie ten, do którego ono należy i zdobędzie posłuch u narodów*” (Rdz 9, 49). Wypełniło się to za czasów króla Heroda Wielkiego, który nie był z pokolenia Judy, natomiast Mesjasz, Jezus, pochodził z rodu Dawida. Jego narodzenie z dziewicy zapowiedział siedemset lat wcześniej prorok Izajasz (Iz 7, 14), zaś prorok Micheasz wskazał, że miejscem narodzenia będzie Betlejem: „*A ty, Betlejem Efrata, najmniejsze jesteś spośród plemion judzkich! Z ciebie mi wyjdzie Ten, który będzie władał w Izraelu, a pochodzenie Jego od początku, od dnia wieczności*” (Mi 5, 1).

Wśród tzw. prorostw mesjańskich jest też zapowiedź proroka Daniela, który operując biblijnym pojęciem tygodnia na określenie siedmiu lat pisał: „*Od chwili, kiedy wypowiedziano słowo, że nastąpi powrót i zostanie odbudowana Jerozolima, do Władcy Pomazańca siedem tygodni i sześćdziesiąt dwa tygodnie, zostaną odbudowane dziedzińce i wał w czasach jednak pełnych ucisków. A po sześćdziesięciu dwóch tygodniach Pomazańca zostanie zgładzony (...). Miasto zaś i świątynia zginą wraz z wodzem, który nadejdzie.*” (D 9, 25—27).

Stało się tak, jak prorok przepowiedział. Żydzi wrócili do Palestyny z niewoli babilońskiej w 453 roku przed Chrystusem, odbudowali Jerozolimę oraz świątynię. Kiedy przyszedł Mesjasz, Chrystus, ukrzyżowano Go po trzech latach działalności, a następnie w wyniku powstania Żydów przeciw Rzymianom legła w gruzach Jerozolima, zburzona przez Tytusa w 70 r. Podane przez proroka Daniela dane liczbowe zgadzają się co do joty. Czy na tej podstawie można wnioskować i czynić inne wyliczenia, zwłaszcza dotyczące dnia powtórnego przyjścia Mesjasza w czasach ostatecznych? Nie sędzę.

Zanim jednak do tego zagadnienia przejdziemy, warto przywołać pewną symboliczną nazwę, która kilkakrotnie

pojawia się w Biblii. Chodzi o hebrajską nazwę Har Megiddo, starożytną miejscowość leżącą w dolinie Ezdrelonu, miejsce wielu krwawych bitew. Tu między innymi faraon Tutmozis III zwyciężył koalicję królów Syrii i Palestyny, poddając miasto panowaniu egipskiemu. Króla Megiddo pokonał Jozue, a Salomon rozbudował Megiddo i umocnił. Stało się odtąd stolicą okręgu. Tutaj zmarł zraniony w bitwie król judzki Ochozjasz, poległ również w bitwie z faraonem Neko — król Jozjasz.

Megiddo leży niedaleko góry Karmel, gdzie m.in. prorok Eliasz kazał zgromadzić wszystkich proroków bożka Baala, a następnie ich wymordował (por. 1 Krl 18, 19—39). Krew fałszywych proroków i kapłanów popłynęła potokiem Kiszon, biegnącym u podnóża szczytu Al-Muhraqa w paśmie Karmelu.

Tak więc Megiddo stało się do pewnego stopnia symbolem ostatecznej rozprawy Boga ze złem. Pisze o tym prorok Zachariasz słowami: *„W owym dniu sprawię, że wszystkie ludy, które targnęły się na Jerozolimę, będą zniszczone. Na dom Dawida i na mieszkańców Jeruzalem wyleję Ducha pobożności. Będą patrzeć na tego, którego przebili i boleć nad nim, jak się boje nad jedynakiem i płakać będą nad nim, jak się płacze nad pierworodnym. W owym dniu wielki płacz będzie w Jeruzalem, podobny do płaczu w Hadad-Rimman na równinie Megiddo!”* (Zach 12, 9—11).

Nazwa Armagedonu pojawia się dalej w Apokalipsie. Św. Jan pisze: *„I zgromadził ich na miejsce zwane po hebrajsku Har-Magedon”* (Ap 16, 6). Tak jak w historii, Megiddo stało się miejscem rozprawy Boga z bałwochwalcami, a także klęski królów judzkich, którzy sprzeniewierzyli się Jahwe, tak na końcu czasów Stwórcy rozprawi się ze złem. Megiddo (Armagedon) symbolizuje więc niewyobrażalny, apokaliptyczny kataklizm. Stanie się to w dniu, który będzie należał do Jahwe. Pisze o nim prorok Iza-

jasz: „*Oto dzień Jahwe nadchodzi okrutny, najwyższe wzburzenie i straszny gniew, żeby ziemię uczynić pustkowiec i wygładzić z niej grzeszników. Bo gwiazdy niebieskie i Orion nie będą jaśniały swym światłem, Słońce się zaćmi od samego wschodu i swoim blaskiem księżyc nie zaświeci. Ukarzę Ja świat ziemi za jego zło i niegodziwców za ich grzechy (...) Dlatego niebiosa się poruszą i ziemia się wstrząśnie w posadach*” (Iz 13, 9—13).

Kilka rozdziałów dalej tenże prorok, który przepowiedział upadek Babilonu, pisze: „*Oto Pan pustoszy ziemię, niszczy ją i przewraca jej powierzchnię, a mieszkańców rozprasza (...) Tak, upusty otworzą się w górze i podwaliny ziemi się zatrząsą. Ziemia rozpadnie się w drobne kawałki, ziemia pękając wybuchnie, ziemia zadrgawszy zakolysze się, ziemia się mocno będzie zataczać, jak pijany i jak budka na wietrze będzie się chwiała: grzech jej zaciąży nad nią, tak iż upadnie i już nie powstanie*” (Iz 24, 1—2; 18—21).

Nie trzeba głębokiej analizy tego obrazu, aby stwierdzić, że Prorok przywołuje wizję potwornego trzęsienia ziemi, które zniszczy wszystko. Łączy się ten obraz z przekonaniem Izraelitów, iż trzęsienie ziemi jest wywołane przez Jahwe, który potrząsa jej kolumnami (Hi 9, 6). A w ogóle, objawieniu się Jahwe zawsze towarzyszyły zjawiska sejsmiczne. W „*Słowniku obrazów i symboli biblijnych*” Manfreda Lurkera mamy wyliczone przykłady na to. Przywołajmy kilka.

Kiedy Mojżesz wyprowadził lud z obozu na spotkanie Jahwe, cała góra Synaj, zatrząsa się i okryła dymem (Wj 19, 18). Podobnie na górze Horeb, kiedy pojawił się Jahwe, zerwała się gwałtowna wichura, zatrząsa się ziemia i pojawił się ogień (1 Kol 19, 11). Trzęsienie ziemi towarzyszyło Jahwe, kiedy zwycięski kroczył przez pola Edomu (Sdz 5, 4n). W księdze Psalmów znajdujemy słowa: „*Pan króluje, drżą narody, zasiada na cherubach, a ziemia się trzęsie*” (Ps 99). W czasie wędrówki przez



pustynię zbuntowani Korahici zginęli w przepaściach rozstępującej się ziemi (Lb 16, 31n). O dniu sądu nad Babilonem czytamy u Izajasza: „Ziemia się wstrząśnie w posadach na skutek oburzenia Pana Zastępów, gdy rozgorzeje gniew Jego” (Iz 12, 13). Kiedy zaś rozpocznie się ostateczne panowanie Boga, cały świat będzie już tak utwierdzony, że ziemia się nie zachwieje (Ps 93, 1).

Podobne wstrząsy ziemi towarzyszą misji zbawczej Chrystusa. W czasie Jego konania „zadrżała ziemia i skały zaczęły pękać” (Mt 27, 51). Podobnie w momencie zmartwychwstania miało miejsce „wielkie trzęsienie ziemi” (Mt 28, 2). Na znak przyjścia Ducha Świętego, a także na dowód, że modlitwa wiernych została wysłuchana, „zadrżało miejsce, na którym byli zebrani” (Dz 4, 31).

Uwolnieniu z więzienia Pawła i Sylasa towarzyszyło zachwianie się fundamentów więzienia, co spowodowało otwarcie się wszystkich drzwi i rozpad kajdanów (Dz 16, 26).

Dalej mamy już przepowiednie o czasach ostatecznych, którym będzie towarzyszyło zjawisko trzęsienia ziemi. Wróć do nich później, pisząc o zaburzeniach w naturze.

W obrazach końca świata pojawia się niemal w każdej przepowiedni zapowiedź ognia. Bo też ogień symbolizuje również Boże działanie. Przypomnę, że Jahwe objawił się Mojżeszowi w płonącym krzaku (Wj 3, 2), na pustyni prowadził Izraelitów ukrywając się pod postacią ognistego słupa. Przekazując Mojżeszowi tablice dekalogu, ukazała się jasność, „gdyż Pan był jak ogień pożerający na szczycie góry” (Wj 24, 17).

W prorocctwie Daniela jest mowa o majestacie Boga, którego „tron był z ognistych płomieni, a jego koła jak płonący ogień” (Dn 7, 9).

W prorockich wizjach końca świata Pan „objawia się w ogniu, a Jego rydwany (pędzą) jak burza, by zaspokoić swój gniew pożogą i groźby swoje płomieniami ognia” (Iz 66, 15).

„Dla zabójców zaś, rozpustników (...) i wszelkich kłamców” — koniec czasów, to „udział w jeziorze gorejącym ogniem i siarką” (Ap 21, 8). W drugim liście św. Piotra obraz ognia przemienia się w gigantyczny pożar obejmujący nie tylko Ziemię, lecz także inne ciała niebieskie (2 P 3, 10). Można zapytać, czy nie wywoła go zmasowany wybuch jądrowy, albo czy jego przyczyną nie będzie jakaś katastrofa w układzie słonecznym, która spowoduje, że temperatura Ziemi podniesie się do 1000°C. Taką straszną katastrofę pożaru i rozpadu ziemi mogłaby wywołać przyczyna naturalna.

Amerykański uczyony J. H. Jeans rozstrząsający taką sytuację, zanotował: „Słońce może spotkać się z inną gwiazdą; jakaś planetoida może zderzyć się z inną i wskutek tego zbczyć tak znacznie ze swej drogi, że wpadnie na ziemię; jedna z gwiazd może przebiec przez układ słoneczny i zakłócić orbity planetarne do tego stopnia, że istnienie życia na ziemi stanie się niemożliwe” (J. H. Jeans, *Wszechświat*, Warszawa 1947, s. 320).

Zderzenie słońca z inną planetą spowodowałoby dosłownie pożar ziemi. Wszystko w naszym układzie słonecznym uległoby spopieleniu. Podobny pożar ziemi mogłoby wywołać zderzenie się ziemi z inną gwiazdą. Każda z nich posiada wysoką temperaturę sięgającą kilkunastu tysięcy stopni.

Obok obrazu katastrof towarzyszących Dniu Pańskiemu, jest mowa o sądzie nad ludźmi. Prorok Joel wymienia te wydarzenia obok siebie. Pisze: „*I uczynię znaki na niebie i na ziemi: krew i ogień, i słupy dymne. Słońce zmieni się w ciemność, a księżyc w krew, gdy przyjdzie dzień Jahwe, dzień wielki i straszny*” (3, 3—4). Dalej prorok prowadzi bieg wydarzeń w stronę zapowiedzianego sądu: „*I oto w owych dniach i w owym czasie, gdy odmienię los jeńców Judy i Jeruzalem, zgromadzę też wszystkie narody i zaprowadzę je na Dolinę Joszafat, i tam sąd*

*nad nimi odbęde w sprawie ludu i dziedzictwa mego, Izraela...*" (Joel, 4, 1—2).

Hebrajska nazwa Joszafat znaczy tyle samo co: Bóg osądzi. Określa więc nie tyle geograficzny teren w dolinie Cedronu koło Jerozolimy, ile raczej symboliczną krainę, w której Bóg dokona ostatecznego sądu nad ludźmi.

W każdej z biblijnych zapowiedzi końca świata są więc dwa elementy: słowa o mającej nastąpić naglej katastrofie na skalę kosmiczną, oraz — o sądzie nad światem. Oczywiście katastrofa może być związana z jakąś przyczyną naturalną np. zderzenia się Ziemi z inną planetą, wybuchu słońca itp. Muszą to jednak być przyczyny, które nie zostaną zaobserwowane wcześniej. Bo według Pisma św. katastrofa spadnie tak nagle, jej przyczyna będzie tak gwałtowna, że nikt nie będzie się tego spodziewał. Może to być nieszczęśliwy wypadek, ale tak gwałtowny i nagły, że nikt nie jest w stanie mu zapobiec. Stąd należałoby raczej wykluczyć przyczynę, którą mogliby wcześniej zaobserwować astronomowie albo obliczyć fizycy. Np. już dziś wiadomo, że w maju roku 2000. spotkają się na jednej linii wszystkie planety naszego układu słonecznego. Istnieją wielowiekowe przepowiednie mówiące o katastrofach, jakie wynikną z takiego układu planet, konkretnie mowa o powodziach i trzęsieniach ziemi.

Jak to się ma do słów Chrystusa skierowanych do Apostołów: „O dniu owym i godzinie nikt nie wie, nawet aniołowie Boży, tylko sam Ojciec” (Mk 13, 32). Św. Tomasz z Akwinu sądzi, że koniec świata zależy wyłącznie od woli Bożej i nastąpi bez współdziałania przyczyn naturalnych. Skoro Bóg sam stworzył świat, sam również położy kres jego istnieniu. Tylko w ten sposób można zinterpretować przywołane wyżej słowa Chrystusa.

Św. Tomasz wspiera swoje wywody obrazem z czasów Noego zapisanym u św. Mateusza, kiedy to ludzie „jedli i pili, żenili się i za mąż wydawali, aż do dnia, w którym

Noe wszedł do arki i nie spostrzegli się, aż przyszedł potop i pochłonął wszystkich. Tak również będzie z przyjściem Syna Człowieczego” (Mt 24, 37—39).

Przyjście Chrystusa ma być przez wszystkich zauważone. Nie będzie nikogo, kto mógłby się pomylić, ponieważ „ukaze się na niebie znak Syna Człowieczego... przychodzącego na obłokach niebieskich z wielką mocą i chwałą (Mt 24, 25—27; 30).

Skoro ukaze się znak na niebie, znowu wróćmy myślą do jakiejś z przyczyn naturalnych, która i tak może wszystkich zaskoczyć. Wszak św. Piotr przepowiedział, że w dniu Pańskim niebiosa przeminą, żywioły od żaru stopnieją, a ziemię i jej dzieła strawi ogień. Św. Paweł nadając temu obrazowi jeszcze większej grozy ostrzega: „Kiedy bowiem będą mówić: Pokój i bezpieczeństwo, tak niespodziewanie przyjdzie na nich zagłada, jak bóle na brzemienną, i nie ujdą” (1 Tes 5, 2—3).

Jean Rostand, francuski noblista pisze: „Jest rzeczą prawie pewną, że Ziemia któregoś dnia ulegnie do tego stopnia ochłodzeniu, iż nie będzie już możliwa na niej kontynuacja życia ludzkiego. Jakakolwiek rozwinąłby człowiek energię, żeby przetrwać, pewnego dnia nieuchronnie będzie musiał ulec w owej nierównej walce”.

Istnieje wiele „scenariuszy” naturalnej śmierci świata, wydaje się jednak, że stanie się to o wiele wcześniej. Być może sprawi to jakaś katastrofa na skalę kosmiczną, potężne zakłócenie w równowadze ciał niebieskich mogące spowodować albo rozpad Ziemi, albo totalny brak warunków do dalszego trwania życia człowieka.

Czy Biblia, poza ogólnymi zapowiedziami końca świata, nie określa bliżej mających nastąpić znaków? Św. Paweł w liście do Tesaloniczan pisze dość szeroko na ten temat. Zacytujmy ten fragment: „*Niech was w żaden sposób nikt nie zwodzi, bo «dzień ten nie nadejdzie», dopóki nie przyjdzie najpierw odstępstwo i nie objawi się człowiek*

grzechu, syn zatracenia, który się sprzeciwia i wynosi ponad wszystko, co nazywa się Bogiem lub tym, co odbiera cześć, tak że zasiądzie w świątyni Boga dowodząc, że sam jest Bogiem. Czy nie pamiętacie, jak mówiłem wam o tym, gdy wśród was przebywałem? Wiecie, co go teraz powstrzymuje, aby objawił się w swoim czasie? Albowiem działa już tajemnicza bezbożność. Niech tylko ten, co teraz powstrzymuje, ustąpi miejsca, wówczas ukaze się Niegodziwiec, którego Pan Jezus zgladzi tchnieniem swoich ust i wniwecz obróci samym objawieniem swego przyjścia. Pojawieniu się jego towarzyszyć będzie działanie szatana, z całą mocą, wśród znaków i fałszywych cudów, (działanie) z wszelkim zwodzeniem ku nieprawości tych, którzy giną, ponieważ nie przyjęli miłości prawdy, aby dostąpić zbawienia" (2 Tes 2, 3—10).

Z tego, jak i z innych tekstów można wysnuć wniosek, że w czasach ostatecznych szczególnie ujawnią się moce zła, zapanuje bezbożność i wrogość, których sam człowiek nie będzie mógł powstrzymać. Przyjście Chrystusa będzie zarazem powstrzymaniem tego wszystkiego.

## Pięć znaków zbliżającego się końca

**B**iblia wiąże koniec świata ze spełnieniem się pięciu znaków, choć nie można ich traktować dosłownie i konkretnie. Przypomnę, że obrazowe nauczanie proroków Starego Testamentu polegało nie tyle na przepowiadaniu przyszłości, co raczej na pośredniczeniu między Bogiem a ludźmi. Jeżeli przepowiadali wojny i nieszczęścia, mieli na uwadze wezwanie do nawrócenia i pokuty.

W pismach Nowego Testamentu znaleźć można kilka konkretnych zapowiedzi końca świata. Niektóre z nich mają charakter ściśle religijny. Klasyczna eschatologia wyliczała ich pięć. Są to: przepowiadanie Ewangelii na całym świecie, nawrócenie narodu izraelskiego, ukazanie

się antychrysta, wielkie odstępstwa od wiary, ucisk i zaburzenia w naturze. Rozważmy je po kolei.

### **Przepowiadanie Ewangelii na całym świecie.**

Tę pierwszą religijną informację zapowiadającą koniec świata znajdujemy u św. Mateusza. Poprzedza ona groźne wizje końca o zaćmieniu słońca i księżyca, spadaniu gwiazd i przyjściu Syna Człowieczego z wielką mocą i chwałą (Mt 24, 26—31). Dokładnie słowa Ewangelii brzmią następująco: „I będzie głoszona ta Ewangelia Królestwa po całym świecie, na świadectwo wszystkim narodom, i wtedy nastąpi koniec” (Mt 24, 14).

Jak się wydaje, można te słowa jako żywo odnieść do czasów współczesnych, wszak nie ma zakątka na świecie, gdzie nie dotarłby chrześcijański misjonarz, gdzie żyliby ludzie, którzy nie słyszeliby o Chrystusie. Głównie chodzi tu o możliwości przekazu wiary, jakie stwarzają mass media. Oblicza się, że połowa ludności świata, czyli ponad dwa miliardy, objęta jest ewangelizacją. Ta druga połowa ma możliwość dowiedzenia się o Chrystusie jeśli tylko zechce. Chociaż więc ta druga grupa żyje zupełnie poza zasięgiem nauczania Kościoła, jest jednak w jakiejś mierze w sieci komunikacji obejmującej cały glob. Nie można z tej sieci informacji wykluczyć siewu Ewangelii. Niekoniecznie muszą to być zamierzone działania misyjne.

A konkretnie, można napisać, że przed dwustu laty nikomu nie śniło się, że chrześcijaństwo będzie tak głęboko reprezentowane np. w Afryce, że Pismo św. zostanie przetłumaczone na 140 języków i w ogromnych nakładach stanie się dostępne w każdym zakątku ziemi. Odnowienie Kościoła, jakie przyniósł Sobór Watykański II, stanowi również swoistą przesłankę do wniosku, że Ewangelia nie zna granic.

Najbardziej jednak zdumiewającą rzeczą jest obecny pontyfikat Papieża — Polaka. Następca apostołów osobiście wizytuje kraje i narody. Odbył blisko sześćdziesiąt

wielodniowych pielgrzymek po świecie. Niektóre kraje odwiedzał kilkakrotnie. W Ameryce Południowej nie ma państwa, w którym nie stanęłaby jego stopa.

Ten Papież jest niezwykle. Można go rozpoznać po słowach i gestach, uśmiechu i sposobie poruszania się. Jego pielgrzymki utwierdzają Kościół w misyjnym dynamizmie, zacieśniają więzy z braćmi całego Kościoła. On zdobywa codziennie tysiące nowych wyznawców. Określa się go jako sumienie świata, Papieża praw człowieka. Nie przerażają go trudności ani niepewność sytuacji. Wie, że ma prawo mówić do wszystkich, bo nie podlega uwarunkowaniom politycznym czy ekonomicznym, wznosi się ponad wszelkie partie. Ten Papież angażuje się osobiście w każdy poważniejszy konflikt, co o włos nie przyplacił życiem 13 maja 1981 roku. Jan Paweł II to dziś najważniejsza osoba w skali światowej. Kiedy rozpoczął pontyfikat w 1978 roku nikomu nie śniło się, że przywódca światowego komunizmu zaprosi Ojca św. do Moskwy.

A. Frossard, autor dialogów z Janem Pawłem II pt. „*Nie lękajcie się*”, w wywiadzie dla włoskiego dziennika „*Avvenire*” mówiąc o zasługach Papieża podkreśla trzy sprawy: umocnienie jedności Kościoła, „wyprostowanie” doktryny, obrona praw człowieka. Frossard poproszony, aby krótko scharakteryzował pontyfikat Jana Pawła II, powiedział: „*Nie mam żadnej wątpliwości, że jest on naprawdę jednym z wielkich papieży w historii Kościoła. Jest Papieżem niezwykle i autentycznie ewangelicznym. Nie, on nie pochodzi z Polski, lecz z Galilei i rzeczywiście ma postawę bezpośredniego następcy św. Piotra. Jestem głęboko przekonany, że dokonał on wiele nadzwyczajnego dobra w Kościele, a przede wszystkim umocnił w nim jedność. Przed jego wstąpieniem na stolicę Piotrową, pod koniec pontyfikatu Pawła VI istniały głębokie niepokoje. Była to sytuacja naprawdę niebezpieczna, zagrażająca jedności Koś-*

*ciola. Jan Paweł II umocnił Kościół od podstaw, a dokonał tego zwłaszcza przez swoje pielgrzymki apostolskie. Podróżuje, spotyka się ze zwykłymi ludźmi i umacnia chrześcijańską tkanę, która ma skłonność do rozluźnienia się”.*

#### **Nawrócenie narodu izraelskiego.**

Ta przepowiednia jest dość trudna do zidentyfikowania, ma charakter wielopłaszczyznowy. Przypomnę, że Naród Wybrany, jakim był Izrael, nie mógł całkowicie zakończyć swojej misji z chwilą przyjścia Mesjasza, Chrystusa. Wszak chrześcijaństwo jest od korzeni związane z judaizmem. Czytamy więc u proroka Ozeasza: *„Przez wiele dni będą siedzieć synowie Izraela bez króla i bez księżęcia, i bez ofiary, i bez ołtarza, i bez efodu, i bez terafim. A potem nawrócą się synowie Izraela i szukać będą Pana, Boga swego, i Dawida, króla swego, i przyjdą z lękiem do Pana i do dobra jego na ostatku dni”* (Oz 3, 4—5).

Dokładniej ten temat mamy opisany w liście św. Pawła do Rzymian: *„Nie chcę, abyście, bracia, mieli nie wiedzieć o tej tajemnicy (abyście wiele nie myśleli o sobie), że zaślepienie padło na część Izraela, dopóki wszyscy poganie nie wejdą do Kościoła, a wówczas i cały Izrael zbawiony będzie”* (Rz 11, 25—26).

Historyczne losy Narodu Wybranego są przedziwne. Po zburzeniu Jerozolimy w roku 70 Izraelczycy ulegali stopniowemu rozproszeniu. Ich państwo nie istniało blisko 2 tysiące lat. Właściwie dopiero w 1967 roku, w czasie wojny sześciodniowej, Jerozolima wróciła pod kontrolę Żydów. Choć Arabowie nie zgadzają się na przejście tego miasta przez Izrael, to jednak okres, w którym Jerozolimą rządili poganie, dobiega końca. W Ewangelii Łukasza czytamy o tym, jako o jednym ze znaków końca: *„Będzie bowiem wielki ucisk na ziemi i gniew na ten naród: jedni poginą od miecza, a drugich zapędzą w niewolę między wszystkie narody. A Jerozolima będzie deptana przez pogan, aż czasy pogan przeminą”* (Łk 21, 23—24).



Trudno rzeczywiście brać dosłownie powyższą przepowiednię, tak jak i owo nawrócenie Izraela nie dotyczy odnowy tego państwa w sensie politycznym. Raczej chodzi o przetrwanie narodu, mimo tragicznych kolei losu, o przechowanie wiary przodków, czyli Starego Przymierza. Jest to potwierdzeniem tego, co Sobór Watykański II nazywa „chwałebnym dopełnieniem”. „Wtedy zaś, jak to czytamy u Świętych Ojców, wszyscy sprawiedliwi, poczynając od Adama, od Abła sprawiedliwego, aż po ostatniego wybranego, zostaną zgromadzeni w Kościele Powszechnym u Ojca” (KK 2). Można także dopowiedzieć, że wielu Żydów przyjęło chrześcijaństwo, a bezprecedensowa wizyta w 1987 roku Jana Pawła II w rzymskiej synagodze była symbolicznym wyrazem jedności wobec Boga, Pana i Stworzyciela, Jahwe.

#### **Ukazanie się antychrysta.**

Pojawienie się u końca czasów antychrysta jest szczególnym elementem apokalipsy św. Jana. Czytamy m.in. w Księdze Objawienia św. Jana: „Potem ujrzałem anioła, zstępującego z nieba, który miał klucz do Czeluści i wielki łańcuch w ręce. I pochwycił Smoka, Węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat. I wtrącił go do Czeluści, i zamknął, i pieczęć nad nim położył, by już nie zwodził narodów, aż tysiąc lat się dopełni. A potem ma być na krótki czas uwolniony (...) A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie uwolniony. I wyjdzie, by omamić narody z czterech narożników ziemi, Goga i Magoga, by ich zgromadzić na bój, a liczba ich jak piasek morski. Wyszli oni na szerokość ziemi i otoczyli obóz świętych i miasto umiłowane; a zstąpił ogień od Boga z nieba i pochłonął ich. A diabła, który ich zwodził, wrzucono do jeziora i siarki, tam gdzie są Bestia i Falszywy Prorok. I będą cierpieć katusze we dnie i w nocy na wieki wieków” (Ap 20, 1—3; 7—10).

Co można wysnuć z tego tekstu? Przede wszystkim jedno: przed końcem świata rozpocznie szatan otwartą

walkę z Bogiem. Wizja św. Jana sugeruje, że przeciwnik Boga omami tak wielu i tak cicho, iż zostanie nazwany antychrystem, wcielonym szatanem; będzie nienawidził wszystko, co ma jakikolwiek związek z Bogiem. Rozpocznie się bezwzględna walka z Kościołem. Być może powstać antychrysta należy rozumieć kolektywnie, czemu sprzyjają słowa Chrystusa: „Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i działać będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych” (Mt 24, 24).

— Nie można się dopatrywać wcielenia antychrysta w takiej czy innej postaci historycznej, choć z drugiej strony ma się pewne prawo takim mianem określać człowieka do cna przewrotnego, „iście z diabelską siłą”.

— Na procesie norymberskim gen. Jodl określił Hitlera jako „wielkiego człowieka o wielkości piekielnej”. Podobnie Gustaw Herling Grudziński nazwał Eichmanna, odpowiedzialnego za śmierć Żydów w obozach koncentracyjnych, Księciem Ciemności i Piekiel, Demonem Naszych Czasów (w: *Drugie przyjscie...*, Paryż 1963).

— Malraux na pytanie Bernanosa, „jakie doświadczenie pozostawi wojna w umysłach ludzi”, odpowiedział: „Doświadczenie powrotu szatana”. Bernanos skonstratował: „Być chrześcijaninem to nie tylko wierzyć w Boga, co jest łatwe, lecz wierzyć w diabła”.

— Czy poza doświadczeniem wojny są inne „sygnały” powrotu antychrysta? W literaturze na uwagę zasługują książki, które bezpośrednio traktują o istnieniu diabła. Są to m.in. utwory Bernanosa „*Pod słońcem szatana*”, Manna „*Doktor Faustus*”, Papiniego „*Esej o diable*”, czy współczesny esej Kołakowskiego „*Rozmowy z diabłem*”. Można także wspomnieć o kilku współczesnych filmach, które traktują o nim: „*Dziecko Rosemary*” Polańskiego, „*Egzorcysta*” czy „*Omen*”, a także polski film Kawalero-wicza „*Matka Joanna od Aniołów*”. Od kilku lat w prasie

światowej dziennikarce prześcigają się w pisaniu artykułów na temat satanizmu, jego obrzędowości, historii, tajemnic.

Roselyne Bosch w paryskim tygodniku „*Le Point*” (z 29 IX 1985) zamieściła zdumiewającą opowieść o średnio-wiecznych praktykach w końcu XX wieku. Autorka pisze m.in., że w 1985 roku miliony Francuzów żyło w przekonaniu, że są ofiarami szatana. I to nie tylko gdzieś wśród normandzkich lasów. Sabaty odbywały się w piwnicach miejskich bloków mieszkalnych, na parkingach. Albo w jeszcze bardziej niespodziewanych miejscach, jak np. suterena gmachu ministerstwa obrony w Paryżu, gdzie odprawiano magiczne obrządki. Oto przykłady. Maj 1985, Metz: pewien mężczyzna wraz z siostrą podłożyli ogień do łóżka swego kalekiego ojca, pragnąc „zmusić go, by wyrzekł się szatana”. Kwiecień 1985, Saint-Anthème (dep. Puz-de-Dôme): para emerytów straciła całe posiadane bydło, w łóżku córki znalazła 50-kilogramowe głązy, a na polach i w domu — tysiące różnego kształtu szpilek do włosów. Kwiecień 1984, Hem-Lenglet (dep. Nord): dwaj bracia zabijają ojca 30 ciosami noża, gdyż wydawało im się, że przygotowywał jakiś wywar, by rzucić czary na swą żonę — już 5 lat wcześniej chciał ją spalić i złożyć w ofierze szatanowi. Luty 1984, Metz: murarz zabija nożem 27-letniego Turka: „Chciał na mnie rzucić czary”.

Świat ma również swoich czarowników i egzorcystów. Maj 1985, Ohio, USA: od 1969 r. co roku składa się tu szatanowi w ofierze 5 noworodków, by powitać w ten sposób powrót lata. Lipiec 1985, Jugosławia: trzej „egzorcyci” biją i podpalają młodą kobietę, aby ją zmusić, by wymówiła imiona tych, którzy „dręczą jej duszę”.

Szatan przemieszcza się samolotem i metrem, w poszukiwaniu popularności organizuje konferencje i kongresy. Według przeprowadzonej w 1982 r. ankiety, która miała ocenić stopień racjonalności Francuzów, okazało

się, że 18 proc. mieszkańców Francji wierzy w czary. Jeśli nawet połowa ankietowanych jest przekonana, że pewnego pięknego dnia nauka wyjaśni skutki czarów, to i tak różne przybytki wiedzy tajemnej mnożą się niesamowicie. A jednocześnie do kurii diecezjalnej co roku napływają tysiące próśb o egzorcyzmy (w samym tylko Paryżu — tysiąc próśb rocznie).

W „*Newsweeku*” z 1985 roku znajduje się opis „czarnej mszy”, której przebieg mrozi krew w żyłach. 10-letni Michael Nokes opowiada, jak razem z innymi dziećmi został zabrany do „złego kościoła” przez dorosłych, którzy rozebrali ich do naga i otoczyli śpiewając modły do szatana. Na czarno ubrany leader wołał: „Powstań Diable i uwielbiaj nas, jak i my Ciebie uwielbiamy!” Dalej Michael opowiedział, jak on i mała dziewczynka zostali zmuszeni do rzucania nożami w dzieciątko imieniem Jonathan, a wkrótce dołączyli do nich jego rodzice i przyjaciele. Dziecko krzyczało i płakało. Kiedy już wszystkie noże zostały przez dorosłych rzucone, głowa Jonathana wyglądała jak korona cierniowa wokół głowy Jezusa. Następnie poćwiartowano zwłoki dziecka i zmuszono wszystkich do wypicia jego krwi. Wreszcie dorośli poczęli sukcesywnie napastować dzieci, poczynając od własnych...

Współczesny satanizm jest połączeniem elementów spirytyzmu, wpływów orientalnych, astrologii, a nawet parapsychologii. Jest antywiąrą, antykulturą i antyorganizacją. Jego ideą jest walka, agresja, niszczenie. W nim wszystko jest na opak — odwrócony krzyż, naga kobieta zamiast hostii, czerń, ponury nastrój, „ofiary” ze zwierząt.

Sandor Anton Le Vey, emigrant węgierski z 1956 roku, nazywany jest przez swoich „czarnym papieżem”. W ostatnią noc kwietnia (noc Walpurgii) na najważniejszym święcie wiernych czarnej magii w 1966 roku, na specjalnie zorganizowanym sabacie, ogolił głowę i w myśl starodawnych tradycji ogłosił powstanie Kościoła Szatana. Mówi:

*„Jako młody chłopak grywałem na organach w czasie mszy i na festynach. W sobotnie noce widywałem mężczyzn pożądliwie uganiających się za półnagimi dziewczętami tańczącymi na zabawie, a w niedzielny poranek, podczas mszy widziałem tych samych, gdy prosili Boga, by im przebaczył i oczyścił z wczorajszych żądz. Po tygodniu wszystko powtarzało się od nowa. To była cholerna hipokryzja. Asceza, którą zakłada kościół, jest przeciw naturze człowieka. Pomyślałem, że trzeba utworzyć świątynię, która pozyska ludzkie ciało i będzie głosić chwałę zmysłowych żądz. Oddałem się studiowaniu starych dzieł i przemyśleniom. Potem napisałem «Czarną Biblię». I ludzie za mną poszli. Dziś jest nas 800 tys. w 11 krajach świata” („Prawo i Życie”, 31/87).*

„Czarna Biblia” stała się podstawą współczesnego ruchu satanistów. Wydana po raz pierwszy w San Francisco w 1966 roku rozprzestrzeniła się błyskawicznie po świecie. Podane są w niej wskazówki i przepisy obrzędów związanych z kultem szatana. Niektóre rozdziały tej biblii są szokujące: świadectwo nowej ery szatana, dziesięć satanistycznych praw i objawień, piekło, jak sprzedać swoją duszę diabłu, satanistyczny seks, zaspokajanie żądz zamiast ascezy, czarna msza, diabelskie imiona, wezwania, itd., itp. W Biblii Le Veya eksponowane są trzy rodzaje wartości: słowo — jako nośnik informacji; pobłażliwość — jako pewien zabieg socjotechniczny polegający na zacieraniu granicy między dobrem a złem, prawdą a kłamstwem; muzyka — jako nośnik emocji i treści łatwo trafiającej do młodzieży.

Ruch satanistyczny skierowany jest przede wszystkim przeciw chrześcijaństwu, a w szczególności przeciw Kościołowi rzymsko-katolickiemu i osobie papieża. Np. w USA ukazują się oficjalnie drukiem całe serie wydawnicze zwalczające hierarchię katolicką, dogmaty i papieża w imię zwycięstwa szatana. Ponadto doskonale prosperują sklepy z satanicznymi akcesoriami: kadzidłem, czarnymi

ornatami, miotłami dla czarownic, sproszkowanymi oczami żab i wysuszonymi ciałami węży, broszkami w kształcie odwróconego krzyża i łbów kozła. Kupić też można płyty zespołów grających w stylu heavy metal z satanistycznymi tekstami piosenek i videokasety z utrwalonymi, przerażającymi cmentarnymi obrzędami.

Na szczególną uwagę zasługuje broszura — rytuał „czarnej mszy”, budzącej grozę, i z pewnością będącej w kolizji z prawem karnym. Obrządek ten jest podstawowym elementem działalności satanistów, jednoczy ich, aczkolwiek przebieg „czarnej mszy” bywa inny w różnych środowiskach terytorialnych. Bez względu na różnice, zawsze „mszę” odprawia „przeor”, wtajemniczony, kierujący całością misterium. „Przeor”, zaopatrzony w kościelną stulę, ubrany jest w czarny strój. Na miejscu spełniania obrządku muszą znaleźć się dwa krzyże. Jeden z nich, mniejszy, symbolizuje Kościół i zostaje pod koniec misterium spalony na znak zanikającej potęgi wiary chrześcijańskiej. Drugi krzyż, odwrócony, nie zostaje spalony i ma symbolizować rosnącą potęgę szatana i jego wyznawców.

Już Dostojewski twierdził, że największym zwycięstwem diabła w XIX wieku było to, że ludzie przestali wierzyć w jego istnienie. Nie był Dostojewski w swoim stanowisku odosobniony. Podobne słowa wypowiedzieli Baudelaire oraz Gide. Ignorowanie diabła, według nich, jest najlepszą służbą wobec niego. Kiedy na początku naszego wieku rosyjski pisarz i filozof Włodzimierz Sołowiow czytał publicznie w Petersburgu swoje opowiadanie o spotkaniu z diabłem pewnej letniej nocy w kabinie statku na Morzu Śródziemnym, zebrana publiczność zareagowała burzą protestów, śmiechów, szyderstw, a studenci politechniki ogłosili autora po prostu wariatem.

Podobne reakcje spotkałyby Sołowiowa i dzisiaj, choć nie ma absolutnie powodów do śmiechu.

## Odstępstwa od wiary.

Zapowiedź odstępstw od wiary przy końcu czasów jest jakby w sprzeczności z wcześniejszym prorocstwem, iż w tym czasie Ewangelia będzie przepowiadana na całej ziemi. Można z tego wysnuć jednoznaczny wniosek, że chodzi o odstępstwa pośród chrześcijan, o upadek moralności, odrzucenie przykazań dekalogu.

Wspomniałem wyżej o działaniach antychrysta. Pośrednio jego zwycięstwa odnoszone nad chrześcijanami dowodzą nastania czasów końca. „*Wtedy wydadzą was na udrękę i będą was zabijać, i będziecie w nienawiści u wszystkich narodów, z powodu mego imienia. Wówczas wielu zachwieje się w wierze; będą się wzajemnie wydawać i jedni drugich nienawidzić*” (Mt 24, 9—10).

„*Brat wyda brata na śmierć i ojciec swoje dziecko; powstaną dzieci przeciw rodzicom i o śmierć ich przyprawią*” (Mk 13, 12).

„*.....A ponieważ wzmoże się nieprawość, oziębnie miłość wielu*” (Mt 24, 12).

W drugim liście Pawłowym do Tymoteusza czytamy: „*A wiedz o tym, że w dniach ostatnich nastaną chwile trudne. Ludzie bowiem będą samolubni, chciwi, wyniośli, pyszni, bluźniercy, nieposłuszni rodzicom, niegodziwi, bez serca, bezlitośni, miotający oszczerstwa, niepohamowani, bez uczuć ludzkich, nieprzychylni, zdrajcy, zuchwali, nadęci, miłujący bardziej rozkosz niż Boga*” (2 Tym 3, 1—5).

Dalszą cechą wielkiego ucisku będzie pojawienie się fałszywych nauczycieli, proroków i misjonarzy. Będą głosić Ewangelię niezgodną z prawowiernym chrześcijaństwem i uwodzić niestałych w wierze. W konsekwencji będą wielkie odstępstwa od wiary, o których wspomina św. Paweł w liście do Tesaloniczan: „*W sprawie przyścia Pana naszego Jezusa Chrystusa i naszego gromadzenia się wokół Niego, prosimy was, bracia, abyście się nie dali zbyt łatwo zachwiać w waszym rozumieniu, ani zastraszyć*

bądź przez ducha, bądź przez mowę, bądź przez list, rzekomo od nas pochodzący, jakoby już nastawał dzień Pański. Niech was w żaden sposób nikt nie zwodzi, (bo dzień ten nie nadejdzie), dopóki nie przyjdzie najpierw odstępstwo i nie objawi się człowiek grzechu, syn zatracenia” (Tes 2, 1—3).

W XIX wieku kryzys chrześcijaństwa w Europie był już wyraźnie dostrzegalny. Stąd nikogo obecnie nie zaskakują słowa Jana Pawła II o nowej ewangelizacji pierwszego kontynentu chrześcijańskiego. Co się stało? Kard. Franz Koenig z Wiednia mówiąc o Europie („*Newsweek*” 20 X 1985) wyraził się, że ten kontynent jest zmęczony. W Irlandii oraz niektórych rejonach Hiszpanii czy Włoch jest inaczej, ale jeśli wziąć pod uwagę Niemcy lub Francję, to odnosi się wrażenie, że sytuacja jest beznadziejna. W tych krajach zanikły uczucia religijne i poszanowanie religii. Konieczna jest ponowna ewangelizacja.

Dla wielu Europejczyków bycie katolikiem lub protestantem jest tylko kwestią kultury i tradycji, a nie wiary. Stąd jest to religijność nacechowana indywidualizmem, dbałością o „własną skórę”, dobrobyt i spokój.

Ta powszechna apostazja posiada swój biblijny znak. W Ewangelii Łukasza wyraża go dramatyczne pytanie: „Gdy przyjdzie Syn Człowieczy, czy znajdzie wiarę na ziemi?” (Łk 18, 8).

#### **Wielki ucisk i zaburzenia w naturze.**

Na wielu miejscach Pismo św. mówi o zewnętrznych znakach towarzyszących czasom eschatologicznym. O niektórych już wspominałem. W Ewangelii św. Mateusza czytamy: „*Powstanie bowiem naród przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu. Będzie głód i zaraza, a miejscami trzęsienia ziemi. Lecz to wszystko jest dopiero początek boleści*” (24, 7—8). U św. Łukasza natomiast: „*Będą silne trzęsienia ziemi, a miejscami głód i zaraza; ukażą się straszne zjawiska i wielkie znaki na niebie*” (21,



11). I dalej: „Będą znaki na słońcu, na księżycu i gwiazdach, a na ziemi trwoga narodów bezradnych wobec szumu morza i jego nawałnicy. Ludzie mdleć będą ze strachu, w oczekiwaniu wydarzeń zagrażających ziemi. Albowiem moce niebios zostaną wstrząśnięte” (Łk 21, 25—26). „Zaraz też po ucisku dni owych słońce się zaćmi, księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną spadać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte” (Mt 24, 29).

Spadające gwiazdy i trzęsienia ziemi — to zaiste dramatyczny obraz tych dni końca. Według powszechnego przekonania, nieboskłon z gwiazdami jest symbolem stworzonej przez Boga harmonii kosmicznej, zasadzającej się na dwunastu gwiazdach Zodiaku. W Biblii nawiązuje do tego dwanaście gwiazd w koronie apokaliptycznej niewiasty. W czasach ostatecznych ta harmonia zostanie zburzona. Mowa jest o ogromnej gwieździe zwanej Piółunem, która spadając z nieba niczym pochodnia obwieści czasy końca (Ap 8, 10). Inna z gwiazd będzie miała klucz od Czełusci (Ap 9, 1—12). Gdy nadejdzie ów dzień ostateczny, niebo i ziemia przeminą, a gwiazdy w ogniu się rozsypią (2 P 3, 12).

Upadek gwiazd odnosi się z pewnością do meteorytów, czyli brył materii, które na skutek katastrof kosmicznych lub rozpadu komet spadają na Ziemię. Po zetknięciu się z atmosferą, wskutek tarcia o powietrze, rozgrzewają się do białości i świecą jak gwiazdy. Uderzając o Ziemię tworzą nieraz olbrzymie kratery meteorytowe jak np. Canyon Diabło w Arizonie, nad Cieśniną Hudsonską w Kanadzie, w Teksasie, w Henbury w Australii, na pustyni Rub-el-Kali w Arabii. Także w Polsce, w okolicy Pułtusk w 1868 roku spadło ok. 100 tys. kawałków meteorytów. W Kansas (Nebraska) w USA znaleziono w 1948 roku około tysiąc meteorytów, z których jeden ważył tonę. Ogromny meteoryt spadł 30 VI 1908 roku na Syberii. Wstrząs skorupy ziemskiej od jego wybuchu zano-

towały sejsmografy w Austrii i Niemczech. Również w 1947 roku spadł na Syberii meteoryt ważący ponad tysiąc ton.

Gdyby w równie naturalny sposób tłumaczyć zapowiedź potopu przy końcu czasów, przychodzi od razu na myśl tzw. efekt korony cieplnej. Oto na skutek zmian klimatycznych topnieją wszystkie lody pokrywające oba bieguny i Grenlandię, poziom oceanów podnosi się o 80 metrów i zalane zostają: Londyn, Tokio, Nowy Jork, Kair, Szanghaj, Rzym, cała Holandia... W Paryżu morze sięgałoby do poziomu pierwszego piętra wieży Eiffla. To może zdarzyć się naprawdę do końca XXI wieku, jeśli temperatura na naszej planecie będzie wzrastała w dotychczasowym tempie. Powód: związki węgla, jakie uchodzą do atmosfery w postaci gazu, „otulają” Ziemię i nie pozwalają, by nadmiar ciepła, jak niegdyś, uchodził w kosmos. Jeszcze przed ostateczną katastrofą, a nawet już dziś, na skutek działania tego cieplnego pulapu powiększają się pustynie.

Jeśli natomiast chodzi o trzęsienia ziemi, ich częstotliwość i siła zwiększają się. W tym stuleciu pochłonęły one blisko 2 miliony ofiar. 10 największych z nich to: 16 kwiecień 1906, San Francisco — 470 zabitych; 28 grudzień 1908, Kalabria w płd. Italii — 83.000 zabitych; wrzesień 1923, Tokio — ponad 100.000 zabitych; maj 1927, Chiny — 200.000 zabitych; grudzień 1939, Turcja — ponad 30.000 ofiar; 31 maj 1970, wybrzeże Pacyfiku w Peru — 66.000 ofiar; 4 luty 1976, Gwatemala — 23.000 ofiar; 28 lipiec 1976, Tengshan w Chinach — blisko 800.000 ofiar; grudzień 1978, Tabas w Iranie — 25.000 zabitych; 19 wrzesień 1985, Mexico City — ponad 10.000 ofiar śmiertelnych, 7 grudzień 1988, Armenia — około 80.000 ofiar.

Według uczonych, dotychczasowe kataklizmy, to dopiero cisza przed burzą. „Koniec świata” dopiero nas czeka.

Wskazują na to analizy różnych czynników sejsmologicznych, geograficznych i kosmologicznych.

Prawdopodobieństwo katastrofalnych trzęsień ziemi na Kaukazie, w Azji Środkowej i na Dalekim Wschodzie jeszcze bardziej zwiększy się. Według przewidywań i badań, może wkrótce nastąpić przesunięcie strefy aktywności sejsmicznej z południowych szerokości geograficznych na północ, łącznie ze Skandynawią.

Wielki ucisk i zaburzenia w naturze to również zagrożenie o charakterze ekologicznym. Nikogo nie trzeba przekonywać, że katastrofa ekologiczna przybiera na sile. Zniszczone są lądy i oceany. Podobnego zjawiska wymierania gatunków zwierząt i roślin nie notowano od 65 milionów lat, czyli od czasu wyginięcia na Ziemi dinozaurów. W roku 1970 było jeszcze w Afryce 65 tys. nosorożców, dziś jest ich zaledwie 4.500. Podobny los czeka słonie: w Afryce żyje ich jeszcze 800 tys., ale co roku zabija się ich około 60 tys. Na wolności pozostały tylko trzy kalifornijskie kondory, ogrody zoologiczne w San Diego posiadają ich jeszcze 22. Zagrożeni są wszyscy mieszkańcy dżungli, zwłaszcza leopardy, goryle, słonie azjatyckie, tapiry, lemury, małpy, orzeł filipiński, papugi kubańskie itd. Krótko mówiąc: ponad 185 tys. (według innych ocen 1.250 tys.) z sześciu milionów gatunków zwierząt oraz 25 tys. z 265 tys. gatunków roślinnych zapewne ulegnie wymarciowi w ciągu najbliższych 40 lat. Wróć do tego tematu pisząc o tzw. czterech problemach ostatecznych.

Wniosek jest jeden: Ziemia nie może istnieć wiecznie. Jej postać przemija, o czym wielokrotnie przepowiadali biblijni prorocy, i co obecnie na naszych oczach przybiera tragiczne kształty. Nieuchronny koniec, zapowiadany w biblijnym objawieniu, jest przeznaczeniem Ziemi i nie można od niego uciec. Pozostaje otwarte pytanie: kiedy to nastąpi?

Nigdy chyba nie dowiemy się, co wydarzyło się kilkadziesiąt lat po śmierci Jezusa, na wyspie Patmos, gdzie skazany na wygnanie przebywał ostatni ewangelista św. Jan Apostoł. Żył tam wśród zbrodniarzy, którzy mocą cesarskich sądów nie mieli prawa cieszyć się wolnością. Mogli jedynie z tej skalistej wyspy położonej na Morzu Egejskim tęsknić i umierać z udręki. Może podobną śmiercią skończyłby i wierny uczeń Mistrza z Nazaretu, gdyby mu nie było objawione tak wiele rzeczy. W tych latach samotności i oddalenia, zamiast doznać goryczy, przeżył niewyobrażalne piękno innego świata, do którego zmierza wszystko, co żyje. Konkretnie, doznał widzenia końca czasów. Apostoł raz po raz popadał w zachwycecie, ponieważ oglądał Syna Człowieczego. Nie był to już mąż boleści, baranek skazany na śmierć, ale Pan nieba i ziemi, władca wszystkich królestw.

Spisywał więc Jan swoje objawienia pod dyktando Chrystusa, a później na wszystkie swoje słowa nałożył pieczęcie tajemnicy. Choć widział więc Apostoł wszystko i spisał, ten proroczy zarys przyszłości niełatwo można zrozumieć. Ani wówczas, ani obecnie. Spróbujmy jednak okrężnie zbliżyć się ku tym treściom.

Apokalipsa należy do rozpowszechnionego gatunku literackiego w okresie międzytestamentowym. Nazwa apokalipsa oznacza z greckiego: *odsłonięcie tego co zakryte*. Sugeruje to z góry, że będzie to tekst wypełniony obrazami i wyroczniami na temat końca świata, nasycony mrowiem groźnych postaci, przerażających bestii, mrocznych tajemnic, choć kończy się wszystko wspaniałą ucztą weselną, będącą zarazem wspaniałym początkiem nowego życia w Bogu.

Ks. prof. A. Rubinkiewicz, biblista z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, pisze, że literatura apokaliptyczna

powstawała w epoce, gdy naród żydowski doświadczał wielkich prześladowań religijnych ze strony pogan, a ogrom panującego zła uświadamiał wierzącym niemoc wobec otaczającego ich świata. Stąd owa często powtarzająca się w tekstach apokaliptycznych pesymistyczna wizja rzeczywistości. Obecny świat jest zły — uważano — a życie człowieka wierzącego jest w nim bardzo trudne. Jest to świat bez Boga, jest on królestwem zła, domeną panowania księcia ciemności. Przecistawiano mu Królestwo Boże, świat przyszły, który lada moment ma nadejść, w którym dla wszystkich sprawiedliwych zapanuje miłość i pokój.

Wśród judaistycznej literatury apokaliptycznej, powstałej tuż przed erą chrześcijańską, wyróżniają się: kanoniczna Księga Dawida, współczesna czasom powstania Machabeuszów, oraz apokryfy, jak Księga Henocha, Apokalipsa Barucha, IV Księga Ezdrasza, Wniebowzięcie Mojżesza, Księga Jubileuszów, Testamenty Dwunastu Patriarchów, oraz niektóre pisma znalezione w Qumran. Treścią tej literatury, ogólnie mówiąc, jest idea założenia Królestwa Bożego na ziemi.

Gdzieś od drugiego wieku przed Chrystusem w żydowskiej tradycji apokaliptycznej pojawia się postać potężnego wroga, który u kresów czasu miał stawić czoło Bogu. Nieraz identyfikowano go z szatanem albo Belialem. Jako przykład tekstu apokaliptycznego z tamtych czasów można przywołać fragment manuskryptu sekty Eseńczyków znalezionej w Qumran w 1947 roku. Członkowie tej żydowskiej sekty zamieszkiwali okolice Morza Martwego. Uważa się, że ich nauki miały duży wpływ na chrześcijan. We wspomnianym manuskrypcie znajdujemy słowa zapowiadające koniec świata. Brzmia one: „Mistrz sprawiedliwości w ten sposób opisał koniec świata: kiedy otworzą się wszystkie bramy podziemia i rozciągnięte zostaną wszystkie siły nieprawości, a sieci potępionych na powie-

rzchni morza, gdy pofruną wszystkie strzały podziemia, że nie będzie można się obronić, a one będą trafiły i nie będzie już nadziei, kiedy spadnie już sznur na potępionych, to będzie czas gniewu na każdego Beliala.

Więzy śmierci zacisną się i nie będzie już wyjścia. Wtedy rzeki Beliala przeleją się poza wszystkie brzegi, a ogień pożre tych, którzy z nich czerpali; zniszczy wszystkie zielone drzewa i suche w zasięgu swego prądu, a ognistymi językami spali wszystko tak, że już nie będzie nikogo, aby pił.

Ogień pożre głębokości ziemi i szerokość jej powierzchni. Fundamenty gór się stopią, a korzenie skał staną się strumieniami smoły; będzie wszystko pożarte, aż do wielkiego oceanu, a rzeki Beliala dostaną się do najgłębszego podziemia Abbaddonu. Głębie oceanu będą huczeć od przelewających się fal błota. Ziemia będzie krzyczeć, że plaga przychodzi na świat. Wszystkie jej głębie będą krzyczeć, osłupieją wszyscy, którzy na niej mieszkają i będą bez sił, bo tak wielkie będzie zniszczenie, gdyż Bóg pełnią swej mocy grzmieć będzie i sprawi, że święte Jego mieszkanie usłyszysz Prawdę, Jego chwałę.

Wojsko niebieskie wyda również swój głos, zadrzą i poruszą się fundamenty ziemi. Wojna mocarzy niebieskich rozciągnie się po świecie i nie ustanie, aż dokona się wieczne zniszczenie, a nie będzie mu podobnego” (za: F. Gryglewicz, *Opis końca świata u św. Piotra i w Qumran*, „*Ruch biblijny i liturgiczny*” 12/1959).

Sam opis przypomina znane już obrazy Dnia Pańskiego ze Starego Testamentu. Ważne jest stwierdzenie, że pierwsza apokalipsa chrześcijańska powstawała w podobnych warunkach, jak apokaliptyczne teksty żydowskie, w czasie dramatycznych prześladowań za cesarzy Nerona i Domicjana. Wyznawcy Chrystusa umierali w czasie tortur, byli rzucani na pożarcie dzikim zwierzętom, ginęli na palach, płonąc jak żywe pochodnie. Wydawało się, że cały świat

sprzysiągł się przeciwko młodemu Kościołowi. Wizje św. Jana na Patmos łączyły się wyraźnie z tą tragedią. Dlatego jest to księga zmagania ze złem. Szalejące Bestie łatwo można było wówczas zidentyfikować z mocami cesarstwa rzymskiego czy poszczególnych królestw. Najważniejszy jednak wydaje się wątek zwycięzcy, Baranka czyli Chrystusa. Motyw ten przewija się przez całą Apokalipsę św. Jana, by w ostatniej księdze osiągnąć triumf nad Bestią.

Wspomniana Księga Daniela stała się podstawą wielu spekulacji dotyczących końca świata. Hipolit Rzymski w komentarzu do tej Księgi pisze, że czwarta bestia wymieniona u Daniela, symbolizująca królestwa tego świata, oznacza cesarstwo rzymskie. Przeznaczona mu jest zagłada. Zostanie pokonane przez władcę nowego królestwa niebieskiego, który urodził się za panowania cesarza Augusta. Tenże Hipolit Rzymski (170—235) wyznaczył datę końca świata na rok 500. Czym się kierował? Trudno powiedzieć. Być może na ten wiek obliczył upadek cesarstwa rzymskiego. W tym przypadku nie pomylił się wiele.

Obraz Rzymu, jako ówczesnego Babilonu skazanego na zagładę, pojawia się wyraźnie w apokalipsie św. Jana. Odnoszą się do niego słowa: „*I widziałem niewiastę siedzącą na bestii szkarłatnej, pełnej imion bluźnierczych, mającej 7 głów i 10 rogów. A niewiasta przyobleczona była w purpurę i karmazyn (...) trzymała puchar złoty w swej ręce, pełny obrzydliwości i plugawej rozpusty swojej, a na czole swoim napisała imię: Tajemnica i Babilon wielki, matka rozpusty*” (Ap 17, 3—5).

Apokalipsa Janowa rozpoczyna się wyznaniem autorskim, w którym ewangelista zaświadcza: „Ja, Jan, wasz brat i współuczestnik w ucisku i królestwie i wytrwałości w Jezusie, byłem na wyspie zwanej Patmos, z powodu słowa Bożego i świadectwa Jezusa. Doznałem zachwyce-

nia w dzień Pański i posłyszałem za sobą potężny głos, jak gdyby trąby mówiącej: «Co widzisz, napisz w księdze i pošlij siedmiu Kościołom...»” (Ap 1, 9–10).

W czasie tej wizji ewangelista ujrzał męża podobnego do Syna człowieczego czyli Jezusa, ubranego w białą szatę przepasaną na piersiach złotą wstęgą. Jego postać jaśniała jak słońce. W prawej ręce miał siedem gwiazd, z Jego ust wychodził miecz obosieczny, ostry. Jezus podyktował apostołowi listy do siedmiu Kościołów, a następnie ostatni prorok, za którego uważa się Jana, doznał proroczych wizji siedmiu pieczęci, siedmiu trąb i czasz, jako zwiastunów wielkiego dnia gniewu Bożego.

Zanim jednak rozpoczną się Janowe przepowiednie, mamy na początku opis niebieskiej liturgii, obraz kultu, jaki otrzymuje Bóg od wszystkich istot w niebie. Liturgiczny psalm: święty, święty, święty... rozbrzmiewa na okrągło. Wszystkie tajemnice posiadają swoje pieczęcie, i dopiero w kolejnych rozdziałach, pieczęć po pieczęci, zbliżamy się do dnia ostatecznego, poznajemy wszystko, co ma go poprzedzić.

Pojawia się oczywiście symboliczna liczba siedem, na tyle bowiem pieczęci zakryto tajemnice. Apokalipsę, czyli sądny dzień, poprzedzi wiele znaków, które wyrażać będą Boży gniew.

Po otwarciu siódmej pieczęci, pojawi się siedem aniołów z siedmioma trąbami. Każdy z nich sygnalizuje kolejny obraz zagłady. Wizja św. Jana w sposób plastyczny odsłania przed naszymi oczyma przebieg wydarzeń. Każde z nich ma swoją chronologię, jedno przychodzi po drugim. Nic więc dziwnego, że czytelnik zastanawia się, czy akurat nie żyje w czasie spełniania się tajemniczych zapowiedzi. Takie właśnie było odczytywanie tej księgi od początku chrześcijaństwa. Ta lektura po prostu prowokowała do jednoznacznych ustaleń osoby reprezentującej Bestię oraz daty, kiedy skończą się jej szaleństwa.



Pewne obrazy da się przyrównać do konkretnych osób, a nawet wydarzeń. W Janowych wizjach zostały bowiem objawione losy Kościoła na przykładzie walki między mającą rodzić Niewiastą, a smokiem, który pragnął pożreć jej dziecko. Spekulacje nad tym trwały wśród chrześcijan od początku. Pierwsi chrześcijanie oczekiwali spełnienia się przepowiedni z dnia na dzień. Zwłaszcza mieszkańcy Tesalonik, wprowadzeni w błąd przez czyjeś fałszywe prooroctwo, posprzedawali swoje mienie, niczym się nie zajmowali, oczekując zapowiedzianej paruzji, czyli powtórnego przyjscia Chrystusa. Dopiero św. Paweł musiał ich przekonać, aby nie dawali wiary różnym pogłoskom, ponieważ dzień ten nie nastąpi wcześniej, zanim nie spełnią się pewne warunki (por. 2 Tes 2, 1—10).

Apokalipsa łączy się z obrazem czterech jeźdźców, którzy pędząc na koniach różnej maści zwiastują wojnę, głód, zarazy i śmierć. Taka scena robi mocne wrażenie. W zasadzie nie ma tu miejsca na nadzieję; toczącej się jak lawina niszczącej siły nikt nie może powstrzymać. Minął czas dany na opamiętanie. Teraz przychodzi dzień rozliczeń i unicestwienia.

Szczególnie Janowa apokalipsa „odżywała” w czasach zainteresowania ludzi końcem świata. Przypadał ten czas na przełomy stulecia i tysiąclecia. Już św. Augustyn musiał polemizować z poglądami niektórych astrologów, którzy zapowiadali koniec świata na rok 400 po Chrystusie.

Ogromny wzrost napięcia i chorobliwego oczekiwania końca dał się odczuć, gdy zbliżał się rok tysięczny. Podobno za zły omen poczytano zbiegnięcie się w 970 roku w jednym dniu Wielkiego Piątku i święta Zwiastowania. Wkrótce też, jakby na potwierdzenie przeczuć, wystąpiły w Europie epidemie dżumy, zaćmienie słońca oraz wybuch Wezuwiusza. To wystarczyło, aby myśleć, że zbliża się koniec wszystkiego.

— Nie wszyscy historycy są zgodni co do tego, że ludzkość żyjąca na przelomie pierwszego i drugiego tysiąclecia rzeczywiście obawiała się końca świata. Jak pisze Daniel Rops w książce *„Kościół wczesnego Średniowiecza”*, sama nazwa rok tysięczny budzi w nas obraz złowrogich czasów pełnych niepojętej trwogi, wydanych na pastwę najgorszych sił zniszczenia. Nie trzeba wcale umieszczać tego czasu w klimacie Apokalipsy i kojarzyć wszystkiego z grozą Sądu Ostatecznego. *„Prawdą historyczną jest, że nie tylko rok 1000, ale całe poprzednie stulecie i część następnego stanowią ponury okres, w którym ludzie oślepieni krwią, zbrukani błotem, straszliwie błędzili w mrokach. Wszystko to, co znał już wiek IX w okresie upadku Karolingów — a więc niepohamowana brutalność, niemoralność, upadek instytucji — dochodzi wówczas do szczytu. Wiek V, epoka najazdu barbarzyńców, w porównaniu z tym był niczym”*.

— Katastrofizm roku tysięcznego miał swoje realne przyczyny. Czy można sobie wyobrazić czym było życie, skoro człowiek mógł się codziennie spodziewać, że ujrzy bandy Normanów, czy Saracenów lub skórzane kurty zastępów węgierskich? Ten niepokój o życie przenikający wszystko, był główną właściwością psychiki. Pesymizm, smutek, przerażenie — to były cechy myślenia ludzi. Czy trudno się dziwić, że ludzie byli zdemoralizowani? Bandytyzm, zniszczenia, rabunek są czymś tak zwyczajnym, że przewiduje się je w kontraktach handlowych.

— Chrześcijanin tego czasu jest kimś rozdwojonym: potrafi zabijać i gwałcić, a równocześnie oddaje się niesłychanym umartwieniom. Pielgrzymuje pobożnie do Jerozolimy, a w pałacach przejmie obyczaje muzułmańskie, utrzymując prawdziwy harem. Demoralizacji ulega także duchowieństwo — o czym świadczą ówczesne synody, rzucające klątwę na konkubiny księży.

— Rops pisze, że ówczesne pojmowanie religii było dosłownie przesiąknięte zabobonami tak absurdalnymi, że

trudno w to uwierzyć. „*Między Bogiem, straszliwym Panem, od którego zależą wszystkie nieszczęścia na ziemi, a nędznym człowiekiem ośmielającym się zaledwie podnieść głowę, porusza się cały tłum bytów pośrednich, dobrych lub złych, świętych, aniołów i demonów, wśród których nie zawsze można się dobrze zorientować. Kult świętych jest powszechny i przybiera wszelkie możliwe formy najgorszej czci. Nie ma miasta, parafii, która by nie miała swego protektora, swego pośrednika tak wielbionego, że wobec niego zapomina się o Najwyższym. Coraz bardziej poszukuje się relikwii, sprzedaje się je, kupuje, dzieli, wymienia, a w razie potrzeby — kradnie. Wszystkie są prawdziwe! Wszystkie mają cudowną moc! Laska Mojżesza, znaleziona w Sens około roku 1000, jest tak samo prawdziwą relikwią, jak piszczel św. Stefana. Wszystko jest znakiem, przejawem, groźbą nieba. Gdy zagrzmie Wezuwiusz lub spleonie kilka lepianek krytych słomą, gdy podczas zaćmienia zbledną ludzkie twarze lub w kanale La Manche ukaże się olbrzymi wieloryb — wszystko to jest oczywiście przestrożą, a najmniejszy piorun, jaki uderzy, kreśli na murach powszechnego Babilonu «Mane, Tekel, Fares» z księgi Daniela» (s. 612—613).*

Daniel Rops polemizując z legendą o strachu przed końcem świata, pisze: „Nie było nowego postrachu w przededniu roku 1000. Istniały lęki, aż nadto usprawiedliwione nieszczęściami epoki, które pewne umysły interpretowały w sposób proroczy, uzyskując posłuch wśród mas. Bardziej prawdziwe niż słynne legendy jest zdanie ówczesnego kronikarza Thietmara: «Gdy nastąpił najlepszy rok od chwili zbawiennego porodu nieskalanej Dziewicy, promienny świt zabłysnął nad światem». Albowiem pomimo tych wszystkich ciemności, zachowały się zadatki światła, a w bagnie owej epoki płynęła jeszcze woda, która ożywi wszystko» (s. 616).

Tylko więc niektórym ludziom w roku tysięcznym wydawać się mogło, że nic nie zatrzyma zbliżającego się

końca świata. Kiedy jednak minęła północ, zapanował szal radości. Nikomu nie było spieszno na drugi świat, zaś datę końca świata przesunięto na dalsze lata.

Chociaż rok tysięczny minął bez spełnienia się zapowiedzianych przepowiedni, ruch chiliastyczno-apokaliptyczny nie wygasł. Uważa się, że wyprawy krzyżowe zapoczątkowane w XI wieku są wyrazem odpowiedzi na obietnice głoszące powrót Palestyny przy końcu świata pod władanie chrześcijan. Wówczas wierzono, że cesarz Karol Wielki zmartwychwstał i poprowadzi krucjatę na Wschód. Według podań, powstały z grobu cesarz będzie znakiem czasów ostatecznych.

W 1179 roku Jan z Toledo przepowiedział wielką katastrofę, która miała się wydarzyć w 1186 roku w wyniku zderzenia planet w znaku Wagi. W wielu krajach poczyniono przygotowania na zbliżający się koniec czasów.

Joachim z Fiore, opat cystersów w Corazzo w Kalabrii, żyjący na przelomie XI i XII wieku, wykluczony z Kościoła, napisał wiele apokaliptycznych komentarzy do Pisma św., które przedstawiały dzieje świata podzielone na trzy części: okres Boga Ojca i Prawa — od stworzenia do odkupienia; okres Ewangelii i Syna — zbliżający się wówczas do kresu; i okres wiecznej Ewangelii i Ducha Świętego — od 1260 roku. W tym trzecim okresie miał powstać nowy Kościół, kierowany przez podobnego do Chrystusa przywódcę. Laicy mieli zająć miejsca biskupów.

Proroctwa Joachima z Fiore niemal zaczęły się spełniać, gdyż niezwykle rozwój przeżywały w tym czasie zakony mendykanckie tj. franciszkanie i dominikanie. Właśnie franciszkańscy spirytualowie i fraticelli, głoszący całkowite ubóstwo, powoływali się na pisma Joachima z Fiore. Tysiące ludzi przyłączyło się wówczas do nich porzucając majątki, rodziny, pracę..., w oczekiwaniu rychłego sądu ostatecznego nad bogaczami, a zwłaszcza wyższym ducho-

wieństwem. Reformatorzy zostali jednak uznani za here-tyków, choć ich radykalne poglądy odżywały co jakiś czas.

Podobnie ruch husycki w Czechach w XV wieku nawią-zywał do poglądów chiliazmu, bliskiego końca świata. Kaznodzieje ruchu rozgłaszali, że nadchodzi czas sądu i tylko nieliczni ocaleją. Wyznaczono pięć miast ucieczki, do których mieli schronić się wybrani. Na wiosnę 1419 roku zebrali się wszyscy na górze nazwanej Tabor, aby założyć od nowa apostolski kościół. W 1421 roku zostali tam pobici przez wojska cesarskie i wypędzeni.

Apokalipsa św. Jana stała się „natchnieniem” dla wielu innych wizjonerów i katastrofistów. I tak np. na rok 1400 wyznaczył datę końca świata Wiklef, a na rok 1412 św. Wincenty z Ferrary. Jednak najbardziej radykalne koncepcje związali z tym tematem twórcy XIX-wiecznych sekt. Tak się bowiem dziwnie składało, że różnego auto-ramentu „prorocy” rozpaczy spotkali się ze zdumiewają-cym posłuchem w wieku racjonalizmu i zwycięstwa nauki.

## Godzina sekt

**O**becny zmierzch dwutysiąclecia jest znakomitą okazją dla różnego rodzaju sekt, aby epatować propagandą końca świata. Nie zawsze chodzi o straszenie apokaliptycznymi wizjami. Można do tematu podejść pozytywnie i zapowiadać, że w najbliższym czasie zniknie z ludzkiego życia cierpienie i zło, nie będzie przemocy, głodu i chorób. Wszyscy będą się cieszyć dobrym zdrowiem, a przede wszystkim: zniknie prawo śmierci.

Oczywiście, nie stanie się to bez częściowej zagłady świata, chodzi wszak o „oczyszczenie”, wytracenie tych, którzy nie zasługują na lepsze życie. Zniszczeniu ulegną np. systemy polityczne, organizacje międzynarodowe,

wszystkie religie — oprócz naszej. Zagłada stoi u drzwi, przyjdzie lada moment, ale nie na nas.

Co należy czynić — pytają zaniepokojeni nie na żarty słuchacze? „Musisz opuścić swoją fałszywą religię i dołączyć się do nas. Tylko z nami czeka cię życie w raju!”

Można by sądzić, że jedynie głupiec może w to wszystko uwierzyć, w rzeczywistości bywa inaczej. Te i podobne doktryny są zbudowane ze zreżymowanych cytatów Ksiąg Świętych zwłaszcza Pisma św., wspiera je ponadto „armia” wypowiedzi różnych naukowców, to nie że wygłoszonych w innych kontekstach i sytuacjach. Ważne, że nam to w tej chwili pasuje do całości obrazu.

To oczywiście, że na krytyczne słowa członkowie sekt mają gotowe odpowiedzi, również z Pisma św., w rodzaju: „Przyjdą w ostatnich dniach szyderycy, którzy będą postępować według własnych żądz i będą mówili: Gdzie jest obietnica Jego przyścia? Odkąd bowiem ojcowie zasnęli, wszystko jednakowo trwa od początku świata” (P 3, 3—4).

Pismem świętym można się posłużyć dla udowodnienia największej bzdury, a nawet wybrać słowa, które zaświadczą, że Boga nie ma. Wystarczy tylko wyrwać z kontekstu odpowiednie cytaty.

Co oferuje sekta? Pozytywnie na rzecz patrząc, daje swojemu członkowi poczucie bezpieczeństwa, odpowiedź na skomplikowane pytania i sytuacje, teologię sukcesu, a nawet osiągnięcie duchowej pełni. Dla osób z marginesu społecznego, a często tacy zasilający szeregi sekty, jest to gwarancja ochrony i resocjalizacji. Ktoś wreszcie jest z nimi w pełni solidarny.

Sekta daje nowe poczucie sensu życia, możliwość głębszego poznania Biblii, medytacji. Takie pseudoreligie, jak „Dzieci Boga”, ruch „Krishna”, czy „Medytacja Transcendentalna” dają złudzenie intensywnego dochodzenia prawd ostatecznych, podając ludziom zbawczą receptę.

Ruchy oparte na totalitarnym przywództwie dążącym do władzy gospodarczej i politycznej obiecują „totalną wolność” i ze względu na ogólną dostępność przyciągają młodych słuchaczy. Sięgnijmy po przykłady.

Zrozpaczona matka pewnej dziewczyny, która wstąpiła do sekty „*Dzieci Boga*”, żaliła się telewizjom: „Córka przyjęła zaproszenie na wspólny posiłek, następnie została poddana praniu mózgu i teraz nie chce wrócić do domu. Czekam razem z innymi na koniec świata. Jest zdeklarowaną prostytutką, urodziła już tam czworo dzieci, i wierzy, że czyni to ku chwale Chrystusa”.

Ojciec jednego chłopaka będącego pod wpływem sekty *Moona*, wynajął zawodowego porywacza, a później płacił wysokie honoraria psychologom, którzy mieli synowi pomóc odzyskać równowagę psychiczną.

Nowe kultury religijne nie stronią od wyzysku, narkotyków, prostytucji, psychologicznego zniewolenia, a nawet gwałtów i morderstw. Kto nie pamięta, niech sobie przypomni okrutny fanatyzm Charliego „Szatana” Mansona, który zabił Sharon Tate, żonę Marka Polańskiego, albo zbiorowe samobójstwo w Gujanie „Wielebnego” Jima Jonesa z Kalifornii i jego tysiący wiernych. Przyczyną była oczywiście sugestia, że „jutro” nastąpi koniec świata.

Sekty służą często za przykrywkę dla organizacji o czysto handlowym charakterze, stawiają na idealizm młodzieży i gromadzą naśladowców za pomocą technik przekonywania, które można umieścić między platonicznym zakochaniem, a seksualnym kuszeniem.

Sun Myung Moon, ponad 70-letni koreańczyk, wielokrotnie żonaty, właściciel prawdziwego imperium finansowego, jest — jak zapewnia — „nowym mesjaszem” i założycielem *Kościola Zjednoczenia*. Sekta liczy podobno kilka milionów członków w 120 krajach.

Kariera „wielebnego” Moona rozpoczęła się w latach 70. w cieniu dyktatury południowokoreańskiej Parka, któ-

ry zezwolił mu na zdobycie monopolu w handlu korzeniami żeń-szenia. Po sukcesach finansowych Moon zmienił się z przedsiębiorcy w „mesjasza”. Jednego dnia, jak oświadczył, objawił mu się Chrystus i wyjawił swoje „Boskie zasady”, które na zdrowy rozum, są stekiem bzdur. Jakim cudem zdobył Moon poparcie w Stanach Zjednoczonych, pozostanie jego tajemnicą. Tam rozwinął swoją teorię religijną, a przede wszystkim rozbudował swój biznes (prasa, radio, nieruchomości, banki). Roczne dochody „mesjasza” na czysto wynoszą ponad 700 mln dolarów.

Innego rodzaju dewiację religijną tworzy sekta *brahma-kumari* (boskich kawalerów) mająca najwięcej zwolenników w Indiach i Pakistanie. Jej członkami są nawet wysocy urzędnicy ONZ, czy innych instytucji międzynarodowych. Wśród założeń sekty przestrzega się ściśle zasady Mahatmy Gandhiego o niestosowaniu przemocy ponad wszystko.

Boscy kawalerowie są w zasadzie ruchem pokojowym, choć opartym na religijnej doktrynie. Jedną z pierwszych zasad głosi, że „Bóg jest ten sam dla wszystkich, niezależnie od różnych imion, jakie nadała mu ludzkość”.

Sekta zapowiedziała na czerwiec 1967 roku koniec świata. Kiedy to nie nastąpiło, zapowiedziano, że data została jedynie odroczone i nowy termin ustalono na rok 2000. „Ale — dodają boscy kawalerowie — ten spodziewany kataklizm nie pociągnie za sobą zagłady całego rodzaju ludzkiego.” Przeżyją, to oczywiście, „czyści”, czyli członkowie sekty noszący śnieżnobiałe tuniki, „żyjący w połączeniu z najwyższym Ojcem”.

Jakkolwiek *brahma-kumari* nie mieszczą się w ramach żadnych wyznań, wpływ Sziwy na ich widzenie świata jest dominujący. Według ich opinii, ludzkość wejdzie wkrótce w końcową fazę „kali juga” czyli „żelaznej epoki” kosmicznego czterocyklu wiary hinduskiej. Ten żelazny wiek



jest epoką mroku, niezgody i przemocy. Sziwa przybrawszy dobroczynną postać „cesarza świata Śri Narajany i jego cesarzowej Śri Lakszmi” (bóg hinduski jest hermafrodytą) poprowadzi ocalałych z kataklizmu ludzi ku nowemu „wiekowi złotemu” (16 obiecanych reinkarnacji).

Gdy zaś skończy się ta epoka, Śri Kriszna i Śri Radha wprowadzą „wiek miedziany” (osiem reinkarnacji), po czym znów nastąpi nawrót „wieku żelaznego” (42 reinkarnacje), przy czym każda „epoka” będzie trwała 1250 lat, licząc według długości życia człowieka.

Niestety, boscy kawalerowie nie mówią konkretnie, jak będzie wyglądał koniec świata, tzn. jaka katastrofa nas czeka. Jest wśród nich wielu naukowców, którzy zdają sobie sprawę ze skutków np. wojny nuklearnej, która mogłaby nie oszczędzić także ich samych.

W Stanach Zjednoczonych największe zagrożenie stwarzają trzy sekty: *Kościół Scjentologii* posługujący się nielegalnie zdobyciami psychiatrii, *Kościół Zjednoczenia* (Mona) — propagujący prymitywny i nieokiełznany antykomunizm, oraz *Dzieci Boga* — „specjaliści” w zakresie swobody seksualnej.

To oczywiście, że ludzie ulegający sektom, nie zdają sobie sprawy, że cały kontakt został zainscenizowany, że obmyślono dokładnie metodę nawrócenia i szkolenia. Za serdecznością ukrywa się podstęp, a za wiedzą solidna manipulacja. Później następuje zerwanie z dawnym środowiskiem, rodziną, miejscem pracy...

Sekty za wszelką cenę pragną sprawić wrażenie, że we wszystkim kierują się ku temu, co najbardziej istotne — religijnemu wymiarowi życia. Jednak w gruncie rzeczy świat dla nich jest zły, pochodzi od szatana. Istnieje pewna grupa osób podatnych na taką naukę, mających mentalność sekciarską. Szukają „nowego” życia w różnych wizjach, prorocत्वach i przepowiedniach, głosach dusz czyszcących, wróżbach. Są gotowi dać się wciągnąć do

jakiejś grupy osób głoszących religijność wypaczoną i prymitywną.

Pamiętam jak adwentyści przygarnęli Mariolę. Była prymusem na studiach, dyplom otrzymała z wyróżnieniem, a później dostała tylko mało ważną pracę w szkole podstawowej na wsi. Mieszkała w wynajętym pokoiku w gospodarskim domu. Jednej nocy omal nie zgwałcił ją syn gospodarza, wyrośnięty osilek. Także dyrektor, owdowiały i bardzo natarczywy, nastawał na nią. Żadnych perspektyw przed sobą. I nagle zjawia się w jej życiu chłopak, robotnik pracujący w melioracji. Uczciwy i mądry. Dopiero potem okazuje się, że jest adwentystą. Miał charakter przywódcy, to była miłość połączona z werbunkiem do sekty, ze szkoleniem i psychologicznym naciskiem.

Najpierw pozwoliła się ochrzcić. To była piękna uroczystość nad brzegiem jeziora. Ślub był tylko formalnością urzędową. Zgubiła ją ciekawość, chęć głębszych przeżyć, a może przede wszystkim pragnienie wyrwania się z tej wioski. Przejrzała na oczy, kiedy urodziło się im dziecko. Nie kochał go. Stale gdzieś kogoś nawracał. Znowu była sama, choć nie samotna. Wróciła do rodziców. Dobrze, że przyjęli ją z powrotem. Przypadek z sektą ukrywa głęboko. On nie rości pretensji ani do niej, ani do dziecka. Nie chce jednak słyszeć o rozwodzie.

Założycielem adwentystów był amerykański farmer William Miller, który na podstawie różnych własnych obliczeń doszedł do przekonania, że 22 października 1844 r. Chrystus powtórnie przyjdzie na ziemię. Podstawą jego przepowiedni było m.in. trzęsienie ziemi w Lizbonie (1755 r.), zaćmienie słońca i księżyca (1780 r.), deszcze meteorów (1833). Wydawało się, że w tych wydarzeniach spełniają się zapowiedzi apokaliptyczne św. Jana apostoła. Gazety amerykańskie pisały o teorii Millera nieustannie. Ludzie szykowali się na ów dzień, żegnali z krewnymi i znajomymi. Kiedy rok 1844 przeminął bez spełnienia się

zapowiedzianych kataklizmów, w normalnych warunkach sprawą powinien zająć się prokurator. Tylu przecież ludzi zostało oszukanych i ograbionych. Miller jednak nie dał za wygraną. Zaczęto ludziom wyjaśniać, że Chrystus przyszedł, ale uczynił to w sposób niewidzialny i zamieszkał w niebiańskim pałacu. Wielu nie dało się nabrać na tą nową wersję końca świata, niektórzy jednak — zwani później adwentystami — oczekiwali ujawnienia się Chrystusa, co miało nastąpić w 1873 r. Dołączył do nich Charles Russel, uważany za inicjatora *Badaczy Pisma Świętego* oraz *Świadków Jehowy*.

Charles Taze Russel (1852—1916), urodzony pod Pittsburgiem w USA, pochodził z kupieckiej rodziny, choć nie zdobył nawet średniego wykształcenia. Najpierw był związany z sektą kongregacjonistów, a od 1870 r. adwentystów. Dołączył do tych, którzy po zawodzie doznanym w 1844 roku, nowy koniec świata zaplanowali na lata 1872—1873. Kiedy i to nie nastąpiło, Russel, choć zawiedziony, należał do członków, którzy upierali się przy poglądzie, że Chrystus mimo wszystko niewidzialnie przyszedł, ale trudno jest ustalić datę końca świata. Razem z innymi czołowymi adwentystami zdołał skupić wokół siebie grupę osób i zaczął wydawać dla nich pismo „*Strážnica*”. Pociągało go zgłębianie planu Boga wobec świata. Analizował dokładnie każdy apokaliptyczny werset Biblii. Pisał i wysyłał swoich propagatorów (pielgrzymów) w świat. Nazywano ich *Badaczami Pisma Świętego*. Ich doktryna miała wspólne treści z adwentystami: literalna interpretacja Biblii, chiliazm, obliczanie daty końca świata, odrzucenie nauki o piekle i nieśmiertelności duszy, przyznawanie w apokalipcyce znaczącej roli szatanowi, określanie chrześcijaństwa i Kościoła katolickiego mianem Babilonu.

Russel przepowiedział koniec świata na 1914 rok. Obliczeń dokonał w sposób karkołomny, a przede wszystkim

naiwny. Uznał, że należy do daty upadku Jerozolimy (607 r. przed Chrystusem) doliczyć 2520 lat i otrzymujemy 1914. Skąd się wzięło 2520? Jest w Apokalipsie zdanie: „A niewiasta zbiegła na pustynię, gdzie miejsce ma przygotowane od Boga, aby ją tam żywiono przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni” (Ap 12, 6). Czytając dalej ten tekst jest mowa o pomnożeniu tego czasu razy dwa. Stosując biblijną zasadę z Księgo Liczb, że u Boga jeden rok jest równy jednemu dniu, otrzymujemy owe 2520 lat.

Rok 1914 stał się symboliczny. Według Świadców Jehowy Chrystus stoczył w 1914 r. wojnę z szatanem i strącił go z nieba na ziemię. Od tego roku można więc liczyć, że zaczęły się „dni ostatnie”, a właściwie rozpoczął się bój zwany Armagedonem, w którym zostanie zniszczony Kościół katolicki, wszystkie rządy i organizacje polityczne.

Kiedy jednak w tym roku koniec świata nie nastąpił, aby uratować prestiż, dorobiono do daty 1914 inną interpretację, mianowicie przywołano słowa Chrystusa: „Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie” (Mt 24, 34). Chodziło więc o wydłużenie „końca świata” niemal do końca naszego wieku. Czy to się sprawdzi? Raczej należy w to wątpić.

Po śmierci Russela w 1916 roku pozostał ogromny majątek organizacji oraz kompletny rozpad zaufania u członków. Tylko niepospolity organizator mógł sobie z tym poradzić. Takim okazał się Józef Franklin Rutherford (ur. w 1869 r.). Był synem farmera. Zdobył prawnicze wykształcenie. Praktykował jako adwokat i sędzieja. Od 1906 r. stał się bliskim współpracownikiem Russela. W 1917 r. siedmioosobowa dyrekcja „*Towarzystwa Strażnicy*” wybrała go prezydentem spółki i sekty.

Rutherford był dyktatorem. Szybko pozbył się niewygodnych współpracowników, a zamianował osoby uległe mu i oddane. Przeredagował pisma Russela, dołączył do nich nowe przepowiednie. Swojego poprzednika posądził,

że był pod wpływem szatana. Co ważne: uczynił z sekty organizację na kształt „państwa Boga”, które przeciwstawił zdecydowanie wszystkim strukturom świeckim. Członkowie sekty odmówili służby wojskowej, składania przysięg, szacunku dla flagi narodowej. Łączyło się to ze zdradą narodu, ponieważ w tym czasie USA włączyły się do I wojny światowej. Rutherford wraz z siedmioma współpracownikami został skazany na 20 lat więzienia. Jednak w 1920 r. anulowano im karę.

Teraz należało podreperować utracone zaufanie i kasę. Rutherford ustalił ostateczną datę końca świata na 1925 rok, podkreślał, że przy tej okazji powrócą na ziemię Abraham, Izaak, Jakub oraz inni wierni mężowie Izraela. Wynajęto i wyposażono dla nich jeden z domów w Kalifornii, w którym tymczasowo zamieszkał Rutherford. Niestety, koniec świata nie nastąpił, nie pojawili się też biblijni mężowie. Wpadkę należało znowu jakoś wytłumaczyć. Zamiast tego, Rutherford wprowadził kolejne zdecydowane zmiany strukturalne i rygor wewnętrzny. Wszystkie grupy podporządkował centrali w Nowym Jorku, każdego członka sekty zobowiązał do „służby polowej” czyli bezinteresownego odwiedzania domów w niedzielę i kolportażu pism. Zmienił także nazwę sekty na *Świadkowie Jehowy*, co miało oznaczać, że jest to wspólnota zbawcza czasów ostatecznych, organizacja teokratyczna, stowarzyszenie nowego świata. Według Rutherforda Jehowa bezpośrednio zawiaduje „*Towarzystwem Strażnicy*”, które odtąd jest jedynym „znakiem przekaźnikowym”, dzięki któremu panuje nad światem. Oczywiście Jehowa wszystkie swoje polecenia kieruje do centrali czyli bezpośrednio do Rutherforda, a on przekazuje dalej poszczególnym grupom. Zerwano wszelkie kontakty z chrześcijaństwem, które Russell starał się zachować. Także uwydatniono rys antyżydowski, ponieważ godność „Ludu przymierza” przeszła wyłącznie na Świadków.

W 1966 roku zapowiedziano nową datę końca świata na wrzesień 1975 roku. Według Ciała Kierowniczego, upływało w tym czasie 6000 lat od stworzenia Adama i Ewy. Anachroniczny termin, wybrany za Biblią, ale wbrew nauce, okazał się jak poprzednie, niewypałem. Centrala wyjaśniała więc, że Jehowa przekazał „nowe światło”, tzn. przesuwając koniec świata na dalszą przyszłość, aby mogła rozwinąć się bardziej aktywność Świadców.

A co z pokoleniem 1914? To jest oczywiście kolejna pułapka Świadców Jehowy, ale z pewnością Ciało Kierownicze w Brooklynie już wymyśliło nową interpretację tego tekstu, którą członkowie muszą bezwzględnie uznać za jedynie prawdziwą. Zgłaszanie wątpliwości jest równoznaczne z wykluczeniem z sekty. Za nieprawomyślność został wydalony nawet Raymond Franz, członek Ciała Kierowniczego, a zarazem bratanek obecnego przewodniczącego F.W. Franza.

Może to, co napiszę teraz, stanowi zbyt odległe porównanie, ale uważam, że sekciarskie są również utopie polityczne, a zwłaszcza jedna, która ostatnio zbankrutowała. Chodzi o marksizm. Nie wdając się w jego ideologiczne principia, napiszmy, że marksizm skończyłby się jeszcze przed II wojną światową, gdyby nie został podtrzymany bagnietami, mordowaniem przeciwników politycznych.

Próbowano też zaszczepić w marksizm idee mesjańskie, a konkretnie zaczęto mówić o tysiącletniej erze szczęśliwego panowania komunizmu. Na użytek zbrodniczych polityków, głównie Stalina, znany filozof żydowski — Ernest Bloch zaczerpnął głęboką ręką z Apokalipsy św. Jana, przedstawiając ateizm jako religię bez boga, wiarę bez kościoła.

„Ateizm wg Blocha nie jest wrogiem religii, lecz jej warunkiem w tym sensie, że bez ateizmu nie ma chrześcijaństwa i tylko dobry ateista może być dobrym chrześ-

cijaninem i tylko dobry chrześcijanin może być dobrym ateistą. Wszystko to dokona się po tysiącletnim panowaniu klechów, nowe zaś królestwo będzie trwało 1000 lat, a początek temu dała rewolucja październikowa. To Bloch wypowiedział słynne: *Ubi Lenin — ibi novum Jeruzalem*” (za: R. Rak, *Od utopii marksistowskich do mistycznych, Wiadomości Diecezjalne w Katowicach*, nr 4/1991).

Drugim głosicielem tysiącletniego panowania komunizmu był Herbert Marcuse, teoretyk tzw. rewolucji kulturalnej. To on powiedział: „Tylko ludzie żyjący na marginesie społeczeństwa: filozofowie, artyści, ludzie zdeklasowani, studenci, nawet seksualnie zbroczeni, mogą uformować mniejszości kontestatorskie, gdyż nie będąc przez społeczeństwo zasymilowani, są na tyle wolni, że mogą wywołać proces rewolucyjny” (za R. Rak, tamże). Należało więc wszystko zniszczyć, także małżeństwo i rodzinę, by zbudować tysiącletnie królestwo komunizmu. Próbowano tak uczynić w ZSRR, Chinach, Kambodży czy Korei Północnej. Marksizm miał zastąpić religię, a chrześcijańska nadzieja zbawienia miała się stać ideą 1000-letniego królestwa szczęścia na ziemi.

Marksieści wciągnęli do swej pracy filozofów i teologów zachodnich, zwłaszcza protestanckich m.in. Jürgena Moltmanna, Dorotheę Sölle czy J.B. Metza. Teologia polityczna, jaką zaczęto wówczas uprawiać, dobrze przysłużyła się polityce ZSRR, lansowaniu pokoju, doczesności, nowemu niebu i nowej ziemi w tym życiu.

Mając takie zaplecze ideologiczne zarzucono sieci na Amerykę Południową, gdzie pozyskano dla marksizmu Kubę oraz na krótko Chile, oraz stworzono teologię wyzwolenia. Jej główni teoretycy, Gustavo Gutierrez i Leonardo Boff, zaczęli głosić tezy, że rewolucja październikowa czy rewolucja z 1959 r. na Kubie stały się już spełnieniem obietnic mesjańskich, eschatologicznych, ponieważ w ogó-

le rewolucja jest częścią zbawienia człowieka. Chrystus jest wzorem marksistowskiego rewolucjonisty, każdy zaś rewolucjonista staje się ucieleśnieniem prawdziwego Chrystusa.

Teologia wyzwolenia była potężnym ramieniem marksizmu. Zbałamucono wielu duchowych i dziesiątki tysięcy świeckich. Trzeba było całkowitego rozpadu komunizmu, aby ci wszyscy ideolodzy poczuli się bankrutami. Choć nie tak do końca. Bo jeszcze niedawno Uniwersytet w Turynie nadał L. Boffowi doktorat honoris causa. Tak samo wyróżnił Gutiereza Wydział Teologiczny w Zurichu. Może czyni się tak na przekór Papieżowi — za to, że obnażył marksistowską utopię, a zachodnich teologów pozbawił baśniowych mrzonek.

Czy to już koniec utopii marksistowskiej? O nie. Ideolodzy i teologowie nie czują się przegrani. Marcuse stał się ojcem nowego zamieszania, nowej rewolucji, ale na innym polu duchowym. Chodzi mu teraz o to, aby przekształcić społeczeństwo w miłujące się grupy, wówczas powstałaby nowa nadzieja na zbawienie i wyzwolenie człowieka. Tu, w doczesności, powinno zapanować tysiącletnie królestwo. To Marcuse ukierunkował myślenie znanego filozofa Fridtjofa Capry, który jest głównym teoretykiem *New Age*, nowej sekty rozprzestrzeniającej się z nieprawdopodobną siłą na świecie.

A drugi bankrut, Leonardo Boff? Już porzucił zakon, teologię wyzwolenia, a zajął się propagowaniem religii afro-brazylijskich, czyli spirytyzmu i okultyzmu. Znowu te wartości go zafascynowały, oddał się pokusie nowej mistyki.

Sławny teolog szwajcarski Hans Urs von Balthasar, zapytany krótko przed swoją śmiercią, czy komunizm i marksizm będą ostatnią wielką pokusą dla ludzkości, odpowiedział: *„Przyjdą jeszcze większe, a zawsze będą to pokusy ze strony Złego Ducha. Będzie to może pokusa ze strony fałszywej mistyki i religii wschodnich, albo będzie to*



może pokusa ze strony samego człowieka, który chciałby być autonomiczny. Zachłyśnięty bowiem wspaniałą techniką, człowiek powie sobie: po co mi Bóg... To jest echo pokusy wypowiedzianej w raju: *Będziecie jako Bogowie*" (Rdz 3, 4). Kardynał ten, który nie zdążył przed śmiercią odebrać swego kapelusza kardynalskiego, zapytany, czy my chrześcijanie nie jesteśmy winni temu stanowi rzeczy, odpowiedział: „Tak, bo my nie żyjemy Ewangelią, a ludzie słabi obserwują to u nas i też nią nie żyją” (za: R. Rak, tamże).

Pozostaniemy jeszcze chwilę przy *New Age*. Jest to z pewnością ruch religijny powstały w związku ze zbliżającym się końcem drugiego tysiąclecia. Nowa sekta przyjmuje astrologiczny podział dziejów na cykle powtarzające się co 2000 lat. Ziemia obecnie opuszcza erę Ryb, a wstępuje w erę Wodnika. Znak Ryby, symbol Chrystusa, zostanie zastąpiony znakiem wodnika — obrazem człowieka nalewającego wodę z garnka. Schyłek epoki, w którym żyjemy, cechuje nadmierny rozwój techniki i przemysłu ze wszystkimi śmiertcionośnymi następstwami niszczącymi biosferę. Inne cechy to: dominacja racjonalizmu i ekonomizmu; rozkwit nacjonalizmów, dyskryminacji i rasizmu; podział świata na bogatych i biednych, na zwalczające się bloki polityczne; masowe bezrobocie; wzrost używek; wzrost liczby przestępstw; rozwój przemocy; pojawienie się nowych chorób.

Dopiero nowa epoka, Wodnik, w opinii astrologów, przyniesie wolność we wszystkich dziedzinach życia. Jednak erę szczęśliwości, mającej trwać 1000 lat, poprzedzi kosmiczna katastrofa. Naukowcy związani z *New Age* twierdzą, że katastrofę spowoduje odchylenie się Ziemi od swojej osi. Nastąpi to jeszcze przed upływem stulecia.

W *New Age* nie ma określonej, jednej doktryny. Wszystko się przyjmuje, byleby tylko nie miało to nic wspólnego z chrześcijaństwem czy judaizmem, z Biblią i proroka-

mi. Twierdzi się, że tradycja monoteistyczna przeżyła się i wyczerpała. *New Age* czerpie więc soki z bezliku najróżniejszych tradycji duchowych, które zostały odrzucone przez chrześcijaństwo. Są wśród nich gnoza i ezoteryzm, alchemia, kabalistyka, Tarot, satanizm, magia, parapsychologia, telekineza i jasnowidztwo.

Szerokim nurtem wpływają do *New Age* wschodnie tradycje duchowe, buddyzm, taoizm, hinduizm, perski sufizm. A także religie plemienne, głównie szamanizm.

I trzeci nurt, dla umysłów wybitniejszych, to próby powiązania doświadczeń religijnych z najnowszymi osiągnięciami nauki. Tu króluje Heisenberg, fizyka kwantowa, teoria o nieprzewidywalnych zmianach w kosmosie itp.

Folklor *New Age* jest tak irracjonalny, że przez to jakby prawdziwy. Między tajemnicą a głupotą jest wąska granica. Świat nadprzyrodzony w *New Age* stawia się na zawołanie. Uśpione media wchodzi w kontakt z duchami. Śmiertelnicy korzystają z wiedzy nieśmiertelników. Prowadzi to do zbiorowej halucynacji.

Okultyzm, satanizm, wiara w uzdrawiającą moc kryształów, magia liczby 666 przeciwstawianej boskim liczbom 3 i 7... Czego tu nie ma. Jest oczywiście UFO, są kosmici!

Virginia Essene w książce „*Nowa nauka dla budzącej się ludzkości*” (1986) spisuje prawdy, które powierza jej istota duchowa, przedstawiająca się jako — po prostu — Chrystus. Nowy Chrystus (Jezus z Nazaretu był — zdaniem zwolenników *New Age* — tylko jednym z Chrystusów), twierdzi, że religia chrześcijańska, podobnie jak żydowska, są znacznie mniej „użyteczne” niż hinduizm.

Od hinduizmu prorocy *New Age* przejmują, przetwarzając ją nieco, wizję migracji dusz, a więc perspektywę nieśmiertelności, wiecznego szczęścia, osobliwej nieważkości istnienia. Znana aktorka Shirley MacLaine, która stała

się jedną z najgorętszych entuzjastek nowej wiary, dowiedziała się od przemawiającego ustami medium ducha, że dlatego tak dobrze żyje się jej z ukochanym, żonatym mężczyzną (co było wcześniej jej problemem) — ponieważ w czasach staroegipskich, w jednym ze swych dawnych wcieleń, oni właśnie stanowili małżeństwo. Tak więc wszystko się pięknie i szczęśliwie wyjaśniło.

Badania wykazały, że 23 proc. Amerykanów wierzy w reinkarnację. Ten temat zadomowił się w literaturze i filmie. Przykładem „*Miasteczko Twin Peaks*”, serial telewizyjny na pograniczu jawy i czarów.

Swoistym manifestem *New Age* stała się piosenka Johna Lennona, zamordowanego przez szaleńca. Pochodzi ona z longplaya „*Imagine*” (1971). Słyszymy w niej m.in. słowa: „*Wyobraź sobie, że nie istnieje Niebo. / Spróbuj, to naprawdę proste. / Pod nami nie ma Piekła /... / Wyobraź sobie, że wszyscy ludzie żyją / dzisiejszym dniem... / Wyobraź sobie, że nie ma państw / To naprawdę proste. / Nie ma po co zabijać ani umierać, / Nie ma też żadnej religii / Wyobraź sobie, że wszyscy ludzie żyją w pokoju... / Wyobraź sobie, że nie ma własności. / Ciekawe, czy potrafisz? /.. /*”

*New Age* proponuje więc zsekularyzowaną wizję doskonałości i szczęśliwości, bez religii, norm etycznych i prawnych, z jedną naczelną zasadą życia: „Chcę być szczęśliwy i pozwalam innym być szczęśliwym”. Oczywiście, precz należy odrzucić przestarzałe, religijne dogmaty, moralność, którą czuć stęchlizną, hieratyczne instytucje, którym zależy tylko na przetrwaniu.

Co uczynić? Trzeba poddać się tajemniczym falom kosmosu, aby doświadczyć bezpośrednio tego, co Boskie. Ba, można po prostu stać się jak Bóg.

Pomysł godny umysłu najchytrzejszego z chytrych. Już kiedyś człowiek zapragnął być jak Bóg. Biblia mówi dokładnie o tym, kto człowiekowi to podpowiedział.



**DELKI ZNAK**





apokalipsie św. Jana czytamy kilkakrotnie o ukazywaniu się Maryi w czasach ostatecznych. To do niej odnoszą się słowa: „*Potem wielki znak ukazał się na niebie: Niewiasta obleczone w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu*” (Ap 12, 1). Papież Paweł VI ogłaszając adhortację apostolską o czci i naśladowaniu Najświętszej Maryi Panny, Matki Kościoła, rozpoczął ją właśnie od słów „*Signum magnum...*” (Znak wielki, 13 V 1967).

Od połowy XIX wieku Kościół żyje pod znakiem objawień maryjnych. Wielu teologów mówi o szóstym dniu świata, który jest pod znakiem Maryi, poprzedzającej przyjście Syna w chwale, przygotowującej siódmy dzień historii zbawienia, w którym Bóg ma odpocząć w swym działaniu. W każdym z tych objawień mamy do czynienia ze znakami i orędziami o charakterze eschatologicznym.

Blisko trzy wieki temu św. Ludwik Grignion de Montfort ujął ten temat w następujący obraz: pierwsze przyjście Jezusa dokonało się w poniżeniu, dlatego też Jego matka była pokorną służebnicą ukrytą przed światem. Na końcu czasów Chrystus objawi się w całej wspaniałości, a Jego matka poprzedzi Go jako Pani i Królowa. Św. Ludwik Maria Grignion w „*Traktacie o doskonałym nabożeństwie do najświętszej Maryi Panny*” nazywa Matkę Bożą praw-

dziwą perłą, która najpełniej odkrywa tajemnice człowieka, świata i Kościoła. Uważa dalej, że Maryja będzie jaśniejącym znakiem poprzedzającym koniec historii, przypominającym, że trzeba się przygotować na przyjście Pana.

Przynajmy, były to dość prorocze słowa, ponieważ od mniej więcej stu lat Maryjne objawienia intensyfikują się. Ale też niebywale wzrosły zagrożenia ludzkości. Dawniej wszystkie wojny czy epidemie miały charakter lokalny. Obecnie cały świat, nie uświadamiając sobie tego w pełni, żyje pod groźbą samozagłady. To jest najważniejszy problem ludzkości: jak przeżyć bodaj następne sto lat, jak uniknąć wojny nuklearnej, pokonać epidemię AIDS, uzdrowić powietrze, wodę i glebę, jak nie dopuścić, by mutacje genów doprowadziły do stworzenia potwora...

Analizując objawienia Maryjne od połowy XIX wieku, można dojść do przekonania, że nie przypadkowo ujawniają one chore i słabe strony ludzkości, a zarazem są wskazywaniem kierunku uzdrowienia. Tak było m.in. w Fatimie, w latach pierwszej wojny światowej, kiedy rozpadał się stary świat i rodziło zbrodnicze imperium komunistyczne, jak poroniony płód wolności wymyślony przez tych, którzy chcieli zająć miejsce cesarzy, królów i w ostateczności Boga.

Nie bójmy się stwierdzenia, że w umysłach trójki niepiśmiennych dzieci nie mogło powstać pojęcie Rosji Sowieckiej, wybuchu rewolucji komunistycznej, widma ateizmu, a także cierpień papieża. To były słowa prorocze, które zapowiadając tragiczną przyszłość, miały pomóc stawić czoła złu.

Wyzwolenie Wschodu jest dziełem Maryi — takich słów użył niedawno Jan Paweł II. Już nie pamiętam, kto zwrócił mi uwagę na fakt, że najważniejsze rozstrzygnięcia II wojny światowej przypadły w maryjne święta. I tak np.

8 grudnia 1941 r. włączyły się do wojny Stany Zjednoczone po ataku Japończyków na Pearl Harbour; 2 lutego 1943 roku nastąpiła klęska pod Stalingradem; 15 sierpnia 1943 r. skapitulowała Sycylia; 9 września tegoż roku skapitulowały Włochy. Tuż po święcie Wniebowzięcia NMP w 1944 r. alianci wylądowali w Tulonie i rozpoczęły się działania na froncie zachodnim; 12 września 1944 r. w święto Imienia Maryi alianci przekroczyli granicę Rzeszy; 8 maja 1945 r., w dzień objawienia Michała Archanioła w Fatimie, skapitulowały Niemcy; 15 września tegoż roku — skapitulowała Japonia. Tego dnia dopiero zakończyła się II wojna światowa.

Podobnych faktów można by znaleźć więcej we współczesnej historii. Dostrzegają te przedziwne powiązania wielomilionowe tłumy pielgrzymów, którzy corocznie udają się do Częstochowy, Lourdes, Fatimy, Knock czy Medziugorja. Ta ostatnia miejscowość urosła wręcz do niebywałych rozmiarów sanktuarium. Powstało ono dosłownie z dnia na dzień, z objawienia na objawienie. Matka Boża nazwała siebie Królową Pokoju. Zaklinała wręcz o modlitwy w intencji pokoju. Był to rok 1981, kiedy nikomu nie przyszło do głowy, że za dziesięć lat ten kwitnący kraj pogrąży się w bratobójczej wojnie.

Doskonale zauważa to zjawisko Jan Paweł II, który w trakcie swoich niezliczonych pielgrzymek po świecie odwiedził dziesiątki sanktuariów maryjnych, oddając w nich poszczególne kraje, jak i cały świat, w opiekę Matki Bożej. Wypowiedział się również w sposób półoficjalny o tzw. trzeciej tajemnicy fatimskiej, która ma związek ze zbliżającym się końcem świata. Czy więc nie należy wszystkich objawień maryjnych łączyć z eschatologią?

Teolog życia wewnętrznego odparłby, że można je łączyć, ponieważ w każdym z tych objawień przewija się temat nawrócenia, modlitwy, pokuty czy sądu.

**P**ierwsze wielkie objawienie Matki Bożej w XIX wieku w Kościele katolickim związane jest z tzw. Cudownym Medalikiem, z paryską prostą siostrą szarytką — Katarzyną Labouré. Do dziś VIII dzielnica Paryża przyciąga codziennie wielu katolików. Tu, przy ul. du Bac 140, znajduje się kaplica zakonna, miejsce niezwykłych objawień Matki Bożej. Kaplicę odgradza od ulicy kamienica. Za szeroką bramą pasaż, którego ściany zdobią płasko-rzeźby przedstawiające historię tych wydarzeń. Dopiero na jego końcu rozlokował się macierzysty dom sióstr wincentek — jak nazywa się we Francji siostry miłosierdzia (u nas szarytki). Dom skrywa historyczną kaplicę, w kolorach białym, złotym i niebieskim, z bocznymi balkonami oraz kilkoma bogato ornamentowanymi ołtarzami. W półkolu nad wejściem zwraca uwagę fresk przedstawiający Matkę Bożą w chwale niebieskiej i klęczącą u jej stóp siostrę Katarzynę, wizjonerkę i świętą. W głównym ołtarzu usytuowano posąg Najświętszej Maryi Panny obramowany koroną z dwunastu gwiazd, jak na Cudownym Medaliku, a w otoku znane wezwanie: „Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy”.

Katarzyna Labouré miała 18 lat, kiedy wstąpiła do zgromadzenia św. Wincentego á Paulo, czyli do sióstr miłosierdzia. Była dopiero nowicjuszką, gdy w macierzystym klasztorze przy ulicy du Bac w Paryżu trzykrotnie objawiła jej się Matka Boża.

Pierwsze zjawienie dokonało się w nocy 18 VII 1830 r. Krótco przed północą s. Katarzyna usłyszała wołanie anioła: „Wstawaj szybko i chodź do kaplicy, Najświętsza Panna na ciebie czeka”. Zerwała się więc z łóżka i poszła za aniołem. W oświetlonym jak na pasterkę wnętrzu — tak je określiła — rozmawiała z Matką Bożą, która



siedziała w fotelu. Katarzyna położyła głowę na kolanach Maryi, jakby to była dla niej najbliższa osoba. Napisze o tym: „Wtedy przeżyłam najmilsze chwile w życiu. Nie umiem wyrazić wszystkiego, czego doznałam. Nie wiem, jak długo tam byłam”. Słowa Maryi zawierały wskazówki dla zgromadzenia, jak również zapowiedź rewolucji lipcowej, która wybuchła w 10 dni później w Paryżu. Sprawdziły się także inne przepowiednie.

Drugie widzenie, po południu 27 listopada, odbyło się również w kaplicy. Matka Boża miała na sobie białą suknię z płaszczem srebrzysto-błękitnym oraz welon koloru jutrzemki. Z jej dłoni wychodziły wiązki promieni o niezwykłym blasku, oznaczające łaski, które ona wyprasza dla ludzi. Stopy Maryi opierały się na kuli. W rękach także trzymała kulę, która przedstawiała glob ziemski. Wokół najświętszej Panny utworzyło się coś, co przypominało obraz w kształcie owalu; złote litery układały się w słowa: *„O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy”*. W chwilę później „obraz” z Maryją odwrócił się. Na drugiej stronie widniała litera „M” z krzyżem umieszczonym powyżej, a na dole dwa serca — Jezusa i Maryi.

Matka Boża wskazując na obraz powiedziała m.in.: *„Trzeba wybić medalik wedle tego wzoru, a osoby, które będą go nosić i które pobożnie odmówią tę krótką modlitwę, cieszyć się będą wyjątkową moją opieką”*.

W grudniu 1830 r. Katarzyna znów dostrzegła ten obraz. Maryja ukazała się zza ołtarza, w sukni koloru jutrzemki, w niebieskim welonie. Włosy spływające w dwu pasmach przykryte były koronką. Promienie wychodzące z dłoni sięgały stóp. Widzenie to miało charakter bezpośredniego kontaktu. Katarzyna rozmawiała z Maryją, a także — jak w objawieniu 18 lipca — z naturalną swobodą zbliżyła się do niej i czuła, że ma przed sobą nie obraz, ale żywą istotę. Otrzymała przynaglenie wybicia medaliku.

Wykonany według objawionego wzoru medalik szybko został uznany za cudowny; stąd przyjęła się nazwa: Cudowny Medalik. Błyskawicznie zdobył świat. Specjalna komisja arcybiskupia powołana dla zbadania sprawy, zanotowała: „Niezwykła szybkość, z jaką medalik rozszedł się, ogromna też ilość medalików sporządzonych i rozchwypanych, przedziwne dobrodziejstwa, szczególnie łaski, które wierni otrzymują w nagrodę za ufność, wszystko to zdaje się być środkami, przy których pomocy niebo jakby potwierdzało rzeczywistość widzenia i prawdziwość relacji”.

Pośród wielu cudów przypisywanych Cudownemu Medalikowi, głośnie było nawrócenie w 1842 r. w Rzymie Żyda Alfonsa Ratisbone, przedtem zacieklego wroga Kościoła. Wydarzenie to poruszyło niemal cały ówczesny świat i jeszcze bardziej rozślawiło Medalik Niepokalanej. Stolica Apostolska zaaprobowała rozwijający się kult, ustanawiając święto Objawienia Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny od Cudownego Medalika (1894 r.). Ukoronowano również statuę Matki Bożej przy rue du Bac, wykonaną zgodnie z opisem Katarzyny Labouré (1897). Wiele zgromadzeń i bractw zakonnych przeżyło odnowę dzięki Cudownemu Medalikowi, wpisując odtąd do swoich statutów obowiązek jego noszenia.

Warto przypomnieć, że objawienia Cudownego Medalika pozostają w ścisłym związku z ogłoszeniem 24 lata później dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Maryi Panny. Modlitwa wygrawerowana na medaliku: „O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy” wyjednała głośnie cuda i nawrócenia. Wpływały one na rozwój kultu Niepokalanego Poczęcia; przyczyniły się do tego także listy pasterskie biskupów Francji. Z całego świata napływały do Stolicy Świętej prośby o ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia. Dokonało się to w 1854 r. i było swoistym ukoronowaniem odnowionej pobożności maryjnej w XIX w., chociaż —

o czym należy pamiętać — prawda ta sięga dziedzictwa wiary czasów apostołskich.

Sama wizjonerka spędziła kilkadziesiąt lat w klasztorze, pracując w przytułku na przedmieściu Paryża. Podejmowała się najcięższych obowiązków, mając pod opieką „najmarniejsze pomieszczenia”, czyli kuchnię, kurnik i gołębnik. Niektórzy traktowali ją jak obłąkaną, większość zaś powątpiewała w autentyczność wizji. Dopiero ów nadzwyczajny rozwój kultu Cudownego Medalika zwrócił uwagę na siostrę Katarzynę. Jej pogrzeb 31 XII 1876 r. był swoistą manifestacją Paryżan, a rozwijający się od tej pory kult doprowadził do beatyfikacji (1933) i kanonizacji (1947). Dzisiaj jej ciało, nie tknięte pośmiertnym zniszczeniem, znajduje się w szklanym grobowcu pod jednym z ołtarzy w kaplicy przy rue du Bac w Paryżu.

Po objawieniach maryjnych w Paryżu, przyszła kolej na Lourdes. Trudno byłoby sobie wyobrazić dzisiaj katolika, który nie słyszał o tym, co tam się wydarzyło. Przypomnę jedynie, że w tym francuskim miasteczku, od 11 lutego do 16 lipca 1858 roku 14-letnia Bernadeta Soubirous, córka biednego pirenejskiego młynarza, przygotowująca się do przyjęcia I Komunii, doznała niezwykłych objawień. W jednej z grot masywu Massabielle ukazała się jej piękna Pani, w świetlistym kręgu, ubrana w jaśniejącą suknię. W jednym z kolejnych objawień, 25 marca, Pani przedstawiła się: „*Jestem Niepokalane Poczęcie*”. Podczas osiemnastu wizji Niepokalana wzywała ludzi do modlitwy, nawrócenia i pokuty. Pośrednimi ich świadkami były tysiące ludzi, przybyłych zewsząd, by na własne oczy zobaczyć dziejące się cuda.

Prosta, nieuczona dziewczynka z dużą swadą opowiadała swoje przeżycia, przekazywała orędzie Niepokalanej. Ale początkowo niewielu jej wierzyło. Proboszcz z Lourdes, ks. Peyramale, zdumiony jej naiwną szczerością twie-

rdził, że mówi o czymś czego sama nie rozumie, stąd nie można dawać wiary jej słowom.

Tymczasem przed grotą dzieją się dziwne rzeczy, przede wszystkim uzdrowienia. Ludzie przyjeżdżają z całej Europy, by na własne oczy przekonać się o nadzwyczajnych zjawiskach. Zwłaszcza woda w Lourdes, która wytrysnęła ze źródła znalezionego przez Bernadetę, sprawiała nieprawdopodobne cuda.

Prasa katolicka poświęca coraz więcej miejsca cudownym uzdrowieniom w Lourdes, opinia publiczna zdaje się być głęboko poruszona tymi zjawiskami, natomiast koła naukowe długo zachowują rezerwę, uparte milczenie czy pozwalają sobie wręcz na drwinę. Lekarze, którzy są świadkami cudów, zachowują te „dowody” dla siebie, lękając się, by nie uznano ich za klerykałów albo głupców. I nie są to obawy urojone. Późniejszy laureat nagrody Nobla, Alexis Carrel, który podjął się naukowego udokumentowania cudów z Lourdes, musiał z tego powodu opuścić uniwersytet w Lyonie, a nawet emigrować z Francji do Stanów Zjednoczonych.

Kościół po trzech latach badań zatwierdził te objawienia, uznał je za nadzwyczajny znak niebios w latach, kiedy słabła ludzka solidarność wobec słabych i chorych. Jest to bowiem od ponad stu lat sanktuarium ucieczki dla osób cierpiących, sanktuarium braterstwa w słabości. Wówczas, kiedy rodził się nowożytny racjonalizm, kiedy ludzie zaczęli żyć według własnych upodobań i fantazji, wspierając się co najwyżej na doświadczeniu i wiedzy, otrzymali znak z nieba, który burzył ich zadufanie. Wkrótce przekonali się również, że trudność lub niejasność jakiegoś zagadnienia nie jest wystarczającym powodem, żeby je lekceważyć.

Objawienia i cuda w Lourdes zwróciły na powrót uwagę człowieka na sens życia i wieczności. Taki jest ich eschatologiczny wymiar.

Wydawało się, że po Lourdes każde nowe objawienie maryjne będzie jedynie powtarzać to, co już było. Tymczasem cztery kolejne objawienia, uznane przez Kościół, miały związek z wojną i prześladowaniami katolików. Wydarzyły się w latach 1870—1880. Najpierw w styczniu 1870 r. w Pontmain na pograniczu Normandii i Bretanii we Francji, w trakcie krwawej wojny francusko-pruskiej, zrozpaczeni mieszkańcy otrzymują upragniony znak z nieba. 17 stycznia dwóch chłopców i dwie dziewczynki widzą postać jaśniejącej Pani, oraz otrzymują orędzie o rychłym zakończeniu wojny oraz ocaleniu wioski.

W 1876 roku szesnaście objawień Matki Bożej przeżyła w Pellevoisine 33-letnia Estella Faquette. W orędziu Maryja mówiła o niebezpieczeństwach, jakie grożą Francji, ponieważ kraj ten nie usłuchał wielokrotnych wezwań do nawrócenia. Apelowała do Estelle, aby niestrudzenie rozgłaszała jej chwałę, nazywając ją Królową Miłosierdzia.

Od 27 czerwca do 8 września 1877 roku Matka Boża objawiała się w Gietrzwałdzie na Warmii. Były to czasy Kulturkampfu kanclerza Bismarcka. Tępiono wszystko, co łączyło się z katolicyzmem i Polską. Dwie dziewczynki, Justyna Szafrzyńska (13 lat) i Barbara Samulowska (12 lat) oglądały Matkę Bożą i z nią rozmawiały. Odbywało się to podobnie jak w Lourdes czy Fatimie, na wolnym powietrzu, na drzewie klonu.

Odpowiedź Maryi w czasie objawień: „Jeśli ludzie będą gorliwie się modlić, wówczas Kościół nie będzie prześladowany, a osierocone parafie otrzymają kapłanów”, wyraźnie wskazuje na cel orędzia Matki Bożej: podniesienie na duchu ludności. Choć od czasu objawień rozwinął się niezwykle ruch pielgrzymkowy do sanktuarium, wydarzenia te nie otrzymały wówczas aprobaty Kościoła, mimo że powołana specjalna Komisja Biskupia uznała je za autentyczne. Dopiero po stu latach, 11 września 1977

roku biskup warmiński Jan Drzazga ogłosił dekret, w którym uznaje za historycznie pewny i źródłowo potwierdzony fakt objawień maryjnych. Przyczyniły się one do przetrwania wiary i polskości na tych ziemiach.

21 sierpnia 1879 roku miejscem maryjnych objawień była irlandzka miejscowość Knock. Objawienie miało „milczący” charakter. Maryi towarzyszyli św. Józef oraz św. Jan Ewangelista. Święte postacie ukazywały się wieczorem na ścianie kościoła. Każda lśniła blaskiem. Świadcami było wielu mieszkańców Knock, które od tego dnia przerodziło się w czczone sanktuarium. Objawienia miały wielkie znaczenie dla umocnienia katolicyzmu w Irlandii.

W początku lat trzydziestych naszego wieku terenem dwóch objawień maryjnych stała się Belgia. Od 29 października 1932 r. do 3 stycznia 1933 r. w walońskiej miejscowości Beauraing koło Dinant, Matka Boża ukazywała się 33 razy pięciorgu dzieciom (w wieku od 9 do 15 lat). Oglądały one Maryję w klasztorным ogrodzie, tuż przy poświęconej jej grocie.

Pani, która nazwała siebie Niepokalaną Dziewicą, zwracała uwagę dzieci na symboliczne serce na swych piersiach, całe w złocie i promieniach silnego światła. Treść orędzia Maryi do świata to apel o nieustanną modlitwę. Takim poleceniem rozpoczynało się i kończyło każde spotkanie z Matką.

Wydarzenia w Beauraing uważano powszechnie za halucynacje dzieci. Wszystko poszłoby w zapomnienie, gdyby nie ziściły się słowa Maryi do nich wypowiedziane: „Przyszłam nawracać grzeszników”. Ludność miasteczka i okolicy, dawniej religijnie obojętna, nagle zaczęła masowo się modlić, kościół zapełniali pątnicy, odnotowano liczne „spektakularne” nawrócenia. Zwłaszcza po wybuchu II wojny światowej, kiedy Belgia utraciła niepodległość, nie ustawały pielgrzymki do Beauraing. Objawienia zatwierdzono w 1943 roku.

W lutym 1933 r. Matka Moża ukazała się osiem razy Mariette Beco (12 lat) mieszkającej 100 km od Beauraing — w Banneux (belgijskie Ardeny). Zjawienia odbywały się najpierw w ogrodzie przed domem, a później w pobliskim lasku. Matka Boża, zachęcając do modlitwy, nazywała siebie Panią Ubogich.

Kult Matki Bożej w tym miejscu rozwijał się żywiłowo, a biskup z Liège po 9 latach, jakie upłynęły od objawień, potwierdził ich autentyczność.

Apel Matki Bożej: „Módlcie się wiele” nie pozostał bez odpowiedzi. W Banneux powstała „Unia Międzynarodowa Modlitwy”. W 10 lat po objawieniach liczyła już 600 tys. członków 57 narodowości. Głównym celem Unii jest duchowa łączność w codziennej modlitwie, odmawianej, jeśli to możliwe, o godzinie 7 wieczorem.

Zadziwiające jest podobieństwo Banneux do Lourdes, nawet w samym wyglądzie postaci Maryi. Biała suknia, niebieski płaszcz i różaniec w prawej ręce. U stóp złociste róże. I oczywiście — cudowne źródło. Ta zgodność z pewnością nie jest przypadkowa. Można uważać, że Banneux w jakiś sposób kontynuuje orędzie z Lourdes. Niepokalana w Pirenejach zaakcentowała, że jest pośredniczką łask, zwłaszcza dla tych, którzy stoją daleko od Kościoła. W Ardenach, podobnie, objawiła się dziewczynie z rodziny religijnie zaniedbanej, córce robotnika, który nie miał już czasu dla Boga. Pobliskie załębie węglowe przyniło się znacznie do odchodzenia robotników od Kościoła. Posłanie Maryi jest więc jednym ze znaków Bożego planu zbawienia, apelem o powrót do wiary.

## Łzy w La Salette

**Ł**zy na obliczu objawiającej się Matki Bożej, choć mają dramatyczną wymowę, nie są czymś tak bardzo osobliwym. Znane są na świecie wizerunki Chrystusa na krzy-

zu, które spływały łzami. Zawsze zapowiadały zbliżającą się tragedię. A łzy Madonny w La Salette, czy nie miały za zadanie wstrząsnąć sumieniami Francuzów?

La Salette leży w przepięknym miejscu, w samym sercu Alp francuskich. Postrzępione urwiska skał, szczyty z białymi łąkami śniegu, w dolinach zieleń łąk i drzew, granat jezior. Karkołomny podjazd, wreszcie za tysięcznym zakrętem, na niewielkiej płaszczyźnie wciśniętej w wysokogórską dolinę, wyłania się kościół, klasztor i dom pielgrzyma.

Skąd w alpejskim pustkowiu te sakralne budowle?

Musimy cofnąć się do roku 1846. Wówczas w tym miejscu dwójce niepiśmiennych i biednych dzieci — 15-letniej Melanii Calvat i 11-letniemu Maksyminowi Giraud — objawia się Matka Boża.

A czasy owe były dla religii niesprzyjające. Literacka awangarda Francji głosiła agonię Kościoła. Stendhal radził przyjacielowi, żeby przyspieszył podróż do Rzymu, gdyż warto zobaczyć „ostatniego papieża”. Wolnomularze organizowali w Wielki Piątek „kielbasiane orgie”, wędliną częstując wygłodniałą biedotę. Francja zbierała gorzkie owoce Rewolucji. Wiele parafii pozbawionych było księży, do kościołów zaglądały jedynie stare babinki. Proboszcz z Ars, Jan Vianney, miał powiedzieć: „Zostawcie wieś przez dziesięć lat bez proboszcza, a ludzie zaczną się kłaniać bydłom”. Tu, w Delfinacie, panowała szczególnie ostra bieda, ciemnota i bezbożność. Młodzi i starzy popadli w pijaństwo. Niewielu przestrzegało Bożych przykazań; łamano posty, bluźnierczo wyzywano Boga, nie święcono niedzieli.

Na swoich pośredników Maryja wybrała dwójkę pastuszków, Melanię i Maksymina. Najpierw dzieci zobaczyły światło, a potem jaśniejącą postać, siedzącą z twarzą ukrytą w dłoniach, po których spływały łzy. Po chwili Nieznajoma, wysoka i smukła, o pięknym obliczu, prze-



mująco jednak smutnym, podniosła się. Przestraszeni, nie mogący wydobyć z siebie głosu — usłyszeli jej słowa: „*Dzieci, nie bójcie się, podejdźcie bliżej, pragnę wam przekazać coś bardzo ważnego*”.

Głos Pięknej Pani brzmiał dźwięcznie jak muzyka. Ustąpił strach. Podeszli bardzo blisko. Przyglądali się Nieznajomej, jej twarzy w słonecznej aureoli utkanej gwiazdami, przetykanej diamentami koronie z róż na głowie. Wpatrywali się w wiszący na piersiach zawieszony na grubym łańcuchu krzyż. Chrystus był na nim jak żywy, poruszał się... Słoneczną twarz przenikały dreszcze, a spływające z niej łzy tworzyły na ziemi pełną blasku smugę.

W ponad półgodzinnej rozmowie Matka Boża przekazała dzieciom napomnienia dla świata. Prosiła, by ludzie nawrócili się, bo wzrasta gniew jej Syna. Mówiła w szczególności o ludzkich zaniedbaniach.

Co było dalej, można sobie wyobrazić. Nikt, oczywiście, nie chciał dzieciom wierzyć. Wyśmiewano się z nich i kpiono. Dobrze, że następnego dnia wójt La Salette spisał pod dyktando dzieci kolejność wydarzeń. Dokument ocalał do dzisiaj, dzięki temu żadne słowo nie uległo zniekształceniu. Niektórzy ludzie wybrali się do miejsca rzekomego objawienia. Ku ich zdziwieniu tam, gdzie znajdowało się wyschnięte źródło, płynęła woda. Jak się okazało, czyniła ona cuda, przywracała wzrok, leczyła choroby, zmywała cierpienia... Pielgrzymki sypały się więc jak z rogu obfitości. Najpierw po wodę, potem z podzięką i wdzięcznością. Teologowie wzięli dzieci na spytki. Biskup Grenoble śledził pilnie rozwój wydarzeń. Raporty duszpasterskie były niewiarygodne: ludzie przestali pić, kraść, cudzołożyć... Kościoły wypełniły się wiernymi. Nowy duch zapanował w całej okolicy. Skandal wisiał jednak w powietrzu. Placząca Matka Boża nad Francją, pierwszą córą Kościoła — to zakrawało na żart. Sprawa La Salette znalazła się na pierwszych stronach gazet. Placząca Pani

nawoływała do pokuty — dlatego też zaroily się górskie ścieżki prowadzące do La Salette. Ci, którzy uwierzyli, doznawali niezwykłych przeobrażeń duchowych.

Ale przyszły także zapowiedziane przez Panią kłęski. Zapanował wielki głód, wśród dzieci wybuchła nieznana epidemia, która w jednym tyłku 1848 r. w pobliskim Corps, liczącym 1300 mieszkańców, pochłonęła 68 ofiar. Zniszczeniu uległy winnice i sady, a panująca cholera dziesiątkowała Europę. Do La Salette dążyły w procesjach pokutnych dziesiątki tysięcy wiernych, aby uprosić zażegnanie kłęski. Nawrócona ludność tych okolic nie doznała dalszych cierpień. Matka nie przyszła, by grozić, ale by ostrzec.

Po pięciu latach Kościół nie mógł już milczeć. Biskup Grenoble orzekł więc uroczyście, że można uznać objawienie Matki Bożej w La Salette za „pewne i niewątpliwe”.

Łzy Maryi w La Salette przyniosły odnowienie katolicyzmu pod koniec XIX w. Wybitni pisarze, intelektualisci, filozofowie i duchowni doznawali tu cudownych przeobrażeń. Leon Bloy, wyplakawszy się przed Panią, oczyszczony i radosny opowiadał potem: w La Salette „wydało mi się nagle, że moje korzenie odwróciły się ku niebu”.

Tylko życie Melanii i Maksymina nie układało się najlepiej. On próbował wielu zawodów, wstąpił także na krótko do seminarium duchownego. Nosilo go jednak po świecie, jakby ciężar tajemniczych sekretów powierzonych przez Maryję legł brzemieniem na jego barkach. Umarł w 40 roku życia, w wielkiej samotności i uciszeniu, w szałasie, który zbudował sobie na zboczu góry objawień. Melania również kilkakrotnie przestępowała progi klasztoru, ale nic nie wyszło z tych prób. Pozostawała więc poza ich murami (niektórzy uważają, że prowadziła dość bujne życie), zmarła jednak w opinii świętości we Włoszech w 1904 r.

Orędzia przekazane w La Salette mają z pewnością charakter eschatologiczny, odnoszą się do czasów, kiedy wiara upadnie, a zło niepowstrzymane zaleje ziemię. Czytamy o tym w pamiętnikach Melanii, szkopał jednak w tym, że do dziś nie rozstrzygnięto, czy są to teksty autentyczne. Krąży bowiem kilka wersji pamiętników Melanii, niezgodnych ze sobą, choć w warstwie wydarzeniowej, dość podobnych.

W wersji podanej przez Melanię Calwat w Lecce w 1879 roku znajdujemy m.in. słowa ostrzeżenia skierowane do kapłanów, którzy lekceważą sprawowanie tajemnicy Eucharystii. Matka Boża grozi im pomstą z nieba. Jest ostrzeżenie dla papieża, aby miał się na baczności przed fałszywymi cudotwórcami. „Nadszedł bowiem czas, kiedy najbardziej zdumiewające dziwy dzieć się będą na ziemi i w przestworzach (...) Wielkie ilości złych ksiązek się pojawią, a duchy ciemności doprowadzą do powszechnego rozluźnienia w tym, co dotyczy służby Bogu. Będą one miały wielki wpływ na przyrodę: powstaną kościoły, w których służyć się im będzie (...)

We wszystkich miejscach dzieć się będą nadzwyczajne dziwy, ponieważ prawdziwa wiara wygasa, a fałszywe światło oświeca świat. Biada księżętom Kościoła, którzy będą tylko gromadzić bogactwa na bogactwach, strzec tej władzy i troszczyć się dumnie o panowanie. Namiestnik mojego Syna będzie musiał dużo wycierpieć, gdyż przez pewien czas Kościół będzie znosił srogie prześladowania i przechodził głęboki kryzys — będzie to czas ciemności (...)

Ojciec Święty dużo ucierpi, a ja będę z nim do końca, aby przyjąć jego ofiarę. Żli zasadzać się będą na jego życie wielokrotnie, nie mogąc jednak mu zaszkodzić. Ale ani on, ani jego następca nie ujrzy tryumfu Kościoła. Albowiem wszyscy władcy świeccy żywić będą ten sam zamiar, mianowicie — wyrwać i wyrugować wszelki pier-

wiastek religijny, aby zrobić miejsce materializmowi, ateizmowi i wszelkiego rodzaju błędom (...)

Za pierwszym uderzeniem piorunami rażącego miecza gniewu Bożego z góry cała natura drzeć będzie z przerażenia. To musi nastąpić, albowiem rozprężenie i zbrodnie ludzkie przebijają sklepienia niebios. *Paryż zostanie spalony, Marsylia się zapadnie, a ziemia trzęsąc się zburzy i pochłonie niejedno wielkie miasto.* Zdawać się będzie, że to już wszystko stracone, a mimo to widzieć będzie się nadal mężobójców i słyszeć bluźnierstwa i szczęk broni.

Sprawiedliwi dużo ucierpią — ich modlitwy, pokuta i łzy do nieba się wzniosą, a wszystek lud Boży prosić będzie o przebaczenie i miłosierdzie oraz błagać mej pomocy i wstawiennictwa. Wówczas Jezus Chrystus aktem swej sprawiedliwości i wielkiego miłosierdzia dla sprawiedliwych rozkaże swym aniołom, aby wszyscy jego przyjaciele zostali skazani na śmierć. Nagle prześladowcy Kościoła Jezusa Chrystusa i wszyscy ludzie oddani grzechowi zginą, a ziemia stanie się jakby pustynią (...)

Oprócz dzumy i głodu, które będą powszechne, ziemię nękać będą wszelkiego rodzaju plagi, srożyć się będą *wojny aż do ostatniej wojny prowadzonej przez dziesięciu królów Antychrysta*, którzy będą mieli jeden cel i będą jedyymi władcami świata. Ludzie myśleć będą tylko o rozrywkach, źli oddawać się będą tylko wszelkiego rodzaju grzechom, ale dzieci Kościoła Świętego, dzieci wiary, prawdziwi naśladowcy wzrastać będą w miłości Bożej i cnotach, które są najdroższe. Szczęśliwe dusze pokorne, które prowadzi Duch Święty. Będę walczyła łącznie z nimi, dopóki nie dotrą do pełni wieku łagodnego.

(...) Zwracam się z nagłym apelem do ziemi, wzywam prawdziwych uczniów Boga żyjącego i królującego w niebie, wzywam prawdziwych naśladowców Chrystusa, jedyne, prawdziwego Zbawiciela ludu, wzywam swe dzieci,

ludzi prawdziwie oddanych mi, którzy polecili mi się, abym ich prowadziła do swego Syna, których niejako noszę na swych rękach, którzy mym duchem żyli. Wzywam wreszcie apostołów ostatnich czasów, wiernych uczniów Jezusa Chrystusa, którzy żyli w pogardzie świata i siebie samych, w ubóstwie, cierpieniu i pokorze, wśród wzgardy i w milczeniu, w modlitwie i umartwieniu, w czystości i w zjednoczeniu z Bogiem, nieznani światu — czas, aby wyszli i oświecili ziemię. Idźcie i okażcie się jako me umiłowane dzieci; jestem z wami i w was, aby tylko wasza wiara była światłem, które was oświecać będzie w dniach nieszczęść. Niech wasz zapal uczyni was jakby spragnionymi chwały i czci Jezusa Chrystusa. Walczcie dzieci światła. Wy, którzy widzicie, bo oto czas czasów i koniec końców się zbliża. Kościół zostanie zaciemniony, a świat będzie żył w przerażeniu (...)" Za: Stefan Budzyński, *Bóg, wszechświat, człowiek*, Warszawa 1991, s. 61—64).

Trudno rozsądzić do jakich lat odnoszą się niektóre przepowiednie Melanii. Jedne z nich, bardzo konkretne, spełniły się. Inne, związane z kataklizmami państw i miast, są, wydaje się, przed nami. Wiele z nich zgadza się z biblijną apokalipsą, inne pokrywają się z podobnymi przepowiedniami wypowiedzianymi w trakcie objawień maryjnych, zwłaszcza w Fatimie.

Czy należy im wierzyć? Sądzę, że trzeba je rozpatrywać w podobnych kategoriach, jak każdy tekst apokaliptyczny. Jego celem jest zawsze apel o czujność w wierze.

Symboliczny język, choć nieraz pełen konkretnych nazw, faktów i obrazów, kreśli przyszłą sytuację, jak gdyby zawieszając jej urealnienie. Wszak nawróceniem, pokutą i modlitwą można powstrzymać klęski czy choroby. Można zawiesić wykonanie Bożego wyroku. Taki jest zresztą sens maryjnych objawień wypowiedzianych jasno właśnie w La Salette. Matka Boża pragnęła jedynie powstrzymać karzącą rękę Syna.

**P**rzez dziesiątki lat mówiło się szeptem o tzw. trzeciej tajemnicy fatimskiej, obawiając się słusznie, że zawiera bliską wizję zagłady świata. Wielu spekulowało na ten temat, wymyślając scenariusz przyszłości w oparciu o ten tajemniczy dokument znajdujący się w tajnym archiwum watykańskim. Z braku jednak dowodów na prawdziwość ujawnionych przepowiedni, rozsądni ludzie woleli nie zabierać głosu. I oto we wrześniu 1989 roku, na życzenie Jana Pawła II, watykański Sekretariat Stanu zwrócił się z apelem do zakonów o stałą modlitwę w intencji nie spełnienia się rozlicznych tragedii zapowiedzianych w trzecim sekrecie fatimskim. Konkretnie Papież prosi, aby w całym Kościele wyznaczono tygodniowo godzinę na modlitwę różańcową w intencji nawrócenia świata, aby „została oddalona i unicestwiona groźba spełnienia się trzeciej tajemnicy fatimskiej”.

Wiadomość ta wprost zelektryzowała wszystkich, stała się dla jednych powodem wzmożonej duchowej czujności, dla innych — paniki. Zbliżający się koniec drugiego tysiąclecia podnosi psychiczną atmosferę oczekiwania końca czasów. Papież wszak pośrednio potwierdził, że jest w tajemniczym trzecim orędziu mowa o zagrożeniu narodów i ludzkości na miarę apokaliptyczną.

Co wydarzyło się w Fatimie przed 75 laty?

Fatima była wówczas nieznaną wioszczyzną, zabudowaną lichymi domostwami. Na kamienistych zboczach gór, pokrytych dość skąpo roślinnością, wypasano owce i krowy. W przysiółku Aljustrel, leżącym 2 kilometry od Fatimy, mieszkał Antoni dos Santos z żoną Marią-Różą, z domu Marto, oraz córką Łucją, urodzoną w 1907 r. W innym, nieco zamożniejszym domu Martów, na drugim końcu wioski, mieszkali Hiacynta i Franciszek. Tej trójce wielokrotnie ukazała się Matka Boża. Łucja była najstar-

sza, chyba najbardziej poważna i rozsądna. Opiekowała się gromadką innych dzieci. Jej codziennym zajęciem był wypas owiec. Pomagali jej w tym Franek i Hiacynta.

Owego wiosennego dnia 1916 r. padał deszcz, dlatego dzieci schroniły się w grocie zwanej Cabeco (Wielka Głowa), w lasku oliwnym chrzestnego ojca Łucji. Kiedy deszcz minął i wyszło słońce, zobaczyły nad drzewami światło przybierające postać młodzieńca. Ten zbliżył się do nich i powiedział: „Nie bójcie się, jestem Aniołem pokoju! Módlcie się ze mną”. Ukląkł i czołem dotknął ziemi. Dzieci uczyniły to samo. Odczuły potężną obecność Boga.

Latem Anioł zjawił się powtórnie. Prosił dzieci, aby wszystkie dobre czyny składały jako ofiary wynagradzające za grzechy. Od tej chwili postępowały zgodnie z jego życzeniem. Powtarzały często modlitwy Anioła.

Po raz trzeci ukazał się im Anioł w jesieni. Miał w rękach kielich, nad którym unosiła się hostia. Nauczył dzieci modlitwy do Trójcy Świętej, następnie podał Łucji hostię, a Frankowi i Hiacyncie kielich.

Minął rok. Nadszedł 13 maja 1917 r. Była niedziela. Trójka dzieci popędziła owce do kotliny w Cova da Iria, godzinę drogi od Aljustrel. Około południa niebo przecięły błyskawice, zagrzmiało — zbliżała się burza, choć nie było widać ciemnych chmur. Wtem, obok ścieżki, na rozłożystym dębie, metr nad ziemią, zobaczyli świetlistą postać pięknej Pani, z rękami na piersiach, trzymającą błyszczący różaniec. Pani przedstawiła się, że jest z nieba i prosiła, aby dzieci przychodziły tu każdego 13 dnia miesiąca o tej samej godzinie, przez 5 miesięcy. W październiku powie kim jest i czego żąda.

W czasie drugiego widzenia, 13 czerwca, Maryja powierzyła Łucji sekret: Franek i Hiacynta pójdą wkrótce do nieba, a nią Pan Jezus pragnie się posłużyć, aby poznano i czczono Niepokalane Serce Maryi.

Tego dnia z dziećmi wybrało się do Cova da Iria wielu wieśniaków, dlatego wieść o wydarzeniu rozeszła się szybko po okolicy. Trzecie widzenie, 13 lipca, przyciągnęło już tysiące ludzi. Wielu zauważyło chmurkę, która nagle zatrzymała się nad miejscem objawień, słońce się zaćmiło, temperatura spadła, choć działo się to w samo południe.

Dalszy ciąg objawień był dramatyczny. 13 sierpnia dzieci zostały podstępnie uwięzione. Matka Boża ukazała się jednak 19 sierpnia, natomiast zatrzymanie i prześladowanie dzieci przyniosło im duży rozgłos. 13 września przybyło do Cova da Iria już około 30 tys. ludzi. Wielu z nich pragnęło zobaczyć wizjonerów, polecić im swoje prośby, zmartwienia i choroby. Wielu uwierzyło w prawdziwość objawień. Dopiero jednak objawienie z 13 października przyniosło sensację. Matka Boża ujawniła swoje imię, powiedziała, że jest „*Królową Różańca*”, zażądała, by tu wybudowano kaplicę na jej cześć. Kiedy odchodziła, wszyscy zebrani widzieli „*cud ze słońcem*”, jego bajeczny taniec wśród snopu różnokolorowych promieni. Zjawisko powtórzyło się trzykrotnie, a następnie słoneczna kula jakby oderwała się od firmamentu i toczyła po nieboskłonie. Ogromny tłum ludzi upadł na kolana, modląc się głośno. Wszystkich ogarnęło dziwne uczucie szczęścia.

Anglik John M. Haffert opierając się na relacjach świadków cudu pisze, że po rozstąpieniu się chmur, przemoczone ulewnym deszczem tłumy zobaczyły obiekt świetlny o nadzwyczajnej mocy w postaci „*koła Katarzyny*” wystrzelający jakby fajerwerki, rzucający wielkie promienie kolorowego światła barwiącego przedmioty na ziemi.

W pewnej chwili obiekt gwałtownie zaczął spadać ku ziemi i po kilku minutach tak bardzo zbliżył się do niej, że dziesiątki tysięcy świadków myślało, iż to jest koniec świata. Wielka kula ognia zatrzymała się w momencie, kiedy już miała zderzyć się z ziemią. Po chwili kula



ustawiła się z powrotem w położeniu słońca tak, iż ci, którzy ją widzieli, myśleli, że to jest słońce.

Kotlina, w której się to zdarzyło, mokra od trwającego kilka godzin deszczu, wyschła w ciągu kilku minut.

Dodajmy — zjawisko nie zostało zarejestrowane przez żadne obserwatorium astronomiczne czy meteorologiczne. Fakt, iż było widziane w odległości wielu kilometrów przez przypadkowych widzów, świadczy o tym, że nie mamy tu do czynienia ze zbiorową sugestią. (John M. Haffert, *Spotkania ze świadkami*, Warszawa 1991, Michal-lineum).

Trudno przyjąć lub odrzucić nadprzyrodzony charakter tego znaku. Astronomowie uważali, że został wywołany załamaniem się promieni słonecznych w atmosferze. Czy to jednak wystarczy, aby wytłumaczyć ów gwałtowny ruch słońca ku ziemi, który wywołał tyle przestachu?

Odtąd Fatima staje się miejscem pielgrzymek. Ludzie, nie czekając na orzeczenie Kościoła, budują kapliczkę w miejscu objawień, przychodzą tutaj codziennie, modlą się i śpiewają. Władze świeckie wydają jednak zakaz gromadzenia się w Cova da Iria, a nawet nasyłają zbirów, którzy dynamitem wysadzają kapliczkę. Wójtowie otrzymują polecenie, aby nie przepuszczać nikogo do Fatimy. Mimo to 13 maja 1922 r., w piątą rocznicę objawień, przybyło tu 60 tys. osób. Widok ruin kapliczki wywołał tak olbrzymie oburzenie, że natychmiast postanowiono wybudować nową. Wszelkie zakazy wywołują skutek wręcz odwrotny. Nie byłoby jednak tak błyskawicznego rozwoju czci Maryi w Fatimie, gdyby nie liczne uzdrowienia, które tu się dokonały.

Los nie oszczędził trójki wizjonerów. Zapadali na choroby, spotykały ich różne przykrości, posądzenia o kłamstwo, a nawet uwięzienie. Przyjmowali te cierpienia ze spokojem, nie przestając się modlić i zachęcać innych do modlitwy i umartwień. Franciszek zmarł po dwóch latach,

a w rok po nim, w opinii świętości, odeszła także Hiacynta. Łucja natomiast wstąpiła najpierw do zgromadzenia św. Doroty, a później do Karmelu, w którym przebywa po dziś dzień.

Badania kościelne fatimskich objawień trwały dość długo, choć kult Matki Bożej rozwinął się tu błyskawicznie. Oficjalnie jednak dopiero po trzynastu latach, 13 maja 1930 roku potwierdzono autentyczność objawień.

Tyle w telegraficznym skrócie o przebiegu objawień oraz ich kościelnej autoryzacji. Pomiąłem w tej relacji wątek najważniejszy dla tych refleksji: tajemnic fatimskich, mających związek ze znakami końca świata. Nie ma co ukrywać, dla wielu Fatima kojarzy się właśnie z tymi sekretnymi przepowiedniami, a właściwie z jej częścią trzecią, znaną jedynie Papieżowi oraz kilku osobom z jego otoczenia. Spekulacje na jej temat podejmowano wielokrotnie.

13 lipca 1917 roku, w trakcie trzeciego objawienia, Matka Boża powierzyła dzieciom wspomniane trzy tajemnice. Dwie z nich wyjawiała Łucja, jedyna żyjąca wizjonerka, dopiero po 25 latach.

Pierwsza dotyczyła wizji piekła. W książce „*Siostra Łucja mówi o Fatimie*” (Fatima 1978) wizjonerka wspomina, że Pani „*pokazała nam morze ognia, które wydawało się znajdować w głębi ziemi, widzieliśmy w tym morzu demony i dusze, jakby były przeźroczystymi postaciami. Unosiły się w pożarze, noszone przez płomienie, które z nich się wydobywały z kłębami dymu. Padaly na wszystkie strony, jak iskry w czasie wielkich pożarów. Bez wagi w stanie nieważkości, wśród wycia bolesnego i rozpaczliwego krzyku. Na ich widok można by ogłupieć i umrzeć ze strachu.*”

*Demony miały straszne, obrzydliwe kształty wstrętnych nieznanych zwierząt. Lecz i one były przejrzyste i czarne. Ten widok trwał tylko chwilę. Dzięki niech będą Matce Najświętszej, która nas przedtem uspokoiła obietnicą, że*

nas zabierze do nieba. (W pierwszym widzeniu). Bo gdyby tak nie było, sądzę, że bylibyśmy umarli z lęku i przerażenia”.

Matka Boża powiedziała (13 lipca 1917): „Widziałyście piekło, dokąd idą dusze biednych grzeszników. Aby je wybawić, Pan Bóg pragnie ustanowić na świecie nabożeństwo do mojego Niepokalanego Serca. Jeśli ludzie uczynią to, co wam powiem, zbawi się wiele dusz i zapanuje pokój”.

Jak się wydaje, straszliwa wizja piekła, z ogniem i wiecznym potępieniem — co dokładnie opisze później Łucja w karmelitańskim klasztorze — nie odbiegała od ludowych wyobrażeń religijnych. Czy tak w istocie wygląda piekło?

Z pewnością jego faktyczny wygląd przekracza ludzkie poznanie i rozumienie. Bóg nie stworzył piekła, lecz je dopuścił dla tych, którzy dobrowolnie skazali się na nie. Ludzka wyobraźnia przedstawia piekło jako więzienie, szatanów jako katów itp., aby tym dobitniej zobrazować kary za odepchnięcie wiekuistej miłości Bożej przez człowieka. Fatimska wizja piekła nie mogła być inna, musiała zostać dostosowana do intelektualnych możliwości odbiorców, to jest dzieci, oraz tych wszystkich, którzy w te objawienia uwierzą. Istotą jednak piekła jest wieczne pozabawienie szczęścia przebywania z Bogiem. Tę prawdę przekazała Matka Boża fatimskim dzieciom.

Druga część tajemnicy dotyczyła kilku spraw, m.in. wybuchu wojny, pojawienia się znaku świetlnego, poświęcenia Rosji i świata Niepokalanemu Sercu Maryi. Konkretnie Pani mówiła:

„Jeśli ludzie nie przestaną obrażać Pana Boga, za pontyfikatu Piusa XI rozpocznie się wojna jeszcze gorsza (aniżeli pierwsza wojna światowa — przyp. C.R.). Gdy ujrzyście pewnej nocy dziwne nieznanne światło, wiedzcie, że jest to wielki znak, który Pan Bóg wam daje, byście poznali, że nadchodzi czas kary za zbrodnie świata. (Takie zjawisko

świetlne było widziane w nocy z 25 na 26 stycznia 1938 r. — przyp. C.R.). *Wybuchnie wojna, głód, prześladowania Kościoła i Ojca św. Aby temu zapobiec, przyjdę prosić o poświęcenie Rosji mojemu Niepokalanemu Sercu oraz o Komunię św. wynagradzającą w pierwsze soboty miesiąca. Jeśli ludzie usłuchają moich próśb, Rosja nawróci się i nastanie pokój; jeśli nie, Rosja rozprzestrzeni swoje błędy po całym świecie wywołując wojny i prześladowania Kościoła: wielu dobrych zginie, Ojciec św. będzie bardzo cierpiał, niektóre narody zostaną zniszczone. Na koniec zwycięży moje Niepokalane Serce. Ojciec św. poświęci mi Rosję, która się nawróci, a świat zakosztuje przez pewien czas pokoju. W Portugalii wiara będzie zachowana zawsze*".

Dwie sprawy są istotne w drugiej tajemnicy: cierpienie Ojca św. oraz nawrócenie Rosji związane z poświęceniem tego państwa Niepokalanemu Sercu Maryi.

Dokonany 13 maja 1981 roku zamach na życie Jana Pawła II stanowi do dziś jedno z najbardziej zagadkowych wydarzeń ostatnich czasów. Niedoszły zabójca, Turek Mehmet Ali Agca, skazany na dożywocie przez włoski sąd, nie działał sam. Nici spisku wiodły z całym prawdopodobieństwem do Moskwy. W kołach kościelnych, i nie tylko, uważa się, że spisek na życie Papieża pokrzyżowała fatimska Madonna.

Nie przypadkiem bowiem, w chwili po odzyskaniu świadomości po operacji, papieskie myśli pobiegły natychmiast ku temu sanktuarium. Mówił o tym Jan Paweł II w Fatimie w rok po zamachu. Poświadczył to pośrednio sam zamachowiec, który złożył wstrząsające wyznanie. Powiedział do Papieża: „Wiem, że strzelałem celnie. Wiem, że pocisk był niszczący i śmiertelny... Dlaczego więc nie umarłeś? Co to znaczy, że mówią „Fatima”?” (Grudzień 1983 r.).

Powiązanie orędzia z Fatimy z zamachem potwierdził wyraźnie Ojciec św., prosząc bp. Fatimy Alberta Cosme

do Amaral, by 25 marca 1984 r. przywiózł z Fatimy do Rzymu statuę Matki Bożej. W przeddzień święta Zwiastowania, w którym Papież dokonał aktu zawierzenia świata Niepokalanemu Sercu Maryi, Madonna z Fatimy została przeniesiona do prywatnego apartamentu Papieża. Jan Paweł II czuwał przy niej całą noc. Wypełnił ślub, który złożył kilka miesięcy po zamachu, świadomy, że jest dłużnikiem Najświętszej Dziewicy.

Następnego dnia wieczorem, po uroczystym zawierzeniu Rosji oraz całego świata Niepokalanej, Jan Paweł II poprosił do siebie biskupa Fatimy. Wręczając mu małą szkatułkę powiedział: *„Tu jest pocisk wyjęty z mojego ciała 13 maja 1981 roku. Drugi zgubił się gdzieś na Placu św. Piotra. Nie należy on do mnie, ale do tej, która czuwała nade mną i mnie ocaliła. Niech ksiądz zawiezie go do Fatimy i złoży w sanktuarium na znak mojej wdzięczności dla Najświętszej Panny i jako świadectwo wielkich dzieł Bożych”*.

Tego dnia wokół drugiej tajemnicy fatimskiej zrobiło się jakby ciasniej.

Pamiętamy, że w rok później obejmuje rządy na Kremlu Gorbaczow. Rozpoczęła się tzw. pieriestrojka, przebudowa systemu, która otworzyła imperium na świat. Od Polski poczynając, zaczęły się wyzwalać także inne narody należące do bloku komunistycznego. Religia odzyskała wolność. Przełomowy był Rok Maryjny 1987/1988 zakończony obchodami Millenium Chrztu Rosji. Ustanowiono w tym czasie hierarchię kościelną na Litwie, potem przychodzi po 62 latach pierwszy biskup na Białoruś, wracają biskupi na Ukrainę, do Rosji i Kazachstanu. Odradza się kościół grecko-katolicki skazany na zagładę przez włączenie do prawosławia. Praktycznie wszędzie, gdzie są katolicy, można już utworzyć parafię, może przybyć kapłan. Jednym słowem, Rosja wraca do Boga.

Abp Tadeusz Kondrusiewicz, administrator apostolski dla Rosji europejskiej powiedział w kazaniu na Boże Narodzenie 1991 roku: „Przepowiednia Maryi w Fatimie z 1917 roku o nawróceniu Rosji do Boga powoli się spełnia. Po oddaniu przez Ojca św. świata w opiekę Niepokalanemu Sercu Najświętszej Maryi Panny nadszedł czas wielkich zmian politycznych, a z nimi i wolności religijnej. Człowiek, który ze swej natury jest religijny, otrzymuje coraz więcej możliwości dla praktykowania religii. Szczególnie odczuwa się to wśród młodzieży, która nie znajdując satysfakcji w filozofii marksistowskiej i leninowskiej, coraz aktywniej szuka prawd odwiecznych. Szuka więc Boga. Rzeczywiście Bóg rodzi się w duszach ludzkich i moc ateizmu truchleje. Odzyskujące wolność polityczną narody Wschodu, także Rosja, dążą do zjednoczonej Europy, do budowania wspólnego domu europejskiego”.

Słowa pierwszego w historii biskupa katolickiego rezydującego w Moskwie, potwierdził Papież, który w 1991 roku był w Fatimie. Powiedział przy tej okazji, że w 1982 roku dziękował Maryi za własne cudowne ocalenie. Tym razem dziękuje za coś więcej. Prosił słowami św. Augustyna, aby się nie lękać, „to nie stary świat się kończy, to nowy się zaczyna”.

W Fatimie Papież wyraził przekonanie, że wyzwolenie krajów Wschodu jest dziełem Maryi, ale podkreślił także swoją troskę o przyszłość, przejmującym wezwaniem do Maryi i do ludzkości: „Nowa sytuacja Kościoła i Narodów jest jeszcze krucha i niestabilna, istnieje niebezpieczeństwo, że marksizm zostanie zastąpiony inną formą ateizmu, która głosząc wolność, dąży do zniszczenia korzeni chrześcijańskiej moralności...”

Co by nie myśleć, w papieskich słowach pobrzmiewają nuty nieujawnionej trzeciej tajemnicy fatimskiej, w której podobno jest mowa o upadku Kościoła i wiary. A przede

wszystkim ma ona apokaliptyczny wydźwięk. Co wiadomo na jej temat?

Kiedy w 1943 roku siostra Łucja poważnie zachorowała, odwiedził ją w klasztorze w Tuy biskup Leiry José da Silva, prosząc, aby spisała trzecią tajemnicę. 17 czerwca, prawie rok po tej rozmowie, biskup otrzymał wspomniany rękopis. Było przy nim zastrzeżenie, że można go przeczytać dopiero w 1960 roku. Biskup więc po 16 latach przekazał zalakowaną kopertę nuncjuszowi apostolskiemu w Portugalii, ten zaś oddał ją w Watykanie kardynałowi Alfredowi Ottavianiemu, ówczesnemu prefektowi Świętego Oficjum, czyli Kongregacji Nauki Wiary. Był rok 1960. Na Stolicy Piotrowej zasiadał papież Jan XXIII. Na świecie trwała zimna wojna. Groziło konfliktem między Stanami Zjednoczonymi a ZSRR. Sprawa szła o Kubę.

Papież Jan XXIII nie uznał za stosowne, aby tekst opublikować. Dokument spoczął w tajnym archiwum watykańskim. O jego wpływie na Jana XXIII może świadczyć fakt, że dopiero od tego Papieża zaczyna się wielka „polityka wschodnia” Stolicy Apostolskiej w obronie pokoju i ocalenia narodów przed zagładą atomową — o czym jest właśnie mowa w tej części fatimskiego sekretu.

Jak się uważa, papież Jan XXIII, wstrząśnięty do głębi treścią orędzia Matki Bożej, pragnął z niektórymi elementami tajemnicy podzielić się z innymi. Dramatyczną okazją stał się kryzys kubański w 1962 r. między ZSRR a Stanami Zjednoczonymi. Fragmenty tej części orędzia stały się m.in. treścią listu Papieża przesłanego do przywódców tych państw, Kennedy'ego i Chruszczowa. Z pewnością papieska mediacja odegrała ważną rolę w zawartym układzie między supermocarstwami, dotyczącym zakazu użycia broni atomowej.

W tej tak ważnej i dyskretnej mediacji politycznej nie udało się zachować tajemnicy wokół słów orędzia Maryi.

Niemiecki dziennikarz L. Heinrich jako pierwszy opublikował w październiku 1963 r. w „*Neues Europa*” fragment trzeciej tajemnicy. Brzmiał on: „*Nie bój się, moja mała, gdyż ja, która do ciebie przemawiam, jestem Matką Boga i proszę cię, abyś ogłosiła to orędzie całemu światu. Słuchaj uważnie i bacz na to, co ci mówię. Ludzie mają poprawić się i pokornie błagać o przebaczenie (...) Wielka kara spadnie na cały świat, ale nie dziś, ani nie jutro, lecz w drugiej połowie XX wieku. Objawiam to już dzieciom: Melanii i Maksyminowi w La Salette, a dzisiaj powtarzam tobie (...)*”

„*Wielka wojna rozpocznie się w drugiej połowie XX wieku (...)* *Ogień i dym spadną z nieba, a wody oceanów zmienią się w opary (...)* *Miliony ludzi zginie (...)* *Idź, moja mała, rozprowadzaj to. Ja będę stale przy twoim boku, by wspierać cię w tym dziele*”.

Próbowano dementować prawdziwość tego tekstu, i właściwie do dziś nie wiadomo, czy jest zgodny z portugalskim oryginałem. W dużej mierze zgadza się z innym fragmentem sekretu opublikowanym przez prałata C. Balducciego w „*L'Osservatore Domenica*” (13 X 1978). Brzmi on: „*Na całą ludzkość spadnie wielka kara w drugiej połowie XX wieku. To co w La Salette powiedziałam Melanii i Maksyminowi, powtarzam tobie na nowo: ludzkość sprzeniewierzyła się i odrzuciła przekazany jej dar. Wszędzie zapanował nieład. Na najwyższych stanowiskach zasiadł szatan i kieruje losami świata. Zdolał wdrzeć się nawet na szczyty Kościoła. Udało mu się posiąć zamęt w głowach wybitnych uczonych — wynalazców broni, za pomocą której połowa ludzkości może zginąć w ciągu kilku minut. Szatan ma pod swoim wpływem wielu możliwych tego świata, którzy popierają nieograniczoną produkcję tej broni. Jeśli przeciwko temu ludzie nie wystąpią, nie będę mogła wstrzymać karzącej ręki Syna mego, Jezusa Chrystusa (...)* Na świecie zapanuje chaos.



Rozpocznie się wielka wojna. Ogień i dym spadną z nieba, woda wyparuje z oceanów, a ich piana wzbije się pod niebiosami. Miliony ludzi zginie z ciągu kilku godzin. Wszystko zostanie zniszczone. Ludzie, którzy przetrwają i przeżyją, będą zazdrościć tym, którzy zginęli. Gdzie spojrzeć, udręki i nędza poczynią wielkie spustoszenie we wszystkich krajach. Oto zbliża się ten czas, ratunku nie będzie (...) Wołam do wszystkich naśladowców Jezusa Chrystusa, do wszystkich chrześcijan i apostołów czasów ostatnich: jeśli ludzkość się nie nawróci, jeśli to nawrócenie nie dokona się od góry, od rządzących Kościołem i państwami, nastąpi czas czasów, koniec wszystkich. Biada, biada, jeśli nawrócenia nie będzie”.

Cytowany wyżej tekst nie został, jak dotąd, potwierdzony przez Kościół. Z pewnością podobne orędzie istnieje, czy jednak brzmi tak groźnie? Czy to co napisałem nie jest obrazem powstałym później, w latach, kiedy możliwość zagłady atomowej spędzała sen z powiek wielu ludziom?

Watykan nigdy nie zdementował faktu istnienia tajemnicy fatimskiej. Jan Paweł II indagowany o to przez biskupów niemieckich w czasie pielgrzymki do RFN potwierdził, że taki sekret istnieje. Natomiast kard. J. Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary w rozmowie z Vittorio Messori (*Raport o stanie wiary*, Michalineum 1986, s. 92—95) jednoznacznie potwierdził istnienie przepowiedni fatimskiej, dotyczącej dramatycznych losów świata i człowieka. Kardynał Ratzinger potwierdził, że jest coś strasznego w tym rękopisie siostry Łucji, ale nic ponadto, co już jest znane. „Z Fatimy wysłano do nas surowy sygnał ostrzegawczy przed lekkomyślnością, przed nieszczęściami zagrażającymi ludzkości. Zawarte jest w tej przepowiedni to samo upomnienie, które głosił tak często Jezus: „Lecz jeśli się nie nawrócicie, wszyscy podobnie zginiecie” (Łk 13, 3). Nawrócenie — przypomina to Fati-

ma — musi być trwałą potrzebą życia chrześcijańskiego. Powinniśmy to już wiedzieć z Pisma Świętego” — powiedział kard. Ratzinger.

Interpretując wypowiedzi papieskie, a także rozmowę z kard. Ratzingerem można wskazać na jedno: fatimska tajemnica nie ma charakteru ostatecznej wyroczni, co więcej, podkreśla, że każdy wierzący może poprzez swoją modlitwę, nawrócenie i ofiarę kształtować przyszłość ku dobru.

Apokaliptyczna wizja tego sekretu nie jest także jakimś makabrycznym scenariuszem zaplanowanym przez Boga wobec człowieka i świata. „Jeśli się nie nawrócicie...” — to wyraz nadziei, jaką Bóg złożył w człowieku.

Siostra Łucja przebywająca od lat w karmelikańskim klasztorze w Coimbrze była wielokrotnie nagabywana przez dziennikarzy, aby wyjawiała treść trzeciej tajemnicy. Nie mając na to zezwolenia, uczyniła inaczej. W latach sześćdziesiątych udzieliła wywiadu o. Augustynowi Forsterowi, w którym według własnego rozeznania nakreśliła bieg wydarzeń nadchodzących lat. Czy taki wywiad miał w ogóle miejsce, trudno to zdecydowanie potwierdzić. Warto jednak przywołać te fragmenty, które dotyczą spraw polityki i wojny. S. Łucja powiedziała: „Dla całego świata będzie zaskoczeniem i szokiem błyskawiczne natarcie na Rosję. Od tego natarcia okrucieństwo Chińczyków będzie przerażające. Chiny będą naśladować Japonię — zaskoczenie, szybkość i terror. Zwycięstwo Chin przerazi USA. (...) Chiny użyją lotnictwa. Rzucą bomby na wiele miast. Bomby jądrowe na zakłady zbrojeniowe, ośrodki doświadczalne broni atomowej. Wywoła to potworne zniszczenie, także wstrząsy i zaburzenia w przyrodzie. Armia chińska zginie od bomby atomowej, którą sama rzuci, choć na początku będzie zwyciężać (...)

Zjawiska atmosferyczne, jakie ukażą się na niebie na początku wojny, będą ostatecznym ostrzeżeniem zapowie-

dzianym przez Maryję w ostatnich objawieniach. Kataklizmy w przyrodzie spowodują taką panikę i takie nieszczęścia, że nie można będzie dalej prowadzić planowych działań wojennych. Nie wystąpią jednak od razu i wszędzie w jednakowej mierze. Będą to ruchy skorupy ziemskiej, zaczną wybuchać wulkany. Wulkan Etna spowoduje katastrofę całej Sycylii. Włochy będą ewakuowane. Na Morzu Śródziemnym ruchy dna wywołają potworne fale, zmieni się również linia brzegowa. Zatoną niektóre wyspy, a inne powstaną. Z oceanu Atlantyckiego wyłoni się nowy ląd. Fale oceaniczne zaleją brzegi Europy, Afryki oraz obu Ameryk. Cała Holandia, Belgia i Niemcy będą zalane. Kalifornia będzie zniszczona, fale zaleją Los Angeles i inne miasta (...)

Po trzech dniach od północy pokaże się świetlany krzyż na niebie. W jedną noc zginie więcej ludzi, niż w czasie wojen światowych. Wiara potem będzie wielka. W kilka lat po tym nadejdą dobre czasy. Kto będzie żył w stanie łaski uświęcającej, będzie w ręku Boga, a Bóg chce dobra dla swoich dzieci. Zabierze je w chwili najlepszej” (za S. Budzyński, *Świat w oczach jasnowidzów*, Warszawa 1990, s. 65—66).

Jak traktować powyższą wizję? Czy ktoś ten wywiad spreparował, czy też wypowiedziała te słowa s. Łucja? Jeśli tak, można by zapytać, skąd u tej zakonnicy, odciętej całkowicie od świata, tak dokładna znajomość polityki oraz topografii Europy? A pytając dalej, czy chodzi o wizję końca świata, czy tylko zagładę jakiejś jego części, konkretnie Europy. W każdym razie przebieg apokaliptycznych wydarzeń przedstawiony wyżej, jest w dużej mierze zgodny z przewidywaniami naukowców. Przerazająca wizja ogólnoswiatowej zagłady, niezależnie od apokaliptyki biblijnej oraz prywatnych objawień, została zgotowana przez samego człowieka. Świat zmierza ku zagładzie za sprawą człowieka. Natomiast w objawieniach fatimskich

podana jest możliwość zatrzymania tego procesu. Trzeba odrzucić myślenie o trzeciej tajemnicy fatimskiej jako groźnym fatum wiszącym nad światem.

Jan Paweł II ukazał tę tajemnicę w nowym świetle. Najpierw uwierzył ją ofiarą krwi. Potem zawierzył Rosję Matce Najświętszej. Pierwsze owoce dobra już są. Ale przecież nie tylko komunizm zagrażał religii. Papież ostrzega, że rozprzeździł się liberalizm gospodarczy i moralny, który prowadzi do zaniku pojęcia grzechu. Szerzy się przekonanie, że każdy może sam zdecydować o tym, co jest dozwolone. Dlatego — powiedział Jan Paweł II — fatimskie orędzie jest dziś „bardziej aktualne i naglące niż kiedykolwiek. Jak bowiem nie patrzeć bez trwogi na falę sekularyzmu i permissywnizmu, które jakże poważnie zagrażają podstawowym wartościom moralnym zasad chrześcijańskich?” (12 V 1982).

## Objawienia końca czasów w Medziugorje

**24** czerwca 1981 roku rozpoczęły się w jugosłowiańskiej wiosce leżącej w Bośni-Hercegowinie objawienia maryjne, które zdają się nie mieć końca. Trwają nieprzerwanie, dzień w dzień, a Maryja zapowiada w nich koniec czasów, spełnienie się nieuchronnych zamiarów Bożych, konkretnie, apokaliptycznej katastrofy.

Jak pamiętamy, w pierwszym okresie objawień nikomu nie przyszło do głowy, że rozpoczynają się czasy, które doprowadzą do upadku komunizmu, a przy okazji, do wyzwolenia się potworów zła i nienawiści. Jugosławia zdała się być krainą szczęśliwości, choć składała się z wielu narodów, kultur i religii. Niestety, w 1991 roku zaczęły się spełniać maryjne przepowiednie z Medziugorja. Rozpoczął się dramat, jakiego nie widziała Europa od czasów II wojny światowej. Bolesne wiadomości, jakie dotarły

z terenów objętych wojną, wzbudziły przerażenie, wstrząsnęły barbarzyństwem niszczenia tyłu istnień ludzkich, okrucieństwem popełnianym na bezbronnej ludności. Morderstwa, obozy koncentracyjne, exodus setek tysięcy mieszkańców... to cena, jaką zapłacili niewinni ludzie za marzenia wodzów o wielkiej Serbii.

Aby zrozumieć lepiej sens tych objawień, przypomnę krótko historię kraju, w którym wybuchła zapowiedziana wojna.

Powstałe 1 grudnia 1918 roku Zjednoczone Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców, które w 1931 r. przyjęło nazwę Jugosławii, od początku było tworem osobliwym. Bogactwo narodów, religii, tradycji i sprzecznych interesów nazwano wspólnym imieniem. Wrzucono po prostu do jednego worka wszystkie narody mówiące podobnym językiem, południowosłowiańskim. Konflikty nie dały na siebie długo czekać. Państwo można było utrzymać tylko rządami twardej ręki, konkretnie dominacją Serbów w wojsku i administracji.

W tamtych latach powstała w Chorwacji podziemna organizacja ustaszów, której członkowie m.in. zamordowali w 1934 r. króla Aleksandra, podczas jego wizyty we Francji. Najtrudniejsze lata przypadły w czasie II wojny światowej, kiedy państwo zostało podzielone między Niemcy, Węgry i Bułgarię. Z okrojonej Chorwacji proklamowano poddane Niemcom państwo. Chorwaccy ustasze zasłynęli wówczas z mordowania Serbów, a także wspomagania Niemców w zwalczaniu partyzantów, tak ustaszów (odpowiednik naszej AK), jak i komunistów Tito. Tak więc na wojnę z okupantem nakładały się dwie wojny domowe: między przeciwnikami i zwolennikami Niemiec oraz między zwolennikami legalnych władz a komunistami. Z tego czasu w świadomości narodowej Serbów zakodował się obraz Chorwatów spod znaku ustaszów, którzy wyniszczali z niebywałym okrucieństwem

prawosławną ludność. Stawiano Serbom alternatywę: katolicyzm albo śmierć. Duchownym nie dawano wyboru. Chorwaci z kolei pamiętają o podobnym postępowaniu serbskich czetników wobec mieszkańców bezbronnych wiosek chorwackich.

Po wojnie kraj został pod wpływami sowieckimi. Przebrali tak czetnicy, jak i ustasze. Fikcyjna jedność utrzymywana dyktatorską ręką marszałka Tito opierała się m.in. na podtrzymywaniu narodowych waśni. Najlepiej, aby innymi rządzić, wmówić im, że chcą się wzajemnie mordować.

W grudniu 1990 r. Słoweńcy ogłosili niezależność. Wywołało to dyplomatyczną burzę. Kiedy w maju 1991 roku podobnie uczyniła Chorwacja, spowodowało to wojenną zawieruchę z Serbią. Teraz przydała się podsycana przez lata nienawiść. Serbowie, w większości komuniści, zajmujący najwyższe stanowiska w państwie i armii, nie chcieli odłączenia od kraju bogatej Chorwacji. Wywołano na użytek wojny historyczne potwory, ustaszy i czetników, wybuchła krwawa rozprawa nierównych stron, wszak z Serbami była cała armia jugosłowiańska. Z rozwojem wydarzeń wojna ogarnęła inne republiki byłej Jugosławii. Tego nikt nie mógł przewidzieć. A może jednak przewidział!

W tym bowiem kontekście niezwykle znaczenia nabierają mediugorskie objawienia. Od samego bowiem początku Matka Boża ostrzegała przed nadciągającą katastrofą. Codziennie w orędziach powtarzała, że modlitwą i postem można zapobiec katastrofie. I przeciwnie: grzechem i złem przybliża się tragiczny koniec. Pani apeluje: *„Modlitwą, pokutą i postem możecie osiągnąć wszystko. Od was zależy wasza przyszłość (...) Dla chrześcijan nie istnieją katastrofy. Przyszłam powiedzieć światu, że Bóg istnieje i że w Nim jest życie. Ci, którzy spotkają Boga, znajdą pokój i życie. U Boga nie istnieją rzeczy niemożliwe”*.

Mając na uwadze „ostateczny” charakter tych objawień, należy podkreślić ich dramatyczny przebieg. Wyraża to najlepiej orędzie z wiosny 1983 roku słowami: *„Spieszcie się z waszym nawróceniem. Nie czekajcie na zapowiedziany znak. Dla niewierzących może być już wtedy za późno. Dla was, którzy wierzycie, jest to okazja do nawrócenia i pogłębienia swojej wiary”*.

30 listopada 1983 roku widząca Marija Pavlović przekazała proboszczowi parafii w Medziugorju, o. Tomislavovi Vlasticovi, żądanie Matki Bożej, aby wystosował do Ojca św. swego rodzaju raport o objawieniach, podkreślając jak ważne i naglące zawierają orędzie.

O. Tomislav Vlastic w liście datowanym 2 grudnia tegoż roku pisze do Papieża, wymieniając m.in. podstawowe fakty dotyczące objawień, imiona i nazwiska widzących, częstotliwość wizji i sposób w jaki oglądają i rozmawiają z Najświętszą Panną. Jak pisze, młodzi w czasie objawień nie reagują na światło, dotyk, nie słyszą dźwięków, czują się, jakby byli poza czasem i przestrzenią.

Wszyscy wizjonerzy twierdzą, co następuje: widzimy Najświętszą Pannę, jak każdą inną osobę. Wraz z nią modlimy się, rozmawiamy i możemy ją dotykać; Najświętsza Panna niemal w każdym orędziu mówi o pokoju. Nieustannie nawołuje do pojednania i nawrócenia; na koniec objawień, jak to przyobiegała, pozostawi widzialny znak swojej obecności. Czas poprzedzający ukazanie się tego widzialnego znaku jest okresem nawrócenia i pogłębienia wiary. Najświętsza Panna powierzyła młodym po 10 tajemnic, nie wszystkim równocześnie, jedne tajemnice osobiste, inne odnoszące się do całej ludzkości. Objawienia w Medziugorju, według słów Matki Bożej, są jej ostatnimi na tym etapie dziejów, dlatego trwają tak długo i są tak częste.

W dalszym punkcie sprawozdania o. Tomislav Vlastic omawia wizje i tajemnice Mirjany Dragicevic, która nie

ma już codziennych spotkań z Panią. Ostatnie regularne widzenie otrzymała w Boże Narodzenie 1982 roku. Potem odbywały się tylko w dniu jej urodzin. Istotne jest objawienie z 25 grudnia 1982 roku, w którym Mirjana otrzymała dziesiątą tajemnicę, a także Pani oznajmiła jej daty spełnienia się poszczególnych tajemnic. Według słów Mirjany, zanim ostatni znak zostanie dany ludzkości, poprzedzą go trzy ostrzeżenia zrozumiałe dla całej ludzkości. Sama także będzie ich świadkiem. Dziesięć dni przed pierwszym ostrzeżeniem uprzedzi o tym dowolnie wybranego kapłana. Świadcstwo Mirjany będzie potwierdzeniem objawień i zachętą do nawrócenia świata.

Jak wspomina, po ostrzeżeniach ukaże się w Medziogorju widzialny znak dla całej ludzkości, który potwierdzi prawdziwość wydarzeń, a zarazem spowoduje wiele nawróceń. Jakiego charakteru będzie ten znak, Mirjana nie wyjawiała, z pewnością jednak, jak to wielokrotnie było, możliwe to być znak świetlny. Poprzedzi on spełnienie się dziewiątej i dziesiątej tajemnicy, będących zapowie dział nieuniknionej kary za zło ludzi. Wymiar kary można złagodzić przez modlitwę, post i pokutę. Co ciekawe, siódma tajemnica także zapowiadała karę za grzechy świata, ale dzięki modlitwom i postom została złagodzona. Stąd, według słów Matki Bożej, siłą modlitwy da się wszystko u Boga wyprosić. Jak dokładnie mówi Pani: *„Zapomnieliście, że dzięki modlitwie i postom możecie oddalić wojny, a nawet zawiesić prawa naturalne”*.

Ostrzeżenia nastąpią w krótkim odstępie czasu, aby były właściwie rozpoznane i przyczyniły się do nawrócenia. Nastąpił bowiem czas łaski. Potem, po ostrzeżeniach i widzialnym znaku, nie będzie już ani czasu, ani sposobu, aby wrócić do Boga. Przede wszystkim wyginie wielu, którzy nie wykorzystali czasu nawrócenia i łaski. Obecna zachęta do modlitwy i postu ma na celu oddalenie cier-



pień i wojny, a przede wszystkim dzięki natychmiastowemu nawróceniu ma doprowadzić wielu do zbawienia.

Według Mirjany, czas zapowiedzianych wydarzeń jest już bliski. W imię tego przeświadczenia Mirjana wzywa ludzkość słowami Pani: „Nawróćcie się jak najprędzej, otwórzcie Bogu wasze serca!”.

Mirjana poznała także wiele innych tajemnic, może nawet operować datami, kiedy coś ma się wydarzyć. Nie może ich jednak wyjawić. Owszem, wspomina, że nastąpią wielkie znaki, po których ludzie rozpoznają obecność Boga. Będzie tak, że ludzie niewierzący, piastujący wysokie stanowiska, będą się modlić i otrzymają przebaczenie. Wcześniej jednak wydarzą się tragedie, które przerażą Mirjanę. Dziesięć tajemnic, które poznała, zawierają nieuniknioną i przerażającą wizję przyszłości świata. Tajemnice ósma, dziewiąta i dziesiąta są wprost straszne. Mirjana nie może ich wyjawić, choć na pytanie o Tomisławę, skąd pochodzi największe zagrożenie dla ludzkości, odpowiada, że jest nim niewiara w Boga. M.in. 15 sierpnia 1985 roku usłyszała: „*Mój aniele, módl się za niewierzących. Będą sobie rwać włosy, brat brata będzie topił, będą swoje bezbożne życie przeklinać i żalować, ale będzie już za późno. Teraz jest czas nawrócenia i musi się wypełnić to, przed czym cztery lata was upominam. Módl się za siebie!*”.

Świat stał się przewrotny — twierdzi Mirjana — mało kto ceni prawdziwe wartości, a wśród nich wiarę. Gdyby np. ktoś wziął na ramiona krzyż i wyszedł z nim na ulicę, większość powiedziałaby: głupiec, wariat. A matka Boża stale powtarza, że trzeba się modlić i pokutować. Tylko wówczas mogą serca otworzyć się na Boga, jeśli nikogo się nie krzywdzi, myśli o innych, modli się za innych, pości i pokutuje. Matka Boża powiedziała Marjanie, iż wojny oraz inne katastrofy mogłyby także zostać powstrzymane modlitwą i postem. Ale niewielu wierzy w ta-

ką możliwość ratunku. Podobnie też należy modlić się i prosić o pokój. O wszystko należy prosić i wszystko można otrzymać. Także uzdrowienie z choroby. Modlitwa jest jak zanurzenie w mocy Bożej, jest sięganiem do źródła niewyczerpanej miłości.

Wróćmy jednak do tematu pokoju i wojny, który tak dramatycznie przewijał się w orędziach. Można by zebrać książkę złożoną z wypowiedzi, gestów i wezwań związanych ze sprawą pokoju. Bywało, że w czasie objawień w Medziugorju widzący oglądali Matkę Bożą zalaną łzami. Za nią dostrzegli ciemny kształt krzyża. Pani ze łzami w oczach mówiła: „*Pokój, pokój, tylko pokój!*”.

Ciemny krzyż, smutek i łzy na twarzy Matki Bożej, ukazywanie widzącym przerażających wizji zagłady, jeśli nie nastąpi nawrócenie serc — to tylko niektóre obrazy z lat objawień maryjnych w Medziugorju. Można więc napisać, że to nie przypadek sprawił, że objawienia odbywają się w tym miejscu i trwają tak długo. Wezwanie od pierwszych dni tych wydarzeń o zachowanie pokoju wiele nam wyjaśnia. Wszak w 1981 roku nikt nie mógł przypuszczać, że upadnie komunistyczny moloch wywołując przy okazji historyczne nienawiści.

Na życzenie Matki Bożej widzący rozpoczęli w 1990 roku działalność polityczną na rzecz zachowania pokoju. M.in. 15 listopada 1990 r. Ivan Dragicević był przyjęty przez Georgesa Busha. Spotkał się również z kilkoma senatorami z USA oraz kard. O'Connorem z Nowego Jorku. Było to w czasie, kiedy pojawiła się groźba wojny z Zatoce Perskiej. Widzący wypełnili wówczas misję zleconą im w orędziu przez Matkę Bożą, która powiedziała 25.10.1990 r.: „*Dziś wzywam was do szczególnej modlitwy, ofiar i dobrych uczynków na rzecz pokoju w świecie. Szatan jest silny i pragnie z całej siły zniszczyć od Boga pochodzący pokój. Dlatego też, kochane dzieci, módlcie się szczególnie gorąco w intencji pokoju. Jestem z wami i pragnę*

wam pomóc swoimi modlitwami i wprowadzić na drogę pokoju”.

Marija Pavlović była w tym czasie z proboszczem Orećem i bp. Hnilicą w Moskwie. W kościele św. Ludwika miała objawienie Matki Bożej. Było to przy ołtarzu M.B. z Lourdes, o tej samej godzinie co w Medziugorju. Marija powtórzyła słowa Matki Bożej: „Dzisiaj jest mój czas. Możecie i tutaj zobaczyć owoce krwi męczenników oraz modlitwy wielu wierzących. Jestem przewodniczką duchową Kościoła dzięki modlitwie”.

Następnego dnia, w tym samym kościele i o tej samej porze nastąpiło ponowne objawienie. Było już więcej ludzi, którzy dowiedzieli się o jej pobycie w Moskwie. Długo i wspólnie się modlono. Matka Boża nie przekazała specjalnego orędzia dotyczącego Rosji. Było tylko kilkakrotnie użyte słowo pokój. Owocem tej pielgrzymki na Wschód jest idea założenia w Moskwie Centrum Maryjnego.

Objawienia w Medziugorje nie zostały jak dotąd potwierdzone przez władze kościelne, choć szale przechyliły się już na ich korzyść. 11 listopada 1990 roku, kiedy świętowano w Polsce drugą rocznicę odzyskania niepodległości, kard. Kim z Korei, zaproszony przez Jana Pawła II na obiad, powiedział: „Dzięki tobie, Ojczy Świąty, Polska została wyzwolona z komunizmu”. Papież na to: „Nie, to nie moja zasługa, to jest dzieło Maryi, potwierdzone w Fatimie i Medziugorju...”

Zwycięstwo nad komunizmem jest dziełem Maryi, czym zatem jest krwawa wojna nad Medziugorje? Wszak działania wojenne przeniosły się niestety do Bośni-Hercegowiny. Kilkakrotnie bomby spadały na obiekty sanktuarium w Medziugorju. Te, które wybuchły, nie wyrządziły na szczęście większych szkód. Sąsiedni Mostar jednak, gdzie znajduje się biskupstwo, leży w gruzach, inne miasteczko, Makarska, zostało spacyfikowane przez czetników. Na

ulicach, jak bezpańskie psy, walały się trupy zabitych mieszkańców. Bombardowane i okrążone przez wojska federalne Sarajewo dogorywa. Armia serbska strzela do wszystkiego, co się rusza na ulicach. Nie oszczędzono szpitali, obiektów Czerwonego Krzyża, konwojów ONZ.

Można by napisać ze smutkiem, że stało się to, przed czym objawiająca się Pani ostrzegała w codziennych orędziach, o czym mówiła powierzając widzącym osobiste tajemnice. Niewielu wówczas wierzyło, że młodzi oglądali piekło, widzieli walające się ludzkie trupy, rozszalałe zło. Nikt, poza nimi samymi, nie kojarzył tych wizji ze zbliżającą się katastrofą wojenną.

Ponurym symbolem tej okrutnej wojny są ruiny kościołów i cerkwi. Dwie siostrzane religie, katolicyzm i prawosławie, po dziewięciu wiekach separacji, nie mogły nagle się zaprzyjaźnić. Siedemdziesiąt lat istnienia państwa jugosłowiańskiego tylko powiększyło wrogość, która dziś zamieniła się w ślepą nienawiść. A przecież orędzie z Medziugorja wielokrotnie dotykało tematu jedności kościołów chrześcijańskich. Wielu pozostało głuchych na te apele.

Medziugorje z końcem 1992 roku przypomina oblężoną twierdzę. To, co dzieje się wokół tej oazy modlitwy i pojednania, przypomina z jednej strony czas zapowiadanej apokalipsy, z drugiej — wysuwa objawienia na czoło, jako źródło duchowej siły potrzebnej do przetrwania. Tocząca się wojna wcale nie świadczy o fiasku tych objawień, ponieważ nie znamy jeszcze ani ich tajemniczej głębi, ani zapowiadanego widzialnego dla wszystkich znaku. Doświadczyliśmy natomiast rozmiaru przepowiedzianej tragedii. Choć należy napisać, że Medziugorje pozostało jedyną miejscowością w tym regionie nietkniętą wojną. Pobliski Mostar leży w gruzach, a biskup, Pavao Zanić nie ma gdzie mieszkać. Jego rezydencja została zbombardowana. Jeśli dawniej niechętnie jeździł do Me-

dziugorja, obecnie zagląda tam często, aby odprawić mszę św.

Objawienia trwają nadal. Codziennie czwórka widzących spotyka się z Matką Bożą. Choć nie ma w orędziach słowa o konkretnych klęskach i katastrofach, Maryja ostrzega przed siłą szatana, który chce zniszczyć wszystko co dobre na świecie.

Medziugorje staje się dzisiaj jeszcze bardziej miejscem wyjątkowym. Ludzie z nadzieją i pełną determinacją spoglądają w niebo oczekując ocalenia.



## QZTERY PROBLEMY OSTATECZNE





z pewnością jakiś historyk w roku 2100 opisując ostatnie lata naszego wieku, zbierze wiele dowodów, które pozwolą mu stwierdzić, że świat był na krawędzi katastrofy. Zagrożenia są dzisiaj tak poważne i liczne, że tylko ignorant mógłby ich nie znać albo o nich nie myśleć.

Oczywiście, pozostaje otwarte pytanie, czy należy łączyć te zagrożenia ze zbliżającym się końcem świata. Myślę, że większość ludzi nie zwraca na to uwagi, a ich strach ogniskuje się na konkretnym problemie, bez nadawania mu otoczki eschatologicznej.

Można by napisać, że współczesnym prorokom końca świata przeczy mnóstwo dziedzin nauki oraz technologii, w których rozwój zaplanowano na odległe lata po roku dwutysięcznym. Ale za czasów Noego, jak mówi Biblia, także pito i ucztowano, nikt nie zwracał uwagi na słowa proroków. Co więc należy myśleć na temat końca świata, czy jest tak odległy, że nie warto sobie zawracać głowy tym problemem, czy też przeciwnie, może przyjsć już jutro?

Ciekawe zjawisko obserwuje się w wyzwolonych spod jarzma komunizmu krajach Europy środkowo-wschodniej, w których rządy obiecują poprawę losu za kilka czy kilkanaście lat. Czyni się wszystko, aby słowa dotrzymać. Ale ludzie są niecierpliwi. Chcą poprawy już dziś, spieszą się, jakby obawiali się, że nie będzie już jutra. A może

tylko niedowierzają rządowi, wszak tyle lat byli okłamywani!

Oczekiwanie na coś bliżej nieokreślonego wzmagają mass media. Mnożą się raporty i badania, które wartościują i oceniają szanse ludzkości na przetrwanie. Nikt nie wymienia słów: koniec świata. Używa się terminów: kryzys, zagrożenie, katastrofa... Np. wojna w Zatoce Perskiej w 1991 roku wywołała sporo paniki. Była to pierwsza na taką skalę konfrontacja zbrojna w kosmosie. Kiedy zaczęły płonąć szyby naftowe w Kuwejcie i kraj ten objęły ciemności, dla wielu był to przeddzień prawdziwego końca. Skończyło się na strachu, ale jak na razie, nie mówi się głośno o skutkach tej wojny w przyrodzie.

Żyjemy w czasach spełniania się marzeń i fantazji. Kiedy w 1957 roku pierwszy sputnik pojawił się na niebie, nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że lądowanie na księżycu jest już tylko kwestią lat. Choć epopeja kosmiczna trwa nadal, w tej chwili tylko uczeni orientują się w wielkości kroków do przodu. Już nikogo nie fascynuje uścisk dłoni kosmonautów wychodzących na spacer w przestrzeni kosmicznej. Nie przejmujemy się też specjalnie nowymi osiągnięciami. Filmy z serii „Gwiezdných wojen” spłaszczyły obraz nauki. Wszystko jakby stało się możliwe. Opadła z ludzi radość i nadzieja. Sukcesy stały się czymś oczywistym. Świat i nauka kroczą do przodu. W tym kierunku zbiegają się również niebezpieczeństwa. Kto kogo pokona? Czy wywołane cywilizacją zagrożenia nie zniszczą jej samej?

Uczeni wymieniają cztery niebezpieczeństwa, które określają mianem problemów ostatecznych, mogących przyspieszyć, a nawet przerwać życie na naszym globie. Są nimi: nuklearne arsenały, epidemia AIDS, genetyczna manipulacja oraz ekologia.

Najbardziej niepokojące jest igranie z wojną. Wojna w byłej Jugosławii może w każdej chwili przerodzić się



w światowy konflikt. Irak tylko czeka, aby wyprodukować własną bombę atomową i dołożyć USA. Bliski Wschód jest beczką prochu, której lepiej nie tykać. A kraje byłego ZSRR — to bomba zegarowa z opóźnionym zapłonem.

Czy ktoś pierwszy użyje broni masowej zagłady?

## Nie będzie arki Noego Zagłada nuklearna

**W** tygodniku „Die Zeit” (nr 29/1985) w artykule „*Jestem śmiercią, która zbiera wszystko*” została opisana pierwsza eksplozja jądrowa, otwierająca nową historię ludzkości — erę atomową. Było to 16 lipca 1945 r. o godzinie piątej dwadzieścia dziewięć na pustynnym obszarze Nowego Meksyku w USA, nazywanym Doliną Śmierci.

Bombę atomową odpaloną w Jornada del Muerto skonstruowano w ośrodku w Los Alamos. Można dodać, że amerykańskie badania w Los Alamos były kontynuacją eksperymentów prowadzonych w Europie od 1938 roku. To w tym roku pracujący w Berlinie Otto Hahn i Fritz Strassmann odkryli rozpad jądra atomu. W marcu 1941 roku Glennowi Seaborgowi udało się w Berkeley wytworzyć niewielką część plutonu. Dwa lata później Enrico Fermi wraz z Herbertem Andersonem teoretycznie udowodnili, że jest możliwe zbudowanie bomby atomowej.

Tak zrodziła się myśl zbudowania ośrodka w Los Alamos. Pracom nadano kryptonim „Manhattan”. Kierował nimi Robert J. Oppenheimer. Naukowcy stali wówczas przed dwoma problemami technicznymi: jak można odzielić od siebie różne izotopy uranu, oraz jak można wytworzyć wystarczającą ilość plutonu?

Już wkrótce po odkryciu rozpadu jądra, fizycy atomowi ustalili, że nie każdy występujący w przyrodzie uran da się

podzielić; że jedynie izotop tego pierwiastka o liczbie atomowej 235, jeżeli trafią go neutrony rozpada się na dwa mniejsze atomy. Udział uranu 235 w uranie naturalnym wynosi jedynie 0,7 proc. — za mało, by zapoczątkować reakcję łańcuchową. Należało więc znaleźć sposób wzbogacenia uranu 235 oraz pomniejszenia udziału w reakcji uranu 238, który zamiast rozpadać się, chwyta neutron i — po kilku reakcjach pośrednich — staje się sztucznym pierwiastkiem, plutonem 239. Ten jednak z kolei, podobnie jak uran 235, jeżeli bombardować go neutronami, rozpada się na dwa mniejsze atomy i emituje przy tym sam neutrony. Przy tym procesie, zgodnie ze słynnym równaniem Alberta Einsteina  $E=mc^2$ , niewielka cząstka materii jądra atomu przekształca się w energię: wyzwala się bardzo dużo ciepła, promieniowania radioaktywnego i światła. Wytwarzane neutrony trafiają w inne jądra plutonu 239 i dzielą je, przy czym uwalnia się jeszcze więcej neutronów, które mogą podzielić jeszcze większą liczbę atomów. Ta reakcja łańcuchowa wyzwala teraz energię w sposób lawinowy — tak dochodzi do wybuchu atomowego.

W ośrodku Los Alamos trzystu mężczyzn miesiącami pracowało, aby doprowadzić do tego pierwszego wybuchu. Od prostego żołnierza po uczonych Oppenheimera i Bohra, każdy zdawał sobie sprawę z tego, że od wyników ich pracy zależało zakończenie krwawej wojny z Japonią, w której codziennie ginęły setki żołnierzy amerykańskich.

Od strony wojskowej akcją kierował gen. Groves, ten sam, który stworzył Pentagon. On też zatelefonował do gubernatora, aby wprowadził stan wyjątkowy nad południową częścią Nowego Meksyku i ewakuował ludność. Wszyscy obecni w schronach uczeni zakładając ciemne okulary spawalnicze na oczy, zdawali sobie sprawę z siły wybuchu, jaka nastąpi.

16 lipca 1945 roku o świcie pustynia Alamogordo zamieniła się w piekło. Na miejscu eksplozji piasek przekształcił się w zielone szkliwo. Stał się minerałem, którego jeszcze nie było na ziemi. Na podstawie jego składu chemicznego udało się obliczyć siłę wybuchu pierwszej bomby atomowej: 18.000 ton trójnitrotoluenu (TNT). „Wielu spośród obserwatorów przestało być sobą, wrosli po prostu w ziemię pod wrażeniem mieszaniny strachu i osłupienia w obliczu ogromu tego, co zobaczyli (...) W momencie eksplozji temperatura w punkcie zero osiągnęła około sto milionów stopni w skali Fahrenheita, czyli trzykrotnie więcej, niż na jego powierzchni (...) Jako jeden z pierwszych przyszedł do siebie Groves; zwracając się do generała Farrela, powiedział: Wojna jest skończona. Jeden lub dwa takie pociski i z Japonią będzie koniec” (za: John Hersey, *Hiroszima*).

W chwili wybuchu zniszczeniu uległo życie w promieniu jednej mili. Ogromna kula ognia oświetliła równinę, by majestatycznie wznieść się do góry. Najpierw biała, potem czerwona z błękitną otoczką. Potężna fala wybuchu dotarła do schronów, przewracając kilku mężczyzn na ziemię. Oppenheimer zacytował słowa ze świętej pieśni Hindusów: „*Jestem śmiercią, która zabiera wszystko, wstrząsa światami*”.

Fizyk Bainbridge ściskając dłoń Oppenheimera, rzekł: „Teraz wszyscy jesteśmy lajdakami”.

Tego dnia w zniszczonym Berlinie prezydent USA Harry Truman spotkał się na zamku Cecilienhof w Poczdamie z Winstonem Churchillem i Józefem Stalinem. Truman nie zdawał sobie w pełni sprawy z rozmiarów sukcesu, w przeciwnym wypadku nie wciągałby Rosjan do wojny z Japonią. Jej koniec był już tylko kwestią dni. Dwie kolejne bomby wyprodukowane w Los Alamos przetransportowano na wyspę Tinian w Archipelagu Mariańskim. Pierwsza, z uranem 235, miała 3 metry długości i ważyła

5 ton. Jak na ironię nosiła nazwę „mały chłopiec”. Użyto ją 6 sierpnia 1945 roku do unicestwienia Hiroszimy.

Tego dnia o godz. 8.16 z amerykańskiego bombowca „Enola-Gay” spadła pierwsza bomba atomowa użyta przeciw ludziom. Nad japońską Hiroszimą wstał dzień zagłady. Cios zadano z perfekcją i bez precedensu, zmuszając tym samym Japonię do kapitulacji. Niejako przy okazji otwarte zostały czeluści piekiel, pojawiła się po raz pierwszy groźba nuklearnej apokalipsy.

Żywe istoty, znajdujące się w pobliżu środka wybuchu, uległy zwęgleniu. W odległości 3 kilometrów od centrum eksplozji podmuch wznicił seryjne pożary, a w odległości 4 kilometrów skóra na ciele pękała w strzępy. Topiło się żelazo, blacha i szkło.

Poza oparzeniami, obrażenia spowodowała fala uderzeniowa. W centrum wybuchu ciśnienie atmosferyczne wzrosło do 5 a nawet do 8 ton na 1 metr kwadratowy. Pękały płuca, jelita, pęcherz moczowy. Fala wywołała wiatr o sile 800 km/godz., który zmiatał wszystko.

W ślad za pierwszą falą uderzeniową przyszła druga, powrotna, mniej gwałtowna, lecz trwająca dłużej, wywołana spadkiem ciśnienia w centrum wybuchu. Stąd owa chmura w postaci grzyba, wsysająca wszystko do siebie.

Trzecim skutkiem była fala promieniowania radioaktywnego, atakująca szpik kostny. Wiele lat po tej tragedii ludzie zapadali na białaczkę czy raka tarczycy.

Hekatomba Hiroszimy jest trudna do wyrażenia. W oślepiającym strumieniu, dziesięciokrotnie silniejszym niż światło słońca, zobaczyli Japończycy deszcz ognia z nieba, który spopielił wszystko w szerokim wielokilometrowym promieniu. Kiedy 80 tysięcy ofiar zostało pogrzebanych i spalonych żywcem, w sekretnych salonach amerykańskich uczonych, polityków i wojskowych, wznoszono toast za ten zdumiewający sukces nauki.

Prezydent Harry Truman, na pokładzie krążownika „Augusta”, wiadomość o zbombardowaniu Hiroszimy powitał słowami: „To największy dzień w historii”. Trzy dni później wydał rozkaz zrzuć drugiej bomby atomowej na Nagasaki. Po uraniu był pluton. Dzień później Japończycy skapitulowali.

Dla wielu naukowców zagłada japońskich miast stała się momentem zwrotnym w dalszych badaniach. M.in. większość pracujących w Los Alamos poświęciła wiele czasu i sił, aby przekonać opinię publiczną o niebezpieczeństwach atomowego wyścigu, jaki zrodził się po wojnie. Realia były jednak okrutne. Do niedawna sojusznicy, Ameryka i Związek Radziecki, stanęli naprzeciw siebie. Wobec radzieckiego zagrożenia Amerykanie musieli rozpocząć atomowe zbrojenia. Po tym jak raz pokonano drogę do budowy bomb, dalsza ich produkcja była już tylko problemem technicznym.

Rosjanie eksplodowali pierwszą bombę 29 sierpnia 1949 roku. Amerykanie odpowiedzieli na to skonstruowaniem bomby wodorowej, którą zbudowano także w Los Alamos. Odpalono ją 1 listopada 1952 roku. Spowodowała zniknięcie z mapy wyspy Elugolap w Atolu Eniwetok na Pacyfiku. Dwa lata później Rosjanie odpalili własną bombę wodorową. Skonstruował ją Andriej Sacharow.

Żywiolowy wyścig zbrojeń zahamowało zawarcie w 1968 roku układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Układ praktycznie wszedł w życie dopiero w 1976 roku. Podpisały go 142 kraje, ale na dobrą sprawę, kto chce, może się z nim nie liczyć. Tak m.in. postępuje Irak, nie pozwalając inspektorom ONZ sprawdzić wszystkich swoich instalacji, oskarżając ich o naruszenie suwerenności czy szpiegostwo.

Do roku dwutysięcznego co najmniej dwadzieścia krajów będzie dysponować bronią jądrową lub możliwością jej wyprodukowania. Niektóre państwa pragną w ten sposób poprawić swoją sytuację geostrategiczną, lub też czy-

nią to z pobudek politycznych lub ideologicznych. Po prostu odstraszanie jądrowe przestało być monopolem wielkich mocarstw. Można więc napisać, że w najbliższych latach większość konfliktów terytorialnych czy innych będzie się rozstrzygać w cieniu szantażu nuklearnego.

Kto więc, poza wielkimi mocarstwami, mógłby nacisnąć atomowy „guzik”?

Prawdziwą beczką prochu jest Bliski Wschód. Izrael posiada do 400 ładunków jądrowych. Irak, gdyby nie wojna w Zatoce, z pewnością dysponowałby już bombą atomową. Nad „islamską bombą” pracuje się intensywnie w Algierii oraz Libii. Zaawansowany jest w tej materii Iran, nie bez pomocy Francji, Chin i RFN.

Broń atomową posiadają oficjalnie Indie oraz nieoficjalnie Pakistan, obydwa państwa koreańskie, Argentyna, Brazylia oraz RPA.

Otwarte jest pytanie, w czyich rękach znajduje się arsenał jądrowy ZSRR? Po rozpadzie sowieckiego imperium, przestało istnieć centrum — jako jedyny dysponent broni jądrowej. Powstały cztery ośrodki decydujące w dziedzinie broni nuklearnej: Moskwa, Kijów, Mińsk i Alma Ata. Czy zechcą współpracować ze sobą?

Ukraina byłaby gotowa zniszczyć środki jądrowe na miejscu pod kontrolą międzynarodową. Kazachstan i Białoruś zachowują swoje zamiary w tajemnicy.

Jak zachowa się armia, która kontroluje arsenał broni jądrowej taktycznej? Czy nie wykorzysta go w ramach któregoś z konfliktów wewnętrznych? Czy któryś z oficerów, pozabawiony skrupułów, nie sprzeda posiadanej broni za granicę?

A co będzie z armią naukowców, konstruktorów oraz inżynierów przemysłu jądrowo-kosmicznego? Już mówi się o tym, że część z nich wyjechała do Iraku, Pakistanu czy Libii i pomaga w wyprodukowaniu broni atomowej.

Sumując te refleksje, można napisać, że ta sama technika, która czyni życie wygodniejsze, stwarza problemy nie-

znane w dotychczasowej historii ludzkości. Wobec widma wojny jądrowej błedną wszystkie inne zagrożenia życia na ziemi. Nawet gdyby zredukowano arsenały zbrojeniowe o 90 procent, to i tak zarówno Stany Zjednoczone, jak i Rosja miałyby wystarczająco dużo broni, by całkowicie unicestwić siebie nawzajem.

Nikt nie wie, ile głowic nuklearnych znajduje się na świecie. Powszechnie zakłada się, że byłoby rzeczą niemożliwą ograniczenie się do „małej” wojny jądrowej, która nie spowodowałaby eskalacji, sięgnięcia po zapasy. W efekcie, co najmniej połowa mieszkańców ziemi zginęłaby lub odniosła poważne rany, wymagające natychmiastowej pomocy medycznej. A inne następstwa? Skażenie radioaktywne wody doprowadziłoby do dalszej tragedii. Zniszczenie warstwy ozonu zwiększyłoby ilość ultrafioletowego promieniowania na powierzchni ziemi, co groziłoby zniszczeniem białka i kwasu nukleinowego. Pyły i dymy spowodowałyby ciemności trwające miesiącami. Obniżyłaby się znacznie temperatura atmosfery. Na długo zapanowałaby „nuklearna” zima. I co ważne: nie można liczyć na to, że kraje położone daleko na uboczu wojny jądrowej będą wolne od jej następstw. Nigdzie nie będzie bezpiecznego azylu przed taką wojną toczoną w jakimkolwiek kraju. Zniszczenia, jakich ona dokona, jako żywo uczynią z naszego krajobrazu księżycową pustynię, a życie które przetrwa, będzie skazane na stopniowe unicestwienie. Przed zagładą nie uchroni na długo najlepszy schron, owa współczesna arka Noego.

## Dżuma XX wieku Epidemia AIDS

**Ś**wiat został zaskoczony chorobą, która jak widmo zagłady krąży i zbiera żniwo, wywołując strach, wstręt, poruszenie społeczne, bunt i nienawiść. Niewielu ma od-

wagę przyznać, że jest to dżuma XX wieku, która pojawiła się nagle, porażając wszystkich szybkością, z jaką się rozprzestrzenia. Można ją śmiało uznać za współczesną odmianę średniowiecznej zarazy, morowego powietrza, czarnej śmierci, epidemii apokaliptycznej. W początku XXI wieku — jak ktoś się wyraził — jeśli choroba nie zostanie opanowana, izolować trzeba będzie nie chorych, a nielicznych zdrowych dla przetrwania gatunku homo sapiens.

Szok, jaki wywołuje AIDS, nie minie tak szybko, ponieważ nieuleczalność tej choroby zachwiała wiarę w bałwochwalczą cześć oddawaną nauce, to po pierwsze. A po wtóre — HIV rozprzestrzenia się głównie przez kontakty płciowe, a więc jest współczesną odmianą „francy”, zakaźnej choroby wenerycznej, która przez cztery stulecia była uważana za karę Bożą zesłaną na rozpustników. Nie można więc oddzielić refleksji nad AIDS od jej moralnych źródeł i ich następstw. AIDS uderzył przede wszystkim w tych, którzy korzystając odczochoczo z „osiągnięć” rewolucji seksualnej, odłączyli akt seksualny od jego istoty, tj. miłości i małżeńskiej wierności.

Od niepamiętnych czasów choroby zakaźne miały ogromny wpływ na zmiany społeczne, decydowały o losach krajów i narodów. Przypomnę, że epidemia dżumy, która zaatakowała Europę w XIV wieku, spowodowała śmierć 25 milionów osób, czyli jednej trzeciej ludności kontynentu. Skutki były wielorakie. Gospodarcze — to przede wszystkim upadek wielkich majątków feudalnych. Załamał się system dworski. W religii nastąpił wzrost zabobonów, wielu ludzi odeszło od Kościoła instytucjonalnego uważając, że zawiedli się na nim. Kto wie, czy nie była to jedna z głównych przyczyn Reformacji. Zmieniły się też stosunki społeczne. Powstały pierwsze szpitale, rozwinęła się medycyna i higiena. W efekcie przyspieszyło to dobę humanizmu czyli renesansu.



Innym przykładem radykalnych zmian, jakie wprowadzają choroby zakaźne, może być epidemia ospy, którą przywlekli hiszpańscy żołnierze w 1520 roku do Meksyku. Spowodowała wśród 25 milionowej ludności śmierć około 18 milionów latynosów. Jak się uważa, odporni na ospę Hiszpanie wydawali się Indianom niezwykłymi, co z pewnością przyczyniło się do psychologicznej przewagi Europejczyków.

Przykłady można by mnożyć. Z religijnego punktu widzenia, każda zaraza była traktowana jako kara za grzechy. Wielkie zarazy domagały się poważnych wyjaśnień. Zasada była prosta: Bóg jest wszechmocny i cierpliwy, ale zarazem sprawiedliwy.

AIDS nie jest pierwszą „chorobą miłości”, która wywołuje paniczny strach. Przez wiele wieków przerażenie budziły choroby weneryczne, zwłaszcza syfilis. W odróżnieniu od innych chorób zakaźnych, przynosił on milionom ludzi nie tylko nieuleczalne cierpienie i śmierć w męczarniach, ale społeczne potępienie. Uważa się, że syfilis przywlekli żeglarze Krzysztofa Kolumba z Haiti, wcześniej bowiem nie był znany w Europie, a przynajmniej nie miał tak masowego charakteru. Po Europie zaś roznieśli ją żołnierze Karola VIII, króla Francji, stąd jej pogardliwa nazwa „franca”. Sebastian Brant, autor „*Statku szaleńców*” opisywał w 1496 roku rozprzestrzenianie się choroby słowami: „Do Włoch przyszła z Francji paskudna choroba (...) ogarnęła Lacjum i przez Alpy przedostała się dalej do Niemiec, przekroczyła Dunaj. Teraz szaleje w Tracji i w samym sercu Czech, zaś Polak trwoży się, że i jego dosięgnie”.

Syfilis dotarł oczywiście do Polski, Rosji, a nawet Chin, dokąd zawlekli go portugalscy żołnierze. „Obecnie choroba ta grasuje w całej Europie, w wielkich miastach Azji i Afryki” — pisał w roku 1530 włoski lekarz Girolamo Fracastero. Od niego wywodzi się ówczesna nazwa tej

choroby, przypisana pasterzowi świń imieniem „Syphilos”, który bluźnił bogu-słońcu.

Choroba nie czyniła wyjątków między nędzaczami i bogatymi. Jej ofiarami byli m.in. król Francji Franciszek I, Danii — Kristian VII, carowie Rosji Iwan Groźny i Piotr Wielki. Na kiłę umarli wybitni artyści, pisarze, kompozytorzy czy malarze. W XIX wieku pokonała ona Flauberta, Zolę i Maupassanta.

Choroba ta, nieleczone, prowadziła do kalectwa, atakowała mózg i kości, innymi słowy, przez lata całe wpływała na zdrowie i poziom umysłowy bogatych rodów, stając się pośrednio przyczyną decyzji politycznych. Najbardziej znamienym przykładem może być osoba króla Anglii Henryka VIII, chorego na syfilis, któremu kolejne żony nie potrafiły dać zdrowego następcy tronu. Z winy jego choroby, nie inaczej. W końcu sprzeciw papieża Klemensa VII na rozwód stał się przyczyną zerwania z Rzymem. Takie były początki Kościoła anglikańskiego. Odtąd król, jako najwyższy zwierzchnik Kościoła, mógł się żenić i rozwodzić z kim chciał. Pod topór kata wędrowali ci, którzy sprzeciwili się królowi. Rzadko kiedy wpływ syfilisu na rozwój historii świata był równie gwałtowny i głęboki.

Jak groźny musiał być syfilis, świadczy wypowiedź wybitnego humanisty Erazma z Rotterdamu, który miał się wyrazić, że takich chorych należałoby palić na stosie, albo przynajmniej kastrować. Pobożny Erazm z Rotterdamu pisząc o cierpieniach chorych na kiłę, szkicował scenę: *„Oto jest: ze splaszczonym nosem, z rękami pełnymi strupów, kaprawymi oczami i cuchnącym oddechem, jedną nogę wlecze za sobą, głowę ma owiązaną, a ropa płynie z jego uszu i nosa”*.

Podobno badania kości Erazma w 1928 roku wykazały obecność zmian wywołanych syfilisem. Być może więc ten bogobojny zakonnik znał chorobę z własnego doświadczenia, a zarazić się mógł w łaźni, do której uczęszczano

wówczas powszechnie. Nie każdy bowiem chory musiał się zarazić w „domu uciech”. Przyczyną rozpowszechniania się kiły mogło być wspólne z chorym używanie naczyń stołowych, fajek, instrumentów dętych, szczoteczek do zębów, brzytwy do golenia itp. Choć zarazek kiły ginie znalazłszy się poza organizmem żywym, niemniej jednak przy niskim stanie higieny może znaleźć szersze pole rozwoju. Uważa się, że zwyczaj noszenia trefionych peruk, rękawiczek czy pudru, był niczym innym jak maskowaniem wypadających włosów, ukrywaniem strupów na dłoniach czy wyprysków na twarzy. Podobnie koronkowy żabot krył zdradliwe plamy na szyi. Tak ukrywano chorobę w pałacach, biedacy natomiast byli skazani na porzucenie i śmierć. Opuszczala ich rodzina, a lekarze odmawiali leczenia.

Medycyna dopiero w XX wieku poradziła sobie z syfili- sem. W 1905 roku niemiecki zoolog Fritz Schadim odkrył pod mikroskopem bakterię podobną do spirali, zabar- wioną na bladło. Nazwano ją krętek blady. Rok później niemiecki bakteriolog Wassermann opracował test na wy- krywanie kiły, oparty na chemicznej analizie surowicy krwi. Nazwano ten odczyn Wassermanna. Pozytywny wy- nik testu świadczy odtąd o chorobie, zanim jeszcze poja- wia się zewnętrzne objawy. Kilka lat później niemiecki lekarz Paul Ehrlich skomponował długo oczekiwany lek ze związków arsenu, który zabijał zarazki kiły. Po czte- rech wiekach panoszenia się zarazy, miliony ludzi ode- tchnęło. Infekcja przestała być groźna. Nie na długo jed- nak. Jak grom z jasnego nieba pojawił się AIDS.

AIDS (*Acquired Immuno — Deficiency Syndrome*) jest chorobą przenoszoną przez wirus HIV (*Human Immuno- deficiency Virus*), odkryty w 1983 roku przez dr. Luc Montagniera w Instytucie Pasteura w Paryżu, a także dwa inne wirusy LAV i HTLV — III. Wirusy te atakują białe ciała krwi (leukocyty), tym samym osłabiają system od-

pornościowy człowieka. Każda bakteria czy wirus może okazać się dla człowieka śmiertelna. Wirus HIV może również zaatakować mózg, co powoduje utratę pamięci, paraliż czy inne zaburzenia psychiczne.

Dr Halfdan Mahler, dyrektor Światowej Organizacji Zdrowia, stwierdza: „*Znajdujemy się w obliczu prawdziwej tragedii, porównywalnej z największą śmiertelnością, jaką znała nasza historia. Nie oszczędza nikogo: ani mężczyzn, ani kobiet, ani dzieci, i jest w trakcie rozprzestrzeniania się po całej ziemi*”.

W ciągu najbliższych lat liczba chorych na AIDS przekroczy 100 mln osób. Zważywszy, że liczba zachorowań podwaja się co roku, można uznać, że stoimy u progu katastrofy. Jak dotąd, człowiek jest wobec AIDS tak bezbronny, jak nasi pradziadowie wobec dżumy. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wyróżnia trzy wielkie regiony geograficzne, w których epidemia AIDS występuje w odmiennych aspektach:

1. W najwyżej uprzemysłowionych krajach Europy, w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych choroba ta rozpowszechnia się od połowy lat 1970, głównie pośród grup wysokiego ryzyka, to znaczy homoseksualistów oraz narkomanów używających wspólnych strzykawek czy igieł do dożylnego wstrzykiwania narkotyków. Epidemia AIDS jest więc, na ogół, stosunkowo ograniczona do tych wyraźnie określonych grup.

2. Na Karaibach i w Afryce Środkowej oraz Wschodniej, a także w nieco mniejszym stopniu, w Afryce Południowej, epidemia AIDS rozprzestrzeniła się w latach 1970—1980 pośród całej ludności, zwłaszcza w miastach. Nie ma tam właściwie grup wysokiego ryzyka, chociaż wyodrębniono pewne zachowania, grożące dużym ryzykiem. Epidemia dotyka tam zarówno ludność dorosłą, mężczyzn i kobiety, jak i dzieci. Te ostatnie zarażane są w łonie matki. Afryka Środkowa i Wschodnia to dzisiaj

obszary, gdzie liczba zarażeń wirusem HIV w stosunku do ogólnej liczby ludności jest najwyższa.

3. W innych krajach, np. Azji południowo-wschodniej czy Europy wschodniej epidemia AIDS zaczęła się dopiero w latach osiemdziesiątych i notuje się tam niewiele przypadków zachorowań.

Tragedia AIDS zauważalna jest zwłaszcza w Afryce, gdzie nosicielstwo wirusa może obejmować 25 procent dorosłych. Szybkie rozprzestrzenianie się wirusa na tym kontynencie ma swoją przyczynę obyczajową. Ogromna emigracja zarobkowa sprawia, że wielu mężczyzn przebywa dłuży czas poza domem, poza rodziną. Szukają wówczas kontaktów płciowych u prostytutek. Zarażeni wracają do swoich wiosek i tam wirus HIV roznosi się dalej.

Można tu przypomnieć, że w Afryce także najwięcej osób cierpi na choroby weneryczne. Wirus HIV znajduje u nich podatniejszy grunt. W sumie więc AIDS w Afryce ma charakter o wiele groźniejszy, aniżeli w Europie czy Ameryce. Liczne choroby tropikalne, malaria czy ospa, dodatkowo osłabiają immunologiczny system człowieka, czyniąc go bardziej podatnym na tę chorobę.

Chociaż HIV jest w tej chwili najlepiej poznanym wirusem, badania nad jego unieszkodliwieniem nie posuwają się szybko do przodu. AIDS jest chorobą systemu odpornościowego, a postępy w immunologii są powolne. Opracowanie skutecznej szczepionki może potrwać jeszcze dziesięć lat. Musi ona być o szerokim zasięgu działania, ponieważ wirusa HIV cechuje duża zmienność. Czas pokaże, czy nauka upora się z chorobą, jak na razie, skutki jej rozprzestrzeniania się wywołują głębokie zmiany społeczne. W pierwszym rzędzie dotyczą one napiętnowania zachowań homoseksualnych. Np. w USA dochodzi do tego, że wielu stołujących się w restauracjach unika tych lokali, w których kelnerzy znani są jako homoseksualiści.

W miarę jak choroba nasila się, wzrasta agresja przeciw tej grupie i środowisku.

Chorzy na AIDS spotykają się ze społecznym potępieniem. Wielu z nich nie ma się gdzie podziać. Zostali usunięci z domów przez własne rodziny. Rzadko który posiada środki finansowe, aby opłacić długotrwałe leczenie. W praktyce nie mają więc szans ani na pracę, ani na mieszkanie. W szpitalach traktowani są jak osoby trędowate. Często pozostawia się ich własnemu losowi. Obawa przed infekcją jest tak wielka, że lekarze nie mają odwagi ich leczyć, a pielęgniarki opuszczają szpital, jeśli są skierowane do obsługi takich chorych.

W Stanach Zjednoczonych obawa przed zarażeniem się wirusem HIV przybiera w niektórych środowiskach rozmiary hysterii. Tak było w wielu szkołach. Rodzice nie posyłają do nich swoich dzieci, kiedy dowiadują się, że któryś z uczniów jest chory na AIDS. Panika powoduje, że chorych traktuje się jak trędowatych. Wielu ludzi utraciło majątek i stanowisko, kiedy otoczenie dowiedziało się, że są dotknięci AIDS. Po prostu strach poczynił większe szkody, aniżeli rzeczywiste ryzyko.

W grudniu 1991 roku wielu fanów koszykówki przeżyło prawdziwy szok, kiedy Ervin „Magic” Johnson, szef zespołu „Lakersów” z Los Angeles, powiedział publicznie: jestem chory na AIDS.

Ten sportowy idol miał odwagę przyznać się do choroby i w pierwszym momencie odejść z drużyny. Wrócił do zespołu na czas olimpiady w Barcelonie, później jednak wycofał się. Nieoficjalnie podano, że niektórzy koledzy obawiali się z nim grać.

Dzisiaj wiadomo, że 75 procent zarażeń następuje przez kontakty heteroseksualne, jednak odium złości nadal kieruje się przeciw homoseksualistom i narkomanom. Na przykład amerykański kaznodzieja telewizyjny Jerry Falwell, samozwańczy przywódca ruchu „Moralnej Większo-

ści" uważa, że homoseksualistów należy wykluczyć ze społeczeństwa. „To oni są przyczyną nieszczęścia, które dotknie Amerykę, tak jak niegdyś syfilis zdziesiątkował Europę”.

O chorych na AIDS mówi się nierzadko, jako o przeklętych, ukaranych przez Boga za grzechy nieprawości seksualnej. Jak to oceniać?

Ponieważ nosicielami wirusa HIV byli na początku homoseksualiści i narkomani, a więc ci, którzy w opinii społecznej nie przestrzegają norm moralności i religii, zaczęto łączyć tę chorobę z karą Bożą. Perwersja jest zawsze wyzwaniem rzuconym naturze, jest ciężką obrazą społeczeństwa, a więc kara spadająca na nich uważana jest za coś normalnego. Takie rozumowanie byłoby nawet logiczne i prawdziwe, gdyby nie fakt, że chorują również kobiety i dzieci.

Uważanie AIDS za karę Bożą ma jednak określone podstawy w chrześcijaństwie, wyniesione z lektury Pisma św. Starego Testamentu. Dopowiedzmy, że do XIX wieku, a więc do okresu szybkiego rozwoju medycyny, każdą epidemię łączono z karą Bożą, przy każdej katastrofie doszukiwano się winnych, najczęściej wśród heretyków i jawnogrzeszników. Wielkie zarazy przyczyniały się do rozbudowania ceremonii pokutnych, zbiorowych aktów skruchy, do rozwoju pielgrzymek.

Dlaczego obecnie powróciło pytanie: czy AIDS jest klątwą? Czy ze względu na moralne źródło epidemii? Prawda, dla osób, które czuły się seksualnie „wyzwolone”, AIDS stał się zagrożeniem ich „wolności”. Konsekwentnie więc niektórzy zadają sobie pytanie, czy ta choroba nie jest jakąś karą Bożą za zredukowanie miłości do seksu, za traktowanie drugiego człowieka jako przedmiotu.

Gdyby sięgnąć do Biblii, zwłaszcza do Nowego Testamentu, znalazłoby się wiele przykładów, które tę sprawę

wyjaśniają. Miłosierny Bóg nie odplaca złem na zło. Dobitnie wypowiada się na ten temat Chrystus, zapytany przez uczniów przy okazji uzdrowienia ślepcy: „Rabbi, kto zgrzeszył, że urodził się niewidomym — on czy jego rodzice?”. Jezus odpowiedział: „Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale stało się tak, aby na nim objawiły się sprawy Boże” (J 9, 2—4).

Jakie to sprawy Boże ujawnia epidemia AIDS? Kościół wyraźnie stwierdza, że u podłoża tej choroby znajduje się niemoralne życie, rozwiązłość seksualna. Nie chodzi jednak o jednoznaczne identyfikowanie nieszczęścia z grzechem, ale o ich pośrednią zależność. Jest w tym nieszczęściu jakby forma profilaktyki, apel o opamiętanie.

Twierdzenie, że AIDS jest znakiem gniewu Bożego wobec homoseksualistów i narkomanów, biczem Pańskim na rozwiązłość seksualną, dyktuje przede wszystkim strach przed rozprzestrzenieniem się infekcji. Bywa, że także ci, którzy noszą tę śmiertelną chorobę, przeżywają trwogę i bezsens istnienia, traktują ją jako karę za własną rozwiązłość. Przeżywają ogromny niepokój sumienia, jakby sami zrozumieli, że podeptanie norm moralnych nie może odbyć się bez określonych konsekwencji. To oni pierwsi uznali tę chorobę jako znak, że sfery ludzkiego seksualizmu nie można pozbawić odniesień etycznych.

Tych, którzy łączą chorobę AIDS z karą Bożą, można podzielić na dwie grupy. Do pierwszej zaliczają się pełni strachu o przyszłość prości ludzie, którzy nie orientują się dobrze w przyczynach i skutkach choroby. Po prostu boją się o siebie i własne dzieci. Drugą grupę stanowią wszyscy ci, którzy seks łączą jedynie z pożądliwością i cielesną rozkoszą, którzy potępiają w czambuł wszystkie stosunki płciowe odbiegające od normy.

Zamieszanie w tej materii jest ogromne. Warto pamiętać, że w wyniku postępu tej choroby został zaatakowany cały świat rozrywki i reklamy, świat biznesu łączącego się



z erotyzmem. Równocześnie została obnażona mentalność hedonistyczna, jaka zapanowała we współczesnej kulturze. Świat seksu przestał być rzeczą „niewinną”, moralnie obojętną. Istnieją bogate lobby, które zbijają fortuny na seksie. Ich działalność można porównać do mafii narkotykowych. Stąd np. walka z AIDS podejmowana przez rządy wielu krajów sprowadza się jedynie do premiowania badań medycznych zmierzających do zneutralizowania wirusa, a także propagowania profilaktyki, wiążącej się z koniecznością stosowania prezerwatywy. Ci, którzy mówią o wartościach ludzkiego seksualizmu, którzy krytycznie odnoszą się do swobody seksualnej, bywają nierzadko ośmieszani i brutalnie zwalczani. Szczególnie ostro krytykuje się Kościół katolicki i Papieża. W większości krajów zachodnich biskupi wydali odpowiednie listy na ten temat. Tytułem przykładu przypomnę dokument biskupów amerykańskich, który w głównej treści zawierał apel o wyrażenie współczucia osobom dotkniętym tą straszliwą chorobą, potępiał różnego rodzaju dyskryminacje tych chorych, a przede wszystkim nawoływał do zachowania moralności chrześcijańskiej w dziedzinie seksualnej, co w największym stopniu mogłoby się przyczynić do zahamowania choroby. Dokument podkreślał sprawę powściągliwości seksualnej, współżycia małżeńskiego monogamicznego oraz powstrzymanie się od narkotyków. Biskupi poddali krytyce obiegowe określenie hasła „seks bezpieczny”, tłumacząc nieporozumienie, jakie wnosi ten termin łączący seks jedynie z techniką antykoncepcyjną, i w szerszym znaczeniu, z samym używaniem życia do woli.

Jan Paweł II naucza, że *„plciowość, poprzez którą mężczyzna i kobieta oddają się wzajemnie we właściwych i wyłącznych aktach małżeńskich, nie jest bynajmniej zjawiskiem czysto biologicznym, lecz dotyczy samej wewnętrznej istoty osoby ludzkiej, jako takiej. Urzeczywistnia się ona w sposób prawdziwie ludzki tylko wtedy, gdy stanowi integ-*

ralną część miłości, którą mężczyzna i kobieta wiążą się ze sobą aż do śmierci" (*Familiaris consortio*, 32).

Wielu twierdzi, że problem AIDS to w rzeczywistości problem dwóch epidemii: samej choroby oraz myśli o niej. Ta druga epidemia jest również groźna, ponieważ wywołuje falę nietolerancji i strachu. Trzeba więc walczyć z samą chorobą, oraz z dyskryminacją osób chorych. Zepchnięcie ich na margines życia społecznego, pozbawienie odpowiedniej opieki medycznej, powiększa ryzyko niekontrolowanego kręgu zarażeń.

Przede wszystkim jedno jest ważne: choroba w niczym nie umniejsza godności człowieka. Współczesny Hiob nie może być uznany za ukaranego przez Boga, ponieważ rodzi się codziennie dziesiątki niewinnych chorych. Jeśli odrzuca się chorych na AIDS oznacza to, że chore jest również społeczeństwo.

Z całą pewnością można napisać, że epidemia AIDS jest swoistym „memento mori” naszych czasów. Żniwo śmierci może iść wkrótce w miliony. To prawdziwa próba dla świata, wyzwanie, któremu należy sprostać. Sytuacja chorych, jak dotychczas, podobna jest do trędowatych, których wykluczało się dawniej ze społeczności żywych, skazywało na śmierć poza skupiskami zdrowych. W tym znaczeniu AIDS jest wołaniem o międzyludzką solidarność i miłosierdzie, jest również upomnieniem się o sens ludzkiej płciowości.

## Gigantyczna trumna Zagłada ekologiczna

**Z**iemie porównuje się do statku kosmicznego, któremu bezpieczeństwo gwarantują odpowiednie zapasy energii, żywności, tlenu i wody. To oczywiste, że taki statek nie może „podróżować” w nieskończoność, ponieważ jego bogactwa, choć ogromne, są wyczerpalne.

Ponieważ przykłady oddziaływują na wyobraźnię, przywołajmy kilka z nich. Zatrucia chemiczne: japońska zatoka Minamoto — 1975 rok — kilka tysięcy zatrutych osób. Bhopal, Indie, rok 1984: z fabryki insektycydów kompanii Union Carbide ulatnia się chmura gazowa. Na skutek zatrucia zmarło natychmiast od 1750 do 15.000 osób; dokładna liczba nie jest znana. Bazylea, Szwajcaria, rok 1986: po pożarze w fabryce spółki Sandoz wycieka do Renu milion ton chemikaliów zawierających fosfor; w sześć dni później, po eksplozji jednego ze zbiorników, trzy do dziesięciu ton związków rtęci i srebra. Skutki tej i późniejszych podobnych katastrof nad Renem: masowy pomór ryb i zanik całego mikrożycia nad dużą częścią koryta rzeki, a także zagrożenie wód przybrzeżnych Morza Północnego. Trafnie nazwano Ren „chłodnicą atomową”. Płynie w nim 60 tys. chemikaliów, w tym 80—90 procent niewykrywalnych w dostępnych analizach.

Pamiętać również trzeba, że ów statek ma nie tylko pasażerów, ale przede wszystkim pilotów, tzn. wszystkich tych, którzy kierują jego lotem. Jak się uważa, to oni doprowadzili statek-Ziemię na krawędź katastrofy, samozagłady. Spowodował to model życia opartego na intensywnej produkcji i konsumpcji, bezwzględnej eksploatacji surowców naturalnych, rozwoju gałęzi przemysłu, które degradują środowisko naturalne. Światu grozi śmiertelna katastrofa. Ginie życie. Statek-Ziemia, nie ukrywajmy, jest gigantyczną trumną.

Dane są zatruwające. Codziennie zanika od 25 do 75 gatunków żywych istot. Dzieje się tak na skutek niszczenia środowiska, w którym one żyją: lasów, wody, gleby i powietrza. Gleba naszej planety traci poszycie roślinne, ponieważ postępuje jej wyjałowienie spowodowane przez sól i substancje chemiczne. Wzrasta zawartość dwutlenku węgla w atmosferze, co powoduje tzw. efekt cieplarniany. Średnia temperatura wzrośnie w najbliższych latach

o 2 stopnie, co zakłóci równowagę ekosystemów i podwyższy poziom oceanów spowodowany topnieniem lodów arktycznych. Bardzo niebezpieczne jest zmniejszenie się powłoki ozonowej, co powoduje wzrost promieniowania ultrafioletowego. W efekcie zostanie zaburzony cykl biologiczny rozwoju roślin, zaginie życie w morzach, zwiększy się zachorowalność na raka.

Po nas choćby potop. Ta dewiza do niedawna przyświecała światowemu rozwojowi przemysłu. W efekcie Morze Północne jest szambem zakładów chemicznych i rolnictwa Europy Zachodniej, Łaba — ściekiem dawnej NRD i Czecho-Słowacji, Bałtyk — zatrutym akwenem, Morze Aralskie — pozbawionym życia bagnem, Morze Japońskie — skażone rtęcią, Tybet — ginącym rezerwatem fauny i flory, Amazonia — utraconym rajem leśnym.

Bardzo niebezpieczne dla ekosystemu jest zniszczenie lasów. Każdego roku ubywa ich na naszej planecie 11 milionów hektarów. Największym ich wrogiem są kwaśne deszcze oraz pożary. Na przykład na granicy między Czechami a Niemcami sterczą hektary obumarłych drzew na skutek opadów dwutlenku węgla. Kwaśne deszcze niszczą jeziora, zabijają ryby, zagrażają turystyce, szkodzą rolnictwu, unicestwiają stare budowle i stanowią ryzyko zdrowotne. Połowę zagrożeń tworzy emisja z paliw kopalnych — z konwencjonalnych elektrowni i samochodów. Sięgnijmy po fakty.

Zniszczenie lasów w Etiopii zmniejszyło zasoby wód Nilu i stwarza zagrożenie dla normalnego istnienia Egiptu. Nie lepiej jest na Syberii, niegdyś dziewiczym regionie Rosji. Począwszy od komunistycznej rewolucji, w pędzie do przetworzenia surowców w dobra materialne, zanieczyszczono syberyjskie rzeki i огоłocono lasy. Nigdzie indziej konsekwencje niepohamowanej, bezmyślnej industrializacji nie są tak widoczne, jak w basenie Bajkału na Syberii. Zbudowano tam centrum przemysłu drzewno-ce-

lulozowego, niszcząc trzy czwarte fauny i flory jezior, które stanowią 80 procent zasobów wody pitnej kraju i 20 procent zasobów całego świata.

Planetarny zegar ekologiczny zatrzymał wskazówki za pięć dwunasta. Bomba ekologiczna tyka już tak głośno, że nikt nie jest w stanie zatkać uszu, aby jej nie słyszeć. Dość napisać, że każdej minuty: 21 hektarów lasów tropikalnych ulega zniszczeniu, zużywa się 34.725 baryłek ropy, 50 ton nawozów jest wymywanych lub wywiewanych z pól uprawnych, emituje się do atmosfery 12.000 ton tlenu węgla.

Każdej godziny: 685 hektarów ziemi uprawnej pustynieje, 1.800 dzieci umiera wskutek chorób i niedożywienia (15 milionów każdego roku), 120 milionów dolarów wydaje się na zbrojenia.

Każdego dnia: 10 ton odpadów nuklearnych wytwarzanych jest przez 360 elektrowni jądrowych, 250.000 ton kwasu siarkowego spada w postaci „kwaśnego deszczu”, 60 ton opakowań plastikowych i 372 tony sieci rybnych jest wyrzucanych do morza przez rybaków, 550.000 zwierząt umiera w męczarniach w laboratoriach naukowych.

Do atmosfery trafia rocznie ponad 20 mld ton dwutlenku węgla — z kominów fabryk, elektrociepłowni i domów mieszkalnych, z rur wydechowych samochodów i dysz silników odrzutowców. Powoduje to nadmierne przegrzanie się Ziemi. W efekcie pojawiają się plagi insektów oraz roznoszonych przez nie chorób. Tak było m.in. z inwazją szarańczy w Afryce zimą 1989 roku, jak również z „najazdem” moskitów na Azję latem 1990 roku.

Efekt cieplarniany doskonale służy tylko jednej grupie biologicznej: pasożytom. Całe połacie skarłowaciałych drzew, krzewów i martwych pni są oddane na postę insektów. Na resztkach lasów skazanych na śmierć przez klimat, prosperuje świat mrówek, moli, chrząszczy, gąsienic i setek gatunków robactwa. Życie rozwija się bujnie

na martwych organizmach, ale czy o takim życiu rojącym się od robactwa marzymy?

W Efekt cieplarniany nie wydaje się tak groźny, jak niebezpieczeństwo tzw. dziury ozonowej, tzn. zmniejszenie się warstwy ozonu w stratosferze, która tworzy naturalną osłonę przed groźnymi promieniami ultrafioletowymi. To zagrożenie nie dotyczy jakiejś odległej przyszłości, ale jest obecne już teraz. Dotąd obserwowano je nad biegunem południowym, obecnie uważa się, że dziury ozonowe tworzą się nad gęsto zaludnionymi ośrodkami obydwu półkul, zagrażając życiu człowieka, zwierząt i roślin.

Konkretnie, wzrost promieniowania ultrafioletowego może wywołać wszelkiego typu nowotwory skóry, oka, a przede wszystkim osłabić zdolność organizmu do zwalczania chorób. Promieniowanie to zagraża także życiu roślin i zwierząt. Już dziś na południu Chile ślepną owce i łososie, a zające na pampasach można łapać gołymi rękami, bo też są ślepe. Istnieją opracowania, które stwierdzają, że wkrótce na tzw. Wielkiej Północnoniemieckiej Nizinie, wskutek zmniejszenia się powłoki ozonowej o 10 procent, powstaną warunki promieniowania jak na Matterhornie, czyli na wysokości 4.477 metrów.

Dziura ozonowa, wywołana przede wszystkim freonem, potrzebnym przy produkcji aerozoli, jest zaledwie fragmentem tego, co ludzie sobie szykują, a co można określić mianem współczesnej apokalipsy. Stoimy przed zmianami klimatycznymi, które zmieniają obraz naszej planety. Ocieplenie globu oznacza topnienie lodów polarnych i wzrost wilgotności powietrza. Pod wodą mogą się znaleźć wyspy mórz południowych, a później wielkie nadmorskie metropolie. Jeśli np. Bałtyk podniesie się o pół metra, oznacza to zatopienie Gdańska, Gdyni, Świnoujścia...

Innym, ogromnym zagrożeniem, są katastrofy tankowców na którymś z mórz czy oceanów. Prawdziwie apoka-

liptyczną wizję snuje przy tej okazji amerykański uczoney Noel Moster. Twierdzi on, że jeżeli pewnego dnia doszłoby do rozbicia 10 supertankowców, ropa z ich zbiorników utworzyłaby jednomilimetrową warstwę na całym wszech-oceanie. Woda przestałaby parować, produkcja tlenu zmniejszyłaby się o trzy czwarte, co spowodowałoby prawdopodobnie kres życia na ziemi.

Skrajne wizje na ogół nie przerażają, bo im się nie wierzy. Era przemysłowa świata, jak nazywa się wiek XX, ów pochód ku ludzkiemu szczęściu, nie tylko nie przyniósł spodziewanych owoców, ale wręcz przysporzył niepowetowanych strat. Czy więc przyznać rację Alfredowi Kastlerowi, fizykowi francuskiemu, który uważa, że ludzkość zmierza do samobójstwa. Podobnie twierdzi Hermann Hahm, znany futurolog, którego obliczenia wykazały, że skażenie i przeludnienie przyniosą światu około roku 2000 katastrofę.

Na Zachodzie obserwuje się różnego rodzaju ruchy i protesty przeciw tzw. kulturze przemysłowej. Najważniejsza jest działalność „Green Peace”. Kiedyś jej aktywiści rozrzucali ulotki, przykuwali się łańcuchami obok elektrowni atomowych, blokowali statki, które wyrzucały śmieci do morza, sprawdzali bezpieczeństwo tankowców... Dziś jest to pozarządowa organizacja, która posiada znakomitą kadrę naukowców, a jej raporty budzą świadomość ekologiczną wśród polityków i rządów na świecie.

Pod wpływem tych raportów wielu ludzi, szczególnie młodych, opuszcza skażone środowiska miast, aby żyjąc na wsi nawiązać bardziej ściśle, wspólnotowe kontakty międzyludzkie i prawdziwe związki z naturą. Młodzi tworzą tzw. kontr-kulturę, preferując łagodność życia, poszanowanie dla natury, unikanie przemocy, pogardę dla pieniądza, sprzeciw wobec autorytetów. Lubią uprawiać ziemię, poświęcają się rękodzielnictwu, spokojnej pracy, oddają się medytacjom religijnym. Coraz więcej osób ro-

zumie, że sprawa ekologii to po prostu kwestia życia i śmierci. Rodzą się nowe pomysły i projekty.

Bardzo ciekawą inicjatywą było na konferencji Żydów i chrześcijan w Halling Hoog (październik 1982) sformułowanie 10 przykazań ekologicznych. Oto one:

1. Jam jest Pan Bóg, który stworzył niebo i ziemię. Weź pod uwagę, że w tym stworzeniu jesteś moim partnerem. Obchodź się więc troskliwie z powietrzem, wodą, ziemią i zwierzętami, tak jakby byli to twoi bracia i siostry.

2. Weź pod uwagę, że dając ci życie, dałem ci także odpowiedzialność, wolność i ograniczone rezerwy surowców ziemi.

3. Nie okradaj przyszłości. Szanuj swoje dzieci, dając im możliwość długiego życia.

4. Rozbuduj w swoich dzieciach miłość do natury.

5. Rozważ, że ludzkość może wprowadzić używać technologii, lecz raz zniszczonego życia nie może stworzyć na nowo.

6. Zatroszcz się o to, aby w twojej wsi, twoim mieście, twoim kraju tworzyły się grupy, które będą się z zaangażowaniem starały o to, aby zapobiec grożącym katastrofom.

7. Odsuń się od wszelkich broni, które powodują nie dające się naprawić zniszczenia w podstawowych uwarunkowaniach życia.

8. Ćwicz samodyscyplinę także przy małych decyzjach w swoim życiu.

9. Znajdź w twoim cotygodniowym dniu wypoczynku — sabacie, czy niedzieli — czas, aby żyć ze światem, a nie tylko go używać.

10. Pomyśl o tym: nie posiadasz ziemi — jesteś tylko jej stróżem.

Nietrudno zauważyć, że biblijna inspiracja powyższego dekalogu potwierdza ścisłą więź między wszystkimi stworzeniami, mówi o wspólnym przeznaczeniu ludzi i przyro-



dy. Ten dekalog nie przeciwstawia człowieka naturze. Wspólne pochodzenie od Stwórcy ma swoją zasadniczą wartość.

Teologiczne spojrzenie na ochronę środowiska to między innymi odkrycie idei Stworzenia, dostrzeżenie w Bożym dziele życiodajnego ładu, mądrości i piękna, które człowiek ma poznawać, przyjmować i porządkować.

Na temat ekologiczny wielokrotnie zabierał głos Jan Paweł II. Między innymi w Orędziu na Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia 1990 roku mówił: „(...) Pewne elementy aktualnego kryzysu ekologicznego świadczą o tym, iż jest on problemem moralnym. Należy wśród nich wymienić przede wszystkim bezkrytyczne zastosowanie w praktyce zdobyczy naukowych i technologicznych. W ostatnich czasach dokonano wielu odkryć, które przyniosły niewątpliwe korzyści ludzkości, będące dowodem szlachetności powołania człowieka do odpowiedzialnego udziału w stwórczym działaniu Boga w świecie. Tym niemniej stwierdzono również, że zastosowanie pewnych odkryć w przemyśle i rolnictwie na dłuższą metę przynosi skutki negatywne. Wniosek stąd, że nie można podejmować żadnego działania w jednej dziedzinie ekosystemu bez uwzględnienia jego wpływu na inne dziedziny i ogólnie na jakość życia przyszłych pokoleń.

Stopniowe niszczenie warstwy ozonowej i postępujący w ślad za nią „efekt cieplarniany” osiągnęły krytyczne rozmiary na skutek rozwoju aglomeracji miejskich i zwiększonego zużycia energii. Odpady przemysłowe, gazy produkowane przy spalaniu kopaliny, niekontrolowane wycinanie lasów, stosowanie pewnych herbicydów, substancji chłodzących i aerozoli — wszystko to, jak wiadomo, ma szkodliwy wpływ na atmosferę i na całe środowisko naturalne. Obserwuje się liczne zmiany klimatyczne i atmosferyczne, które niosą z sobą wielorakie konsekwencje, począwszy od szkodliwego działania na zdrowie ludzkie, a skończywszy na niebezpieczeństwie zatopienia przybrzeżnych obszarów lądu.

*Niektóre szkody są nieodwracalne, ale wiele procesów można jeszcze opanować. Dlatego cała ludzka wspólnota — jednostki, państwa i organizacje międzynarodowe — mają obowiązek wykazania się na tym polu należyłą odpowiedzialnością (...)*”.

Te wszystkie mądre akcje i słowa nie zdadzą się na wiele. Wydaje się, że żadne nawoływanie i ostrzeżenia nie przyniosą już radykalnego zwrotu. Można to było zaobserwować na konferencji nazwanej „Szczytem Ziemi”, zorganizowanej pod auspicjami ONZ w Rio de Janeiro (3—14 VI 1992). Zdaniem organizatora konferencji w Rio, Maurice Stronga, zagłada grozi w równym stopniu krajom bogatym, jak i biednym. Jednak te drugie na ochronę środowiska potrzebują około 125 mld dolarów rocznie. Skąd wziąć te pieniądze?

Sytuacja Krajów Trzeciego Świata zmusza je do wydobycia wielkich ilości ropy naftowej, miedzi, węgla i rudy żelaza, do wyrębu cennych gatunków drewna, do rozwijania szkodliwego ekologicznie przemysłu. Jest to schodzenie po stopniach do piekła nie tylko krajów biednych, ale wszystkich, ponieważ niszczenie środowiska ma zasięg globalny, planetarny.

Wiele krajów Trzeciego Świata stanęło przed dylematem nie do rozwiązania: albo ochrona środowiska i zachowanie życia pojutrze, albo zaspokojenie potrzeb bieżących, czyli często ocalenie od śmierci głodowej. Żeby przeżyć, kraje biedne są zmuszone niszczyć środowisko naturalne, rozwijać energochłonny przemysł, wycinać lasy, pozwalać stadom bydła niszczyć pastwiska, co powoduje pustynnienie ziemi. Jest to spirala śmierci. „Gra idzie o przeżycie gatunku ludzkiego” — tak ocenia się zaistniałą sytuację, tak też sformułowano program „Szczytu” w Rio. Chodzi o uratowanie setek milionów ludzkich istnień.

Oto problemy-wyzwania, jakie stoją przed wspólnotą międzynarodową: jak pogodzić wymagania ochrony śro-

dowiska naturalnego w skali globalnej z koniecznością rozwoju ekonomicznego, z koniecznością przeżycia. Wszak kraje Trzeciego Świata utrzymują się wyłącznie z eksploatacji swoich surowców.

Do tej pory problem ten był szczególnie ostry, ponieważ zaogniła go konfrontacja między Wschodem a Zachodem. Obecnie, po rozpadnięciu się imperium sowieckiego, powstaje szansa poprawy stanu ekologii, tzn. pojawiła się możliwość zahamowania wyścigu zbrojeń. Ta dziedzina bowiem powodowała największą eksploatację zasobów, jest najkosztowniejsza.

Obecnie konfrontacja przebiega między bogatą Północą a biednym Południem. Czy Północ przyjmie zachętę do zmiany sposobu życia, ograniczy nadmierną konsumpcję dóbr i usług? Czy Południe zatrzyma swój pościg za bogactwem?

Czy coś może przynieść otrzeźwienie? Przed kilkoma laty groźnym sygnałem zbliżającej się katastrofy ekologicznej był wybuch w elektrowni atomowej w Czernobylu. Doszło nawet do tego, że Czernobyl był przez wielu identyfikowany, jako znak zbliżającego się końca świata. Czy to przypadek jedynie sprawił, że nazwa Czernobyl (Piołun) oznacza gwiazdę z Janowej Apokalipsy, która wyrządziła ogromne szkody? „I spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia, a spadła na trzecią część rzek i na źródła wód. A imię gwiazdy zowie się Piołun. I trzecia część wód stała się piołunem, i wielu ludzi zmarło od wód, bo stały się gorzkie” (Ap 8, 10). Terytorium byłego ZSRR obejmuje w zasadzie trzecią część wód i rzek, stąd ta przepowiednia zyskała swe poświadczenie.

Na marginesie dodajmy, że wybuch w Czernobylu w 1986 roku, choć bardzo groźny, może w każdej chwili się powtórzyć. Na posowieckim terytorium funkcjonuje 58 elektrowni atomowych, z tego 16 posiada reaktor podobny do tego, jaki uległ awarii w Czernobylu, i ten,

który w 1992 roku zapalił się, choć nie wybuchł, w Sosnowym Borze pod Sankt Petersburgiem. Ponadto betonowy sarkofag, w którym kotłują się radioaktywne resztki reaktora nr 4 w Czernobylu, swoisty pomnik apokaliptycznego strachu naszego czasu, może w każdej chwili dać znać o sobie. Uczeni obliczyli jego trwałość na 20 lat, jednak fachowcy twierdzą, że wytrzyma tylko 7—10 lat. Akurat minął siódmy rok po katastrofie.

## U bram piekieł Manipulacja genetyczna

**XIX**-wieczny pozytywizm rozwinął pogląd, jakoby nauka nie była krępowana żadnymi ograniczeniami, a w imię wolności badań można było odrzucić wszelkie moralne zasady. Czy taki pogląd można dzisiaj bezkrytycznie przyjmować? Z pewnością takim obiektem badań oraz eksperymentów nie może być sam człowiek. W procesie norymberskim skazano hitlerowskich lekarzy uważając ich eksperymenty na więźniach za zbrodnicze. Czy współczesne eksperymentowanie na ludzkich embrionach nie otrzyma w przyszłości podobnej kwalifikacji prawnej i moralnej?

Naukowcy nie zawsze o tym pamiętają. Interesuje ich wynik. Człowiek nierzadko jest dla nich rzeczą, przedmiotem, co najwyżej królikiem doświadczalnym. Cel według nich uświęca środki.

Zaczęło się dość niewinnie i humanitarnie. W 1978 roku państwu Brown w Oldham w Wielkiej Brytanii urodziła się córeczka Luiza, której poczęcie nastąpiło *in vitro*, w probówce, czyli poza organizmem matki. Trzeba jednak podkreślić, że dziecko zostało poczęte z komórek rodziców, żyło przez cztery dni w „probówce”, a następnie wszczepiono je do ciała matki. Tak więc jedynie poczęcie i krótki okres po nim wyglądały nieco inaczej, dalej jed-

nakże dziecko rozwijało się w normalnych warunkach tj. w łonie matki. Była to pierwsza próba utrzymania tak wywołanej ciąży. Obecnie w wielu państwach zachodnich istnieją tzw. „banki plemników”, a na świecie żyje już wiele tysięcy dzieci (głównie w USA), które przyszły na świat w podobny sposób.

Jednak ciążę „z próbówki” nie jest tak łatwo wywołać.

Jeden z najwybitniejszych współczesnych genetyków prof. Jerome Lejeune, członek Papieskiej Akademii Nauk, odkrywca przyczyny wywołującej mongolizm (zespół Downa), należy do zdecydowanych przeciwników zarówno zapłodnień *in vitro*, jak i sztucznej inseminacji ludzi. Przypomnijmy jak przebiega taki proces zapładniania, aby lepiej zrozumieć postawę prof. Lejeune.

Po pobraniu komórek rozrodczych — co nie jest operacją prostą i bezpieczną dla tych komórek — i po doprowadzeniu do zapłodnienia komórki jajowej przez plemnik, dokonuje się skomplikowanej operacji podziału zaistniałego embrionu na dwie połówki. Jedna połówka zostaje zamrożona, a drugiej pozwala się wzrastać tylko po to, by móc dokonać szczegółowego badania jej rozwoju. Jeśli ten, poświęcony dla nauki „bliźniak” — bez wątpienia nowa istota ludzka — rośnie prawidłowo, wtedy druga, zamrożona połówka embrionu zostaje zatwierdzona do implantacji, czyli do wszczęcia w śluzówkę macicy matki, a jeśli nie rośnie prawidłowo, to tę „drugą połówkę” wyrzuca się jako bezużyteczną. W takiej sytuacji giną oba embriony. Prof. Lejeune określa skuteczność tej techniki na kilka zaledwie procent; w każdym przypadku 20—40 procent embrionów nie przeżywa eksperymentu. Te istoty ludzkie giną podczas operacji dzielenia ich na połowy, podczas prowadzenia embrionalnych kultur, zamrażania i rozmrażania oraz po implantacji.

Prof. Lejeune nie wyklucza możliwości uszkodzenia komórek rozrodczych podczas ich pobierania i przechowy-

wania; przestrzega przed ujawnieniem się pewnych anomalii genetycznych w późniejszym okresie rozwoju prenatalnego i pourodzeniowego.

Trudno wyobrazić sobie, ile istot ludzkich zginie, zanim uda się doprowadzić jedną z nich do urodzenia się. Rodzi się też pytanie: Czy jest to właściwa i godna akceptacji cena za zaspokojenie pragnień rodzicielskich? A jaki los czeka to rozwijające się w łonie matki dziecko, jeśli w jego rozwoju „mądrzy” uczeni dopatrzą się jakiejś nieprawidłowości? Zdaniem zainteresowanych, zawsze można skorzystać z prawnego „bezpiecznika”, jakim jest legalność przerwania „takiej ciąży”. Działa więc ten sam mechanizm, jak przy korzystaniu ze środków antykoncepcyjnych: kiedy środek zawiedzie i kobieta zrozpaczona odmiennością swego stanu czuje się oszukana, wtedy też proponuje się jej nie zabicie nienarodzonego dziecka, ale przerwanie ciąży.

Ale to nie koniec problemu. Technika zapładniania *in vitro* stwarza wiele dodatkowych problemów moralnych, chociażby sprawa banków spermy. Przypomnijmy, że pierwsze tego typu przechowalnie założono we Francji w 1973 roku. Metoda przechowywania jest dość prosta. Wystarczy pojemnik z ciekłym azotem, aby można było uzyskać temperaturę  $-170^{\circ}\text{C}$ . Dzięki metodzie sztucznego zapłodnienia uszczęśliwiono wiele małżeństw. Nie obyło się jednak bez koszmarnych praktyk. Na przykład w 1979 roku biznesman kalifornijski Robert Graham założył bank spermy noblistów. Proponuje on swoim klientom (oczywiście za sowitym wynagrodzeniem) „materiał” pobrany od laureatów nagrody Nobla. Jego nowym pomysłem jest magazyn nasienia mistrzów sportu. Możliwość wieloletniego konserwowania spermy spowodowała również przypadki dobrowolnej sterylizacji mężczyzn. Poddają się oni operacji chirurgicznej, w wyniku której stają się całkowicie bezpłodni; mogą zatem „bezpiecznie”, i bez

obawy komplikacji w postaci dziecka, prowadzić życie seksualne. Gdy zaś zapragną potomstwa, odbierają „depozyt” z banku spermy i prowadzą żonę do lekarza.

Zapłodnienie *in vitro* stwarza oczywiście wiele nowych problemów prawnych, prowadzi też do dalszych eksperymentów. Znamy dzisiaj bardziej „efektywne” osiągnięcia medycyny w tej dziedzinie. W 1984 roku w szpitalu w Melbourne prof. Carl Wood dokonał przeniesienia mikrosondą komórek jajowych z organizmu matki do probówki. Siedem z nich zapłodniono oraz inkubowano do chwili, gdy osiągnęły stadium ośmiokomórkowe, a następnie zamrożono na dwa miesiące. W tym czasie przygotowano farmakologicznie organizm matki do ciąży. Następnie spośród siedmiu zarodków, wybrano trzy rokujące najlepsze nadzieje, pozostałe cztery zniszczono. Z trzech zarodków tylko jeden rozwinął się w organizmie matki. Dziewczynka, Zoe Leyland, przyszła na świat w normalnym czasie, choć przy pomocy cesarskiego cięcia.

Z innych udanych eksperymentów można przypomnieć, że od 1986 roku żyje na świecie gromadka dzieci o zaprogramowanej przez uczonych płci.

Mówi się o „magazynowaniu części zamiennych”, czyli organów ludzkich pochodzących od dzieci z probówek. Zwłaszcza chodzi o przeszczepy rogówki, nerki, szpiku, trzustki, a nawet tkanki mózgowej.

Eksperymenty z ludzkim zarodkiem prowadzą nieraz do patologicznej wręcz obsesji stworzenia „nadczołowieka”. Tylko taki wniosek można wyciągnąć z eksperymentu, w którym zgodzono się zapłodnić szympansię nasieniem człowieka. Pomijam też sprawę moralną, pogardę dla ludzkiej osoby.

Potępieno wykorzystywanie płodów ludzkich w przeмысле kosmetycznym, ale rozwija się inna gałąź: nie narodzone dzieci spożytkowuje się do badań nad chorobami. Po tej między innymi linii szły badania naukowców wojs-

kowych w USA, którzy na płodach testowali nowe bronie bakteriologiczne. Dostawcą „materiału” do tych doświadczeń była Korea Południowa. Według informacji prasy japońskiej, Korea Południowa przez sześć lat wysyłała ponad 4 tys. płodów rocznie do laboratorium w stanie Maryland w USA. Cena — 25 dolarów za sztukę.

Pewien angielski profesor z Cambridge wyspecjalizował się w doświadczeniach na płodach liczących od 18 do 22 tygodni. Pochodzą one z jednej z klinik londyńskich. Zarówno sam naukowiec, jak i kierownictwo kliniki, nie widzą w tym żadnego problemu: „Płód liczący poniżej 28 tygodni uchodzi za zwyczajną tkankę” — oświadczył dyrektor szpitala.

W wielu klinikach świata wyspecjalizowane ekipy pobierają z płodów m.in. trzustkę, by zyskać nowe możliwości zwalczania chorób, konkretnie cukrzycy. Jedyne warunki: płód musi być nietknięty, co udaje się tylko wówczas, gdy kobieta podda się cesarskiemu cięciu. Niektórzy genetycy bez skrupułów uważają, że to etyka powinna dostosować się do nauki. Stąd powstały szalone projekty, aby na przykład stworzyć bank ludzkich embrionów mający być z założenia bankiem organów ludzkich. Chodzi o transplantację różnych narządów. Wiadomo, że metoda ta jest najbardziej skuteczna, jeśli dawcą jest członek najbliższej rodziny. W tym przypadku będzie to własny zamrożony embrion — źródło części zamiennych. W przypadku koniecznego przeszczepu serca, nerki czy rogówki, odpowiedni embrion przenosi się do inkubatora, gdzie po odpowiednim okresie rozwoju pobiera się dany organ, resztę wyrzuca się do kubła na śmieci.

Jeszcze inną koncepcję wykorzystania płodów tzw. enencefalnych, to znaczy „bezmózgowych”, zaproponował prof. Fritz Beller z Münster. Naukowiec ten uważa, że powinno się płody niezdolne do życia z powodu wady rozwoju polegającej na braku tkanki mózgowej, doprowa-



dzieć do naturalnego urodzenia i zaraz potem oddać do dyspozycji lekarzy na „części zamienne”.

Jeśli można stopniować „pomysły” genetyków i embriologów, to ostatnie propozycje nie są jeszcze tak odrażające. Inżynierii genetycznej marzy się co innego: nowa, wspaniała populacja ludzi otrzymana w wyniku tzw. klonowania, czyli uzyskiwania osobników identycznych pod względem genetycznym. Jest to metoda znana w biologii i zoologii. Chodzi o taką manipulację genetyczną, aby otrzymywać osobniki o pożądanym cechach, na przykład wojowników bez inteligencji, dobrych obywateli itp.

Współcześni potomkowie Fausta próbują na przykład skonstruować sztuczne łożysko. W płataninie przewodów i mechanizmów umieszcza się płody liczące od 18 do 24 tygodni, wydobyte z łona kobiet ciężarnych za pomocą cesarskiego cięcia. Niektóre wyrastały w aparaturze do 30 centymetrów. Jak stwierdził prof. Giorgio Data z Instytutu Fizjologii Człowieka na uniwersytecie w Chieti (Włochy), „musiałem sam zatrzymywać ten rozwój, w przeciwnym razie płody osiągnęłyby stadium porodowe”.

Na pytanie, jaki pożytek przynosi ten wynalazek, prof. Data odpowiada: „Mogę wpłynąć na rozwój płodu w taki sposób, że według życzenia, wyrośnie z niego geniusz lub atleta!”.

Inny z genetyków prof. Brunello Chiarelli z Florydy, wypowiedział się, że już niedługo zaistnieje możliwość „wyprodukowania” w laboratorium skrzyżowania człowieka z szympansem, nowej istoty, której przeznaczeniem byłyby ciężkie prace, ewentualnie także byłaby „żywym magazynem” części zamiennych dla człowieka.

Profesor potwierdził, że podobne eksperymenty prowadzi się w tajemnicy w wielu laboratoriach świata. „Wyhodowanie” takiej hybrydy jest technicznie możliwe.

Prof. Beller przyznał, że w tym celu od 1980 roku pracuje nad nową definicją śmierci ludzkiej. W myśl tej

definicji dzieci bezmózgowe, podobnie jak ofiary wypadków drogowych, miałyby się znaleźć poza zasięgiem definicji życia. Wyjaśniając dalej swoją koncepcję teoretyczną, prof. Beller uważa, że za próg śmierci należy uznać moment trwałego i nieodwracalnego zniszczenia kory mózgowej. Płód enencefalny jest swego rodzaju wybrykiem natury i stąd nie może być uznany za płód ludzki; jeśli prawdą jest, że jego śmierć nie jest śmiercią ludzką, to znaczy, że nigdy nie był człowiekiem. Z człowieczeństwem ma taki płód jedną tylko cechę wspólną — konkludował Beller — jest nią akcja serca.

Warto dodać, że tylko w RFN notuje się 500 urodzin podobnych dzieci rocznie. W przypadku przyjęcia propozycji prof. Bellera, kobieta byłaby jedynie „żywym inkubatorem”. Już na marginesie dopiszmy, że Beller nie jest jedynym eksperymentatorem wykorzystującym komórki płodowe kobiet do celów transplantacyjnych. Podobnej operacji dokonano w Moskwie. Przybył tam amerykański lekarz Robert Gale, by „ratować” pracowników reaktora atomowego w Czernobylu. Wiadomo było, że sześć śmiertelnie napromieniowanych osób nie było już do uratowania, ale ze względów eksperymentalnych dr Gale przeszczepił im komórki wątroby, wzięte właśnie z płodów. Okazja była kusząca — po raz pierwszy bowiem badacze dysponowali tak silnie napromieniowanym „materiałem ludzkim”. W USA eksperyment Gale’a obwołano jako niebywały sukces i nadano mu niesłychany rozgłos. Rozgłosowi temu uległy niektóre powszechnie znane osobistości, jak na przykład bokerski mistrz świata Mohammed Ali, który poddał się natychmiast transplantacji tkanek pobranych z embrionów, w nadziei na wyleczenie z choroby Parkinsona.

Czy dla naukowca zasady moralne stanowią przeszkodę w prowadzeniu badań? Nie ulega wątpliwości, że czas rozwoju zarodka w probówce będzie się wydłużał daleko

poza stadium ośmiokomórkowe. Po osiągnięciu etapu wielokomórkowego, zarodki mają zdolność do samoregulacji, naprawy uszkodzeń genetycznych. Będzie więc można pobierać kilka komórek i na ich podstawie ocenić wartość genetyczną zarodka. Oznacza to, że będzie można także poddać kontroli prawo zarodków do narodzin, określając je jako prawidłowe lub nieprawidłowe. Już dziś możemy przerywać i pobudzać życie płodu. Przedłużenie życia zarodków w probówce pozwoli na dalsze eksperymenty.

Kto będzie decydował o narodzinach dziecka? Przypomnijmy, że w przypadku Zoe Leyland, prof. Wood dokonując selekcji zapłodnionych komórek, zniszczył czterech potencjalnych braci czy siostry Zoe. W przyszłości może dojść do tego, że płód nie będzie dopuszczony do narodzin, jeśli nie przejdzie z pozytywnym wynikiem określonych badań.

Naukowcy powinni myśleć o zagrożeniach, jakie mogą wyniknąć w przyszłości z ich badań. Czy tak jest w rzeczywistości? Bywa różnie. Przypomnijmy, że w naszym stuleciu dwaj uczeni Watson i Crick rozszyfrowali budowę dna (kwas dezoksyrybonukleinowy zawierający materiał genetyczny komórek). Watson wystosował orędzie do parlamentu, aby zaprzestać dalszych badań, bo są one przeciwko ludzkości. Wyraził się nawet, że otworzymy sobie nimi bramy piekieł. Natomiast Crick, dzielący z nim nagrodę Nobla, uważał, iż byłoby nieetycznie zaprzestać dalszych poszukiwań w tej dziedzinie. Komuś, kto poświęci życie nauce, trudno się zatrzymać. Eksperymenty są wielką „przygodą”.

Podobnie było z prof. Edwardsem, „ojcem” Luizy Brown, pierwszego dziecka z probówki. Kiedy demonstrował na Kongresie Embriologicznym w Moskwie pobieranie jaja przez powłoki brzuszne, wyniknęła dość ostra dyskusja. Ktoś zapytał go, czy badania, które prowadzi,

są moralne. Odpowiedział pytaniem: „Czy zaniechałby ich pan będąc na moim miejscu?”. I dyskusja się skończyła. Wtedy Edwards był młodym, ambitnym lekarzem. Teraz ma w Londynie ogromną klinikę. Można dopisać, że dalsze projekty tego doprawdy genialnego uczonego budzą przerażenie. Oto czytamy, że prof. Edwards zaproponował, aby każde probówkowe dziecko miało swój „duplikat” w postaci rezerwowego brata (lub siostry, gdy chodzi o dziewczynkę). Można byłoby wówczas używać „duplikatu” jako „magazynu części zamiennych” w przypadku choroby któregoś z organów. Technika robienia bliźniaków jest bajecznie łatwa. Po prostu przecina się embriion mikroskalpelem na dwie części. Imituje się w ten sposób naturę, gdyż, jak wiadomo, prawdziwe czyli jednodniowe bliźnięta rodzą się w przypadku samoistnego podziału zapłodnionego jajeczka. Profesor Edwards wymyślił więc hodowlę ludzi na części zamienne!

Jak daleko można iść w biologii? Burzliwy rozwój inżynierii genetycznej spowodował powstanie problemów, których nigdy dotąd nie musiała ludzkość rozwiązywać.

Czy żywy organizm podlega opatentowaniu? Czy można upierać się przy zmuszaniu do życia kogoś, kto tego nie chce? Czy ma się prawo wszczepić serce pawiana małej dziewczynce? Czy można być starszym od swego starszego brata? Czy można mieć wielu ojców? Kto będzie „właścicielem” zamrożonego embriona, którego rodzice nie żyją? Czy dwie kobiety mogą mieć wspólną córkę? Czy syn może być bliźniakiem swego ojca? Na wszystkie te pytania da się dziś odpowiedzieć „tak”, ale owo „tak” przyprawia o zawrót głowy.

Ogarnia przerażenie przed nową dyscypliną naukową, o dość płynnych zresztą granicach, bioetyką, która posługuje się dziwnymi teoriami, jak na przykład koncepcją, że każdy z elementów składających się na ciało człowieka

(komórki jajowe, geny, nasienie, przeszczepy organów itp.), stanowił przedmiot, wymagający odrębnego podejścia. Czy tym, co definiuje dziś człowieka, ma być układ genów? Co należy zaakceptować, a co odrzucić z tej absolutnej rewolucji, która daje tyle możliwości prokreacji? Czy pewnego dnia zaakceptowane zostanie jako zwykła rzecz wszczepienie embrionom określonego rodzaju genów? Czy selekcionować się będzie cechy wielu istot ludzkich, aby wyprodukować dziecko? Dzięki neurobiologii można modyfikować osobowość. Da się przewidywać możliwości fizyczne i umysłowe jednostki... Czy po to, aby uzdrawiać, czy też po to, aby przekształcać? Aby kontrolować czy utrzymywać bez zmian? Nadzieje wprost oszałamiające, lecz obawy ogromne.

Kiedy zaczęto zamrażać nasienie mężczyzny, komórki jajowe czy embriony, chodziło początkowo jedynie o zaradzenie pewnym rodzajom bezpłodności. Nie brano pod uwagę jak silnie ugodzi to w umysły, jaki spowoduje skok w obyczajowości. Nie tylko bowiem wyrwanych zostało z korzeniami kilka odwiecznych pojęć moralnych i prawnych (przez oddzielenie od siebie sprawy płci i sprawy prokreacji, przez postawienie nie znanych dotychczas problemów w kwestii pochodzenia i sukcesji), lecz także — rzecz niesłychana odkąd istnieje ród ludzki — wyłączo-  
no życie spod działania czasu, pogmatwano bieg danego przez niebo zegara, akceptując możliwość narodzenia się syna w wiele lat po śmierci ojca. Tak właśnie jak to się stało w słynnej sprawie Parapalaix, w której sąd przyznał Corinne — żonie Loisa zmarłego na raka, prawo do sztucznego zapłodnienia zamrożonym nasieniem męża i ewentualnego urodzenia dziecka, będącego genetycznie owocem małżeństwa.

Jacquest Testar — biolog i wspólnie z prof. René Frydmanem „ojciec” (intelektualny) pierwszego francuskiego dziecka z próbki — Amandiny urodzonej w lutym

1983 roku — pisze w swej książce, że celem operacji zwanej *Fivete* (zapłodnienie *in vitro* i przeszczepienie embriona) jest wprawdzie umożliwieniem bezpłodnej parze doczekania się własnego dziecka, ale proceder ten stwarza ryzyko, że będzie wykorzystywany bez uzasadnień medycznych. „Pewien obojniak zwracał się już do nas z prośbą, że chciałby urodzić dziecko” — pisze Jacques Testar i dodaje: „*Kruchości tego, co nazywamy etyką, dowodzi fakt, że zmuszona jest ona stale do godzenia się z działaniami, które ją modyfikują, a więc skażają. Jeśli chodzi o świadome wpływanie na pleć dziecka, to początkowo interweniować się będzie w wypadku zachodzącego ryzyka dziedzicznej choroby związanej z tą płcią. (...) Później powstanie sprawa posłużenia się tą metodą dla motywów nie mających uzasadnienia medycznego. Rozpocznie się wielka dyskusja, w której padać będzie wiele pięknych słów. (...) Z jednej strony — swoboda wyboru, z drugiej — poszanowanie praw natury... Tak samo będzie ze sprawą manipulacji genetycznych: jak tu nie uzupełnić braku, który sprawi, że dziecko będzie nieszczęśliwym? Później powstanie problem „chorób” uzasadniających uciekanie się do inżynierii genetycznej, a ich lista będzie się wydłużać w miarę jak technika stawać się będzie coraz skuteczniejsza, i w miarę jak przyzwyczajając się będziemy do traktowania tej techniki jako nowego środka leczniczego...”.*

— Dlatego właśnie należy zachować umiar. W toku tej dyskusji, która bulwersuje cały świat, trzeba ująć w porządek prawny, bądź też w niektórych przypadkach być może wykluczyć z tego porządku problemy, dla których przysięga Hipokratesa nie ma już sensu i których konsekwencje nie są jeszcze znane.

— Pojawia się pokusa selekcji eugenicznej (hodowli i ulepszenia rasy ludzkiej). Ulepszanie, którego dokonano już na myszach, pewnego dnia można będzie zastosować do innych ssaków... jak na przykład człowieka. Ale już dziś

można sobie zadawać na przykład takie pytanie: czy nosicielowi anomalii genetycznej wolno mieć dzieci? Tak — nie — niepotrzebne skreślić... Wybór nie jest prosty. Chiny nie wahają się, łącząc eugenikę z planowaniem rodziny. Dzięki przedmałżeńskiej kontroli lekarskiej można obecnie ujawniać te zagrożenia, ale w ten sposób tajemnica życia prywatnego zostaje naruszona.

Jak zauważa Jean Dausset z Akademii Nauk, na podstawie zwykłej biopsji łożyska w siódmym tygodniu ciąży można przewidzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, czy dziecko będzie miało mongolizm, cukrzycę itp. W 1983 roku w jednym ze szpitali paryskich wykonano na płodzie prenatalną diagnozę hemofilii. Powstaje więc ryzyko, że tego rodzaju „śledztwo” stanie się obowiązkowe, co służyłoby interesom zbiorowości, ale gdzie wówczas byłaby wolność? Czy będzie się zakładać kartoteki? Kto będzie miał do nich dostęp? Założmy, że jutro można będzie ingerować w strukturę genetyczną, aby eliminować skłonność do agresji. Snując rozważania na ten temat, Catherine Labrusse zapytuje: „Co zrobiono by dziś z owym dzieckiem noszącym nazwisko Beethoven, urodzonym z matki syfilityczki i ojca alkoholika, jako trzecie po bracie z mongolizmem oraz siostrze ślepej, głuchej i niedorozwiniętej umysłowo?”

Gdzież więc jest dobro, a gdzie zło? Kto orzeknie, gdzie zaczyna się moralność, gdzie kończy prawo, gdzie są bariery, kiedy mamy do czynienia z uniemożliwianiem postępu? Naukowcy, socjolodzy, parlamentarzyści, prawnicy — każdy skazany jest na zachowanie umiaru, gdy dokonuje inwentaryzacji dobrodziejstw, niebezpieczeństw, możliwości nadużyć. Komu wierzyć? Jak dokonać wyboru? Brak nam doświadczenia, dystansu i czasu niezbędnego do oceny każdej prawdy, w każdej dziedzinie. Jesteśmy już za daleko, aby się wycofać, tak blisko katastrofy życia i wszystkich istniejących pojęć.

króla i białe księgi przepowiedni i psalmów. Najbardziej  
ważnym to tak zwane przepowiednie Sybilliducka, nawiązuje  
do biblijnej historii krakowskiej Saby.

Królowa ta, według Trzaski Księgi Królewskiej (10, 2)  
zraz Księgi Krówik (później 8) używawczy o madrości  
Salomonowej, do tego, aby się przekonali, aby to  
jest proroctwo, które ma mieć podobieństwo proroctwa  
oraz o tym, że Salomon, który by się  
został, że Salomon, który by się



## RZEPowiednie DLA POLSKI I ŚwiATA

proroctwa, które ma mieć podobieństwo proroctwa  
oraz o tym, że Salomon, który by się

został, że Salomon, który by się  
został, że Salomon, który by się

został, że Salomon, który by się  
został, że Salomon, który by się

został, że Salomon, który by się  
został, że Salomon, który by się

został, że Salomon, który by się  
został, że Salomon, który by się

został, że Salomon, który by się  
został, że Salomon, który by się

został, że Salomon, który by się  
został, że Salomon, który by się



*„Wszystkie wróżby  
przyszłości, wszyst-  
kie przepowiednie*

*Są szczerze balamuct-  
wa, są wierutne bred-  
nie.*

*Znajdą się prawda  
wielkie przykłady  
w tej mierze,*

*Ale jak ten tak i ów  
bajarz równie stary,  
Dobrze pisał na swój  
wiek, w naszym nie  
ma wiary.”*



ak pisał Franciszek Zabłocki w „Zabobonniku”. Trudno nie przyznać mu racji. Czyż bowiem ludziom używającym rozumu przystoi wiara w przepowiednie?

Pisząc popularną książkę o końcu czasów, nie sposób pominąć legend, mitów i przepowiedni, które wywarły wpływ na świadomość i pojmowanie tzw. rzeczy ostatecznych. Nie będę jednak wglębiał się i szczegółowo analizował wszystkich przepowiedni. Przywołam tylko te najważniejsze. Faktem jest jednak, że w każdym czasie i każdym

kraju istniały księgi przepowiedni i prorocत्व. Najsłynniejsze z nich to tak zwane przepowiednie Sybillińskie, nawiązujące do biblijnej postaci królowej Saby.

Królowa ta, według Trzeciej Księgi Królewskiej (10, 2) oraz Księgi Kronik (rozdział 9), usłyszawszy o mądrości Salomona przybyła do niego, aby się przekonać, czy to jest prawdą. Zadawała mu różne podchwytliwe pytania oraz zagadki, i, o dziwo, nie było takiej, której by nie rozwiązał. A gdy królowa obejrzała jego pałac, potrawy na stole, stanowiska dostojników i sprawność organizacji, nie mogła wyjść z zachwyty i ofiarowała królowi bogate prezenty, po czym sama otrzymała wszystko, czego pragnęła i co sobie wyprosiła.

Późniejsze legendy rabiniczne i aramejskie dają jej imię Bilkis albo Balkis, mówią też o jej stosunkach miłosnych z Salomonem, z których narodzić się miał syn Makeda, Melech albo Dawid, który jako Menelik I miał się stać założycielem dynastii panującej w Etiopii do 1947 roku. Najważniejsze jednak, że królowa ta miała pozostawić księgi przepowiedni aktualne do dzisiaj. Wiadomo na przykład, że „*Księgi Sybillińskie*” przechowywano w Rzymie w świątyni Jowisza na Kapitolu, pod strażą specjalnego kolegium, i radzono się ich tylko na polecenie Senatu w szczególnie trudnych chwilach. Księgi spłonęły w czasie pożaru Kapitolu w 84 roku przed naszą erą. Zebrane na nowo z różnych źródeł, zostały umieszczone w 76 roku przed naszą erą w świątyni Apollina. Spalone zostały w 405 roku po Chrystusie na polecenie Stylichona. Przez jakiś czas w jaskiniach apenińskich ukrywali się kapłani z dawnej świątyni Apollina, którzy utworzyli tajny związek „sybillistów”. Zdołali odtworzyć jakąś część tych przepowiedni, wzbogacając je o chrześcijańską apokaliptykę, dopasowując również do mentalności ludzi wczesnego średniowiecza. Tutaj można poszukiwać źródeł współczesnych wersji „*Prorocत्व Sybilli, królowej Saby*”.

Warto dodać, że anonimowi autorzy, najpierw żydowscy, a potem chrześcijańscy, puszczały w obieg pod imieniem Sybilli utwory służące pochwalę monoteizmu, piętnujące Rzym i państwo. Znane było piętnaście takich ksiąg (*Oracula Sybillina*), czyli Wyroczni Sybillińskich, z których dochowało się tylko dwanaście. Mówi się w nich o Rzymie bez osłonek: pochłonie go ogień, zniknie z powierzchni ziemi, a wilki i lisy będą nawiedzać jego ruiny. „Jakież to bożek cię ocali, coż poradzą uchwały twego Senatu? Gdzież podziła się sława twoich legionów? Gdzie jest kraj, co zawarłby jeszcze z tobą przymierze?” Rzym zostaje napiętnowany jako potęga ciemności i podpora bałwochwalstwa. Do tych inwektyw dodane są tragiczne proroctwa o kresie czasów i klęskach, jakie rozpętają się nad światem, aby pochłonąć grzeszników (por. *Marcel Simon, Cywilizacja wczesnego chrześcijaństwa*).

Przepowiednie i wyrocznie istniały zawsze. Wspomniane „*Proroctwa królowej Saby*” mają swój odpowiednik w każdym kraju. Na przykład w Anglii królowa Saba znana jest pod imieniem Matki Shipton. Jej przepowiednie dotyczą wielkich odkryć geograficznych i technicznych. Jak wykazały badania, liczne elementy tych „proroctw” zostały dopisane w 200 i więcej lat po jej śmierci, a więc wtedy, kiedy już znano „zapowiadane” wydarzenia. Dopisy te czyniono nie zawsze w szlachetnych intencjach. Wszak „*pecunia non olet*”, skoro więc czytelnicy życzą sobie sensacji, proszę bardzo...

Przepowiadanie przyszłości a także poszukiwanie sensacji, jest czymś zrozumiałym w świecie ludzkim. Dawniej nieszczęścia i wojny łączono z pewnymi znakami astrologicznymi, na przykład pojawieniem się komety. Dzisiaj masowo powstają opowieści o UFO, czy o istnieniu Trójkąta Bermudzkiego, tak jak kiedyś tworzono legendy o istnieniu syren czy skrząców. Wyobraźnia ludzka nie zna

granic. Przyroda również. Stąd refleksja nad jej tajemnicami może być bardzo intrygująca, nie zawsze też zgodna z logiką i nauką.

Nierzadko przepowiednie sprawdzają się. Swego rodzaju fenomenalną przepowiednią stała się zapowiedź przyścia słowiańskiego papieża, wyrażona przez Juliusza Słowackiego. Wiersz na ten temat mówi wyraźnie o cudownej mocy człowieka ze „Wschodu” na papieskim tronie, który nie będzie tak płochliwy jak Włosi. *„On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze / świat mu — to proch”*.

Przepowiednię Słowackiego spotykamy również w pismach sługi Bożego Bronisława Markiewicza (1842—1912), założyciela zgromadzenia michaelitów, który mówiąc o polskim papieżu nazywa go wielkim znakiem dla całego świata.

A później, po 50 latach, na ten temat mieliśmy jeszcze jedną, osobistą przepowiednię ojca Pio, dotyczącą młodego księdza Wojtyły, goszczącego w San Giovanni Rotondo w 1947 roku. *„Zostaniesz papieżem. Widzę krew na twoich rękach...”*. Nigdy Jan Paweł II nie zdementował tej przepowiedni. Że mogła zostać wypowiedziana, świadczą tyle innych cudownych zdarzeń z życia ojca Pio.

Niegdyś jasnowiedztwo było uprawiane zawodowo. Zajmowali się tym astrologowie. Wrózenie z gwiazd było przez wieki ważnym zajęciem. W XV i XVI wieku każdy szanujący się człowiek, przed podjęciem ważnej decyzji, zasięgał porady astrologa. Prawie każdy ówczesny lekarz umiał wróżyć z gwiazd i przed przystąpieniem do leczenia układał horoskop chorego. Jeżeli wynikająca z niego przepowiednia nie była pomyślna, to w ogóle nie zabierał się do leczenia. Zdarzały się więc przypadki, że chory wbrew „wyrokowi gwiazd” i bez pomocy lekarza przychodził do zdrowia. Nic zatem dziwnego, że wielu wybitnych astronomów zajmowało się wtedy praktykami astrologicznymi. Większość robiła to nie tyle z przekonania do sztuki

wróżenia z gwiazd, ile raczej dla celów zarobkowych. Finansowo nigdy nie stali oni dobrze i stąd zapewne zainteresowanie astrologią nawet przez uczonych z prawdziwego zdarzenia. Mało bowiem który monarcha skłonny był ofiarować fundusze na naukowe badania nieba, nie widząc w tym żadnego pożytku dla siebie i swych poddanych. Inna sprawa, gdy szło o postawienie lub opracowanie horoskopu.

Do nielicznych astronomów tego okresu, nie przejawiających zainteresowania sztuką wróżenia z gwiazd, należał nasz Kopernik. Jako kanonik fromborski miał zapewne odpowiednie dochody, toteż cały wolny czas i wszystkie swe siły poświęcał nauce o niebie. W zupełnie innej sytuacji był Jan Kepler, którego warunki finansowe zmuszały do układania horoskopów i opracowywania prognoz astrologicznych, choć w wynikające z nich przepowiednie nie bardzo wierzył. W każdym razie w jednym ze swych dzieł wielki uczyony niemiecki pisze: „...astrologia jest głupią córką astronomii. Ale mój Boże, czy matka byłaby taka mądra, gdyby tej głupiej córki nie było?” Nieco zaś dalej dodaje: „...musiałaby umrzeć z głodu, gdyby nie jej pomoc”.

Wydawałoby się, że po Koperniku i Newtonie nie można bezkarnie rozwijać teorii poznania świata. Bywa inaczej. Choć skończyły się bezkrytyczne komentarze do przepowiedni królowej Saby, a do lamusa głupoty przeszły rejestry złowionych syren czy skrzatów, powstają nowe zwariowane historie dowodzące istnienia latających spodków czy kontaktów z UFO. Rozwija się nadal astrologia. Co za paradoks: tak wspinały rozwój nauk przyrodniczych nie tylko nie wypenił zabobonów i przesądów, nie doprowadził do upadku tak zwanej pseudonauki, ale przeciwnie, wpłynął na jej rozwój.

Co warte są wszystkie wróżby i przepowiednie? Wiele z nich zostało z różnych powodów, głównie komercyj-

nych, spreparowane, przerobione, zmieszane w tygielku zabobonów, mitów i pseudoreligijnych przesądów.

Są jednak przepowiednie, które zmuszają do zastanowienia, a przede wszystkim są takie, które się spełniają. Do nich należy ów tajemniczy fragment przepowiedni z Tęgoborzy, o tym, „że trzy rzeki świata dadzą trzy korony pomazańcowi z Krakowa”. Tiara na głowie kardynała Karola Wojtyły jest faktem, którego w żaden sposób nie można było przewidzieć. Czy więc należy mówić o szczęśliwym przypadku, czy też o czymś więcej?

Profesor Bartłomiej Groch napisał w 1938 roku: „*Jedni uważają wizje (przyszłości) za twory bystrego rozumu, inni zaś za objaw nadnormalnej świadomości, względnie mistycznego nastroju. (...) Stąd pierwsi sądzą, że wizjoner rozumie przepowiadaną przez siebie przyszłość w szczegółach, drudzy zaś, że w ogólnych tylko zarysach*”.

Spróbujmy prześledzić przepowiednie, które dotyczą końca świata.

## Kiedy nastąpi koniec świata?

**P**ytanie o konkretną datę końca świata jest o tyle nieuzasadnione, ponieważ wcześniej cytowałem z całą powagą biblijne słowa, że o dniu owym i godzinie nie wie nawet Syn, a jedynie Ojciec. Wszystkie więc obliczenia i daty niewiele w tym przypadku są warte.

Już w starożytności mówiono: *Nec Babylonios temptaris numeros*, czyli: nie ufaj babilońskim liczbom i horoskopom. Chaldejczycy byli przecież najsłynniejszymi astrologami, musieli jednak sporo ludzi zawieść, skoro takie przysłowie przytoczył Horacy w „*Pieśniach*”.

Mimo to spotykamy różne obliczenia, które nie bacząc na śmieszność, powołują się na konkretne daty. Mamy więc w żydowskiej legendzie rabinicznej stwierdzenie, że

świat ma trwać 6000 lat, licząc od dnia stworzenia, który przypadał 7X3761 roku przed narodzeniem Chrystusa. Dowodzić tego mają następujące okoliczności: 1. imię Boga (Jahwe) zawiera 6 liter; 2. hebrajska litera m występuje w księdze Rodzaju 6 razy; 3. patriarcha Henoch, który według apokryficznej księgi biblijnej (Księga Henocha) po 365 latach świątobliwego żywota wzięty został do nieba z ciałem, był szóstym pokoleniem od czasów Adama (Set, Enos, Kajman, Malaleel, Jared, Henoch); 4. Bóg stworzył świat w 6 dni; 5. szóstka zawiera trzy pary — pierwszą 2000 lat praw natury, następne 2000 lat prawa pisanego i ostatnie 2000 lat prawa łaski. Podsumowując więc, koniec świata przypadnie za około 245 lat.

Innego rodzaju przepowiednie znajdujemy w „*Złotej legendzie*” Jakuba de Voragine. Mianowicie św. Hieronim odnalazł w hebrajskich rocznikach 15 znaków poprzedzających sąd ostateczny, a pojawiających się w ciągu kolejnych 15 dni. Są to: 1. morze wzniesie się na 15 łokci; 2. morze opadnie; 3. potwory morskie ukażą się i zaryczą; 4. morze się zapali; 5. z roślin wydzieli się krwawa rosa; 6. budynki runą; 7. kamienie rozpękną się i będą tłuc o siebie; 8. wystąpi trzęsienie ziemi; 9. ziemia wyrówna się; 10. ludzie wyjdą z pieczar i będą się błąkać bez słowa; 11. kości powstaną z grobów; 12. spadną gwiazdy; 13. umrze wszystko co żyje; 14. niebo i ziemia zapłoną; 15. stanie się nowa ziemia i nowe niebo, a wszyscy zmartwychwstaną.

W zasadzie odkrycia św. Hieronima nie odbiegają od biblijnych zapowiedzi końca świata, z tą różnicą, że katastrofy mają następować po sobie w ciągu piętnastu dni.

Jeśli już można poważnie potraktować którąś z przepowiedni, na pewno będzie to tak zwane proroctwo św. Malachiasza, zawierające poczet 111 ostatnich papieży.

Co wiemy na pewno na ten temat? Autor był Irlandczykiem, urodził się w 1094 roku w Armagh. Wyświęcony w 1119 roku został opatem cystersów w Bångor. Cztery

lata później został biskupem w Connor, a następnie prymasem Irlandii oraz legatem papieskim. Dał się poznać jako dobry duszpasterz i organizator życia kościelnego. Zmarł w drodze do Rzymu, w opactwie cystersów w Clairvaux. Miał wówczas 54 lata. W 1190 roku papież Klemens III wyniósł go na ołtarze.

Rzecz dziwna, ale do XVI wieku nie było nikomu wiadomo o prorocत्वach św. Malachiasza. Dopiero w tym wieku pojawił się w Wenecji traktat Arnolda Wiona z Padwy zatytułowany „*Drzewo życia, ozdoba i chwala Kościoła, spisana w pięciu księgach, w których zawarto wszelkie zasady zakonu św. Benedykta*”. O dziwo, w jednym z rozdziałów znalazł się tekst pod tytułem „*Proroctwa Malachiasza o najwyższych arcykapłanach*”. Znajduje się w nim lista 111 papieży poczynając od Celestyna II (1143—1144) do ostatniego, po którym nastąpi koniec świata. Każdy z papieży posiada swój kryptogram, który w jakimś stopniu oddaje cechę jego osoby lub pontyfikatu. Na przykład papież Jan XXIII posiada kryptogram *Pastor et nauta* — *Pasterz i żeglarz*. Jako patriarcha Wenecji sporo pływał gondolą, on też rozpoczął pielgrzymowanie papieskie w naszych czasach. *Paweł VI, Flos florum* — Kwiat kwiatów, miał w herbie lilie, czyli królową kwiatów. Jan Paweł I, *De mediate lunae* — z przepełnienia księżycy, został wybrany dzień po połowie księżycy, zmarł również w tej samej porze. Oraz Jan Paweł II, *De labore soli* — z pracy słońca, kryptogram nawiązujący do fizycznej pracy papieża w czasie wojny pod gołym niebem.

Po Janie Pawle II pozostał tylko jeden kryptogram: *Gloria oliivae* — Chwała oliwki. Czy oznacza, że czeka nas ostatni pontyfikat papieża o kolorowej skórze? Z pewnością tak uważał św. Malachiasz, który na zakończenie prorocत्वa napisał: „Podczas ostatecznego prześladowania Świętego Rzymskiego Kościoła zasiądzie Piotr Rzymianin, który paść będzie owoce wśród wielu utrapień, po



przeminięciu których państwo na siedmiu wzgórzach położone, zniszczone zostanie, a straszny Sędzia będzie karał swój lud. Koniec.”

W związku z tym ostatnim proroctwem nasuwają się pewne pytania. Jeśli następcą Jana Pawła II ma być kolorowy kardynał, to nie może on być Rzymianinem. Jeśli natomiast kryptogram: Chwała oliwki — interpretować jako czas spokoju oraz ekumenicznie, jako okres jedności, skąd słowa o ostatecznych prześladowaniach?

Kryptogramy nie są więc zbyt dokładne, można je różnie interpretować, zawsze znajdzie się jakiś punkt odniesienia do nich w życiorysie danego papieża. Zastanawia tylko jedno: ich liczba. Tak się składa, że weszliśmy w przedostatni pontyfikat, jaki przepowiedział św. Malachiasz. Tylko tyle można napisać.

### Zapowiedzi III wojny światowej

**O**statnia dekada drugiego tysiąclecia zapowiada się niewesoło. Różni przepowiadacze przekonują, że nastąpią katastrofy i nieszczęścia na skalę całego globu. Bawarski jasnowidz Alois Ilmayer umierając w 1959 roku powiedział: „Cieszę się, że już umieram i nie będę zmuszony oglądać tych okropności, jakie czekają ludzkość przy końcu świata”.

Czy zagraża światu III wojna światowa? To pytanie jakby straciło na ostrości po rozpadzie Związku Radzieckiego. Jednak lokalne wojny, których przykładem może być Jugosławia, nie pozwalają na spokojny sen. Istnieją pewne przepowienie, które zapowiadają światowy konflikt. Czy należy im wierzyć? To sprawa indywidualna. Przepowiednie nigdy zresztą nie mają charakteru ostatecznego. Ich sens w głównej mierze polega na tym, aby ostrzegać ludzi, zmusić ich do refleksji. W takim kontek-

cie można przywołać przepowiednię Cezarego z Arles (VI wiek po Chrystusie), który zapowiedział całkowitą zagładę Paryża. Miasto spłonie w wielkim ogniu.

Podobnie w tak zwanych tajemnicach z La Salette, świadkowie objawień Melania Calvat i Maksymin Giraud usłyszeli od Madonny słowa o zagładzie Paryża. Melania pisała o tym do króla Ludwika Filipa między innymi: *„Widzisz Sekwanę? Gdybyś wiedział, ilu ludzi przybędzie nad nią i będzie rzucalo się w jej fale. To nie tylko ci, którzy się dziś w nie rzucają. Jeszcze większa ilość przybiegnie, a stanie się to na pewno, by schronić się w jej wodach, uciekając od ognia, który jak gdyby zawieszony jest nad miastem. Będą rzucali się w Sekwanę jak oszaleli, wierząc w swej głupocie, że będą mogli uniknąć nieszczęsnego płomienia. W niektórych dzielnicach ogień jak gdyby zawisnie nad samymi dachami domów, lecz nie zniszczy niektórych, ale z innych nawet kamień ich murów obróci się w proch i popiół”*.

Ten dziewiętnastowieczny opis z całą pewnością dotyczy skutków wybuchu wojny atomowej. Czy jednak jest ona nie do uniknięcia?

Innego rodzaju zapowiedzią wybuchu trzeciej wojny światowej jest przepowiednia sługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza. W książeczce *„Bój bezkrwawy”* zawarł on opis wydarzenia, którego był świadkiem. W roku 1863 młody gimnazjalista Bronisław Markiewicz spotkał w Przemyślu tajemniczego młodzieńca z różańcem w ręku, który zaczął mówić:

*„Pokój wam, słudzy i służebnice Pańscy! Ponieważ Pan was więcej umiłował, aniżeli inne narody, dopuścił na was ten ucisk, abyście oczyścili się z grzechów waszych, stali się wzorem dla innych narodów i ludów, które niebawem odbiorą karę sroższą od waszej w zupełności grzechów swoich. Oto już stoją zbrojne miliony wojsk z bronią w ręku straszliwie morderczą. Wojna będzie powszechna na całej kuli*

ziemskiej i tak krwawa, że naród położony na południu Polski wyginie w niej zupełnie. Groza w niej będzie tak wielka, że wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą następstwa jej: głód i mór na bydło i dwie zarazy na ludzi, które więcej ludzi pochłoną aniżeli wojna sama.

Ujrzenie zgłiszcza, gruzy naokół i tysiące dzieci opuszczonych, wołających chleba. W końcu wojna stanie się wojną religijną. Walczyć będą dwa przeciwne obozy: obóz ludzi wierzących w Boga i obóz ludzi niewierzących w Niego. Nastąpi wreszcie bankructwo powszechne i nędza, jakiej nikt nie widział, do tego stopnia, że wojna sama ustanie z braku środków i sił. Zwycięzcy i zwyciężeni znajdą się w równej niedoli i wtedy niewierni uznają, że Bóg rządzi światem, nawrócą się i pomiędzy nimi będzie wielu Żydów. Wojnę powszechną poprzedzą wynalazki zdumiewające i straszliwe zbrodnie, popełniane na całym świecie. Wy, Polacy, przez ucisk niniejszy oczyszczeni i miłością wspólną silni, nie tylko będziecie się wzajem wspomagali, ale nadto poniesiecie ratunek innym narodom i ludom, nawet wam niegdyś wrogim. I tym sposobem wprowadzicie nie widziane dawno braterstwo ludów. Bóg wyleje na was wielkie łaski i dary, wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych i wielkich mistrzów, którzy zajmą zaszczytne stanowiska na kuli ziemskiej, języka waszego będą się uczyć na uczelniach na całym świecie. Szczególniej przez Polaków Austria podniesie się i stanie federacją ludów. A potem na wzór Austrii ukształtują się inne państwa. Najwyżej zaś Pan Bóg was wyniesie, kiedy dacie światu wielkiego papieża. Ufajcie przeto Panu, bo dobry, miłosierny i nieskończenie sprawiedliwy jest."

Jak dotąd, sprawdziła się przepowiednia o papieżu z Polski. Czy mamy oczekiwać wypełnienia się dalszych zapowiedzianych wydarzeń?

Warto w tym momencie przywołać najslynniejszą bodaj przepowiednię, której autorem był francuski lekarz Mi-

chael de Nostradamus (1503—1566), prowansalski astrolog, urodzony w rodzinie Żydów, którzy przeszli na chrześcijaństwo. Otrzymał staranne wykształcenie uniwersyteckie. Zwalczał dżumę w Aix oraz Lyonie. Po śmierci żony odbył liczne podróże po Europie. Powołany przez Katarzynę Medycejską na dwór królewski, był lekarzem Karola IX. Do historii przeszedł jako autor książki przepowiedni zatytułowanych „*Centuries astrologique*”. Jest to zbiór siedmuset czterowerszy wydanych w 1555 roku. Choć jego przepowiednie zostały potępione przez papieża Piusa VI w 1781 roku, w każdym czasie cieszyły się niezwykle popularnością, tłumaczono je na wiele języków, wydawano wciąż na nowo, niestety, dostosowując często ich treść do bieżących wydarzeń. Trudno dziś dociec, na ile jest prawdą przepowiedzenie Rewolucji Francuskiej, cesarstwa Napoleona, rządów Hitlera, bombardowań lotniczych, czy nawet wojny atomowej, ponieważ te przepowiednie są niejednoznaczne, pozwalają na dość dowolne interpretacje.

Jednego nie można odmówić Nostradamusowi: bujnej wyobraźni. Jeśli chodzi o nasze czasy, to ciekawe szczególnie znaczenie ma rok 1991, w którym nastąpi rozpad „krwawego imperium Antychrysta”. Nic dodać, nic ująć. Lipiec 1991 roku zdecydował o upadku komunizmu w Rosji Sowieckiej i rozbiciu mocarstwa, które w założeniach zwalczało religię chrześcijańską.

Zgodnie z prorocत्वami Nostradamusa, stoimy u progu trzeciej wojny światowej, która rozpocznie się w latach 1993—1999. „*W jednym z krajów Wielkiej Arabii urodzi się «trzeci Antychryst», który sprowadzi na ziemię piekło i zmieni ją w królestwo grozy. Wojna przyjdzie do Europy, a potem obejmie cały świat. Ludzkość stanie przed niebezpieczeństwem całkowitej zagłady. Wojna odbędzie się na lądzie, w wodzie i w powietrzu. Zacznie się ona w Wielkiej Arabii — królestwie Mahometa. Islam rozszerza obszar swoich wpływów. Niebo zagoreje pochyło. Ogień zbliży się*

*do wielkiego, nowego miasta, gdzie znajdują się góry stworzone przez człowieka. To miasto będzie zniszczone płomieniem, uderzeniem gorącego powietrza. Nie zostanie w nim ani jeden mieszkaniec. Wielkie mocarstwo wpadnie w popłoch, jednak wykona odwetowe uderzenie tuż przed wschodem słońca. Rozpali się niewidziana dotąd walka. Wszędzie będzie śmierć, śmierć, śmierć. Ziemia będzie się wzdymała do nieba i opadała z powrotem. Barbarzyńcy zostaną odrzuceni. Wszystkie kraje chrześcijańskie i nawet wszyscy ludzie niewierzący zaczną walkę z tyranem. Prawie cały świat będzie zniszczony. Wtedy ci, którzy żyją pod północnym biegunem i rozdzieleni są cieśniną, zjednoczą się i wschodni władca będzie zwyciężony. Na ziemi zapanuje pokój. Nastąpi złota epoka ogólnego pokoju, która potrwa tysiąc lat”.*

Jest także w tej centurii mowa o zamarnięciu ziemi i powietrza, co dotyczy z pewnością wojny atomowej i związanej z nią tak zwanej zimy nuklearnej, spowodowanej wessaniem w atmosferę milionów ton pyłów, które przesłonią słońce.

Cokolwiek więc nie sądzić, przepowiednia o trzeciej wojnie światowej jest dość konkretna. A co najważniejsze, podany jest dokładny termin jej rozpoczęcia — 1993 i zakończenia 1999 rok. Wielkie miasto z górami stworzonymi przez człowieka — to Nowy Jork ze swoimi drapaczami chmur. Uderzenie gorącego powietrza jest efektem fali uderzeniowej, która spali wszystko w promieniu wielu kilometrów. Trudno o bardziej dokładny opis wybuchu bomby atomowej.

W jednym z listów do syna Nostradamus pisał o czekającej mieszkańców ziemi apokalipsie: „*Przed ogólnym spalaniem świata przyjdą tak duże ulewy i powodzie, że prawie nie będzie obszaru, którego nie pokryje woda*”.

Natomiast do króla Henryka II dodawał w liście: „*A przedtem będzie zaćmienie słońca, najciemniejsze i najczar-*

*niejsze ze wszystkich od początku świata, od cierpienia i śmierci Jezusa Chrystusa i od tego czasu aż po nasze dni. W miesiącu października wydarzy się wielkie zamieszanie, tak gwałtowne, że będzie można sądzić, iż masa ziemi straciła swój naturalny ruch i zapadła się w wieczystej ciemności. Wydarzenie to około wiosny i później będzie poprzedzone przez nadzwyczajne zmiany, przekształcenia państw i wielkie trzęsienia ziemi”.*

## Czy Polska ocaleje?

**Z** omówionych przepowiedni bije czarna przyszłość. Czy nie oznacza to czasem, że inaczej być nie może, że przepowiednie nie mogą być optymistyczne, muszą straszyc? Wielu uważa, że świadomość zagłady, jaką niesie wojna nuklearna, powściągnie bardziej zapalczywych polityków przed sięganiem po środki ostateczne. Jednak ten kruchy optymizm burzy myśl o trwającej wojnie w sercu Europy. Jeśli cywilizowane ludy w byłej Jugosławii prowadzą do zguby swoje kraje, nie można właściwie żywić nadziei, że istnieje jakaś granica opamiętania się. Co więc czeka świat, co czeka Polskę?

☛ To dziwne, ale w wielu przepowiedniach losy Polski przedstawiają się bardziej korzystnie na tle ogólnej, katastroficznej wizji. Ksiądz Czesław Klimuszko, znany jasnowidz zmarły w 1980 roku, napisał przed śmiercią: *„Jeśli chodzi o nasz naród, to mogę nadmienić, że gdybym miał żyć jeszcze 50 lat i miał do wyboru stały pobyt w dowolnym kraju na świecie, wybrałbym bez wahania jedynie Polskę, pomimo jej nieszczęśliwego położenia geograficznego. Nad Polską nie widzę ciężkich chmur, lecz promienne blaski przyszłości”.*

☛ Przepowiednie o losach Polski istniały zawsze. Było ich więcej w czasach trudnych, to zrozumiałe, bo przy-

pominając sens przepowiedni, ks. Marka, chodziło o słowa otuchy, o pokrzepienie serc: „*A ty jak Feniks z popiołów powstaniesz, cnej Europy ozdobą się staniesz*” (Rok 1767).

Pierwszą znaną nam przepowiednią jest proroctwo przeora benedyktynów Eustachiusza z 1449 roku, opublikowane po raz pierwszy w Bremie w 1758 roku. W skrócie brzmiało ono następująco: „*Przepowiadam ci Polsko, że zażyjesz wiele nędzy w przyszłych stuleciach. Zaczyna Polsko, jesteś szlachetna, wielka i wspaniała, atoli ty gardzisz swoimi mądrymi królami, a ponieważ ty nimi gardzisz, przeto pójdiesz w rozsypkę (...) Będziesz wzdychała za pokojem, ale ten nie prędzej się zjawi, aż w siódmej liczbie, a spełni się w czasie siedem razy siedem. Wtedy przyjdzie książę pokoju w całym blasku i pokój panować będzie w twych murach i pałacach. Na koniec będą mieli przez lilię króla, którego długi czas nie chcieli, lecz potem przyjmą go z radością*”.

Przepowiednie Eustachiusza doskonale tłumaczą upadek Polski zapoczątkowany wygaśnięciem dynastii jagiellońskiej. Jest mowa o zaborach i powstaniach, o niewinnie przelanej krwi. Na koniec jednak, według siódmkowych obliczeń, przelomowy miał być rok 1991. Natomiast „król przez lilię”, to chyba nikt inny tylko papież Jan Paweł II.

Powyższą przepowiednię uzupełnia siostra Nimfa Suchońska (1688—1709), zakonnica ze zgromadzenia Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego w Krakowie, która w ekstazy wizji usłyszała od Jezusa, że Polska powstanie do bytu częściowo w XX wieku, zaś w całości i wielkiej ozdobie jakiś czas potem.

Inny typ przepowiedni reprezentuje Stanisław Reszka, opat klasztoru cystersów w Jędrzejowie, żyjący w czasach króla Zygmunta Augusta. Wiadomo o nim, że studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także w Wittemberdze

oraz Lipsku. Był w poselstwie kard. Stanisława Hozjusza do Rzymu. Kard. Hozjusz wysłał go również do Paryża z gratulacjami dla Henryka Walezego wybranego w 1573 roku królem Polski. Reszka został sekretarzem króla Henryka Walezego, a po nim również Stefana Batorego. W dowód zasług dla króla otrzymał opactwo jędrzejowskie. Ostatnie lata życia spędził w Neapolu, gdzie posłował w sprawie zwrotu pożyczki udzielonej przez królową Bonę królowi hiszpańskiemu.

Przepowiednie Reszki, odkryte dopiero w XVIII wieku, dotyczą symbolicznego spisu siedemnastu królów, którzy rządzić będą Polską od czasu Henryka Walezego. Lista opata Reszki zgadza się do czasów panowania króla Stanisława Augusta, zajmującego jedenaste miejsce. Co z pozostałymi?

Według prof. Bartłomieja Grocha i jego książki „*Książd Bronisław Markiewicz i jego dzieło oraz przepowiednie o przyszłości Polski*”, dwunastym królem (*Custos Vigilantiae* — stróż czujności) byłby Tadeusz Kościuszko; trzynastym (*Se ipse fortis* — sam dzielny) — gen. Henryk Dąbrowski; czternastym (*Civitas aliquod o ornamentum* — „Państwa jakaś ozdoba”) — przypomina Księstwo Warszawskie; piętnastym (*Alter Cracus* — drugi Krak) — Józef Piłsudski; szesnastym (*Patriae Sol* — słońce ojczyzny) — Jan Paweł II; siedemnastym (*Aequorum Occasus* — upadek królestwa) — czy jest nim prezydent Lech Wałęsa?

W przepowiedni łączy się z nim upadek monarchistyczno-dyktatorskiego rządu i rozkwit demokracji, a także — upadek władzy wszelkiego rodzaju i pojawienie się króla rządzącego na zasadzie absolutnej równości wszystkich, jako przywódca i patriarcha.

Warto dodać, że prof. Groch pisał swój komentarz do przepowiedni Reszki w 1938 roku, nie mając pojęcia, że na Stolicy Piotrowej zasiądzie papież Polak. Przypomnij-



my jeszcze, że na okres panowania ostatniego króla opat Reszka zapowiadał: „*Szczęśliwy król we wszystkim, do niego wróć Prusy, nakłoni się Pomorze, Niemcy milczeć będą, ożyje z popiołów Polska, Łotwa obawiać się będzie, Moskwa się zadziwi, Francja zobaczy, że bez cudzych pieniędzy umocni się i wzrośnie Polska*”.

W tym miejscu można jeszcze raz cofnąć się myślą do przepowiedni św. Malachiasza, który również widział Polskę silną i zjednoczoną, co jednak ważne, oglądał „Rosję jako maleńkie państwo, gdyż wszystkie inne narody, stanowiące zlep dzisiejszego kolosa — usamodzielnia się”. O Polsce tak pisał: „*Nieszczęśliwy, bohaterski naród. Zdradzony i opuszczony przez wszystkich przyjaciół i sojuszników, ponownie traci swą niepodległość. Lecz Polska powstając jak Feniks z popiołu, mężnie zrzuci pęta niewoli i stanie się jednym z mocarstw w Europie*”.

Nietrudno zauważyć, że większość proroctw o silnej i odrodzonej Polsce odnajdywało się lub wręcz powstawało w XIX wieku. Tak było między innymi z tekstami Wernyhory i księdza Marka. Owiewa je mistyczna atmosfera, w której doszło do zawiązania się Konfederacji Barskiej.

Przepowiednie Wernyhory są anonimowym utworem powstałym prawdopodobnie w latach 1808—1809 w środowisku polskim na Ukrainie. Wieszczba o narodzinach nowej Polski jest wypadkową ówczesnych wydarzeń politycznych (zwycięstwo Napoleona, powstanie Księstwa Warszawskiego), wzbogaconych później o dalsze elementy, aż do wybuchu i upadku powstania listopadowego. W tym kontekście można usytuować te przepowiednie, które „nie wróżą” nic dobrego Rosji. Zaliczyć można do nich słowa mnicha franciszkańskiego z klasztoru na Górze Synaj, który umierając w wieku 92 lat w 1840 roku wydał taką opinię: „*Rosya będzie widownią najokropniejszych czynów zdróżności! Okrutna rewolucya połowę ludno-*

*ści pochlonie!... Polska zostanie samosilną, wielką i potężną, należeć będzie do rzędu mocarstw Europy”.*

Wśród wielu innych przepowiedni przywołajmy jeszcze fragment najbardziej znanego tekstu, szeroko kolportowanego w polskim społeczeństwie, zwłaszcza w czasie II wojny światowej, o którym już wyżej pisałem. Chodzi o przepowiednię związaną z Mickiewiczem, a według St. de Valoisa z duchem poety przemawiającym przez medium podczas seansu w Tęgorozy w 1893 r. Spora część tej przepowiedni, zwłaszcza związana z II wojną światową sprawdziła się, podobnie jak i wybór Papieża Polaka: „trzy rzeki świata dadzą trzy korony pomazańcowi z Krakowa”. Według tego proroctwa, „Warszawa środkiem ustali się świata, lecz Polski są trzy stolice” oraz „sięga nasz orzeł aż po Morze Czarne”. Polskę „od morza do morza” zapowiadali też inni prorocy, m.in. biskup Cieplak w 1889 roku oraz wspomniany już Wernyhora.

Badanie i analiza historyczna przepowiedni są bardzo trudne. Wielu powątpiewa w ich autentyczność, kwestionuje autorstwo, ponieważ niemal w każdym przypadku brak jest tekstu źródłowego, pochodzącego w prostej linii od danego autora. Większość przepowiedni posiada różne wersje, symboliczny wydźwięk, wieloznaczność sformułowań. Tylko bardzo szeroka ich interpretacja pozwala ułożyć jako taki scenariusz przyszłych wydarzeń. Byłoby jednak błędem, gdybyśmy całkowicie odrzucali wszelkie przepowiednie i proroctwa. Wszak wiele z nich sprawdziło się dokładnie. Czy stało się to jedynie przez przypadek, czy też istnieje nieznan nam świat zjawisk całkowicie niewytłumaczonych i tajemniczych, wielka dziedzina metafizyki, niekoniecznie związana ze sferą nadprzyrodzoną. Istnieją przecież historie, które nic albo niewiele mają wspólnego z religią, są jednak w dużym stopniu zanurzone w sferę tajemniczych mocy.



październiku 1992 roku na słupach ogłoszeniowych w Moskwie pojawiły się ulotki zapowiadające przyjście Antychrysta (28 października) oraz powtórne nadejście Zbawiciela (31 grudnia). Metropolita Juwenalij, poproszony o komentarz w tej sprawie, oświadczył, że nikt nie uniknie Sądu Ostatecznego, niemniej takie przepowiednie należy pozostawić sumieniu przybywających do Rosji kaznodziejów, którzy pragną w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Pogłoskom o nadchodzącej apokalipsie przeciwstawiło się także stowarzyszenie zagranicznych misjonarzy chrześcijańskich; w wydanym oświadczeniu „szarlatanerią” nazwano rozpowszechnianie tego rodzaju plotek, niezgodnych z nauką chrześcijańską.

Podobny koniec świata zapowiedziano w tym samym czasie w Korei. M.in. Kościół Misyjny Davera oczekiwał Armageddonu 10 października, a wyznawcy sekty Dami — 28 października. Jak zapowiadali przywódcy sekty, „o północy tego dnia otworzy się niebo i w złocistej poświacie ukaże się Pan. Wówczas wierni, kórzy wiedli życie bezgrzeszne lub na czas pokajali się za grzechy, dostąpią wniebowstąpienia i cieszyć się będą wieczystą radością. Dla pozostałych dzień ten będzie początkiem siedmiu lat wojny, głodu, trzęsienia ziemi i innych plag, po których niewielu pozostanie przy życiu”.

W Seulu, w związku z zapowiedzianym końcem świata, blisko 20 tys. osób oczekiwało otwarcia się nieba. Wielu z nich porzuciło wcześniejszą pracę, zamknęli się w kościołach albo uciekło w góry. Przedtem wszyscy spisali testamenty. Były przypadki samobójstw.

Członkowie sekt wywodzą się z niższych warstw społecznych, żyją w bardzo ciężkich warunkach, są prostoduszni i niesłuchanie podatni na elokwencję duszpasterzy, którzy obiecują im łatwą drogę ucieczki i wyzwolenia — ocenił sytuację pewien katolicki ksiądz z Seulu.

Koniec świata oczywiście nie nastąpił, niebiosa pozostały zamknięte, choć wiele kamer telewizyjnych wycelowanych w niebo śledziło z uwagą poruszające się gwiazdy. „Bóg nas okłamał” — mówili potem zawiedzeni ludzie. Policja aresztowała przywódcę sekty Dami, oskarżając go o wyłudzenie od wiernych blisko 5 mln dolarów, które ulokował na obligacjach (data realizacji obligacji przypada po 1995 roku).

Podobne przypadki zdarzać się będą coraz częściej, ponieważ rzeczywiście wzrasta prawdopodobieństwo końca świata.

Jedną z przyczyn myślenia o zagładzie życia jest nasilenie katastrof naturalnych. Bywają dni, że w USA szaleje tornado, Gruzję nawiedza powtórne trzęsienie ziemi, cyklon niszczy Bangladesz lub Filipiny, opady deszczu pustoszą Francję i Włochy...

Czy to spiętrzenie się katastrof ma jakieś przyczyny, czy to jedynie zbieg okoliczności? W latach sześćdziesiątych w wyniku katastrof naturalnych ucierpiało 186 milionów ludzi, dziesięć lat później — 583 miliony, a w minionej dekadzie już 1,3 miliarda. Każda nowa eksplozja sił przyrody zbiera coraz obfitsze żniwo.

Z pewnością przyczyną większej liczby ofiar jest osiedlanie się ludzi na terenach zagrożonych katastrofami, w dolinach rzek ogarnianych powodzią, na brzegach

mórz, gdzie szaleją cyklony, na zboczach gór... Ludzie żyją tam w byle jak skleconych domach, dlatego skutki są tak dotkliwe. Rzecz dotyczy także trzęsień ziemi. Często bowiem władze wielu krajów nie respektują norm budowlanych zgodnych z przepisami antysejsmicznymi. Na przykład dopiero po trzęsieniu ziemi w stolicy Meksyku władze metropolii natychmiast zastrzyły normy budowlane. Co będzie, jeśli poruszą się niektóre regiony Europy, zwłaszcza leżące nad Morzem Północnym oraz Atlantykiem? Pamiętamy, że w 1755 roku legła w gruzach Lizbona. Zginęło 35.000 mieszkańców stolicy Portugalii. Większość z nich utonęła w wywołanej wstrząsami 15-metrowej fali atlantyckiej, która wdarła się na ląd.

Nie drzemią również wulkany. W ich sąsiedztwie żyje około 350 milionów ludzi. Nie tyle od samej erupcji gazów, ile lawin błotnych, ginie co jakiś czas tysiące osób. Tych sił przyrody poskromić się nie da. Można jednak je przewidzieć, a przede wszystkim nie pomagać im. Na przykład monsunowe powodzie w Indiach, Nepalu, Buthanie czy Bangladeszu są wywołane wycięciem lasów na stokach Himalajów. Goła ziemia nie potrafi już pochwyć potoków wody, która porusza masy gruntu i zamienia się w błotną lawinę.

Nie chciałbym już w tym momencie przywoływać innych zagrożeń, które czyhają za progiem, które mogą w każdej chwili przynieść samozagładę człowiekowi i światu. Ta książka nie miała być krakaniem o nadejściu potopu, głodu czy wybuchu nowych wojen. Jednak trudno uniknąć konkluzji, że skala zagrożeń urosła do rozmiarów apokaliptycznych. Kończąca się epoka, czy tego chcemy czy nie, wzbudzi falę dekadentyzmu, a także podnieci umysły wizją zbliżającego się końca świata. Tyle przecież znaków dokonało się właśnie teraz. Jednym z nich był upadek komunizmu, zawalenie się systemu,

który obiecywał raj na ziemi, miał być owym biblijnym tysiącletnim królestwem.

Wraz z upadkiem molocha zła pojawiły się problemy, które przerastają możliwości rozwiązania ich przez współczesne państwa. Choć jednoczy się Europa Zachodnia, na Bałkanach trwa okrutna wojna, której podłożem jest etniczna nienawiść. Choć w państwach Europy Środkowo-Wschodniej oraz w byłym ZSRR odrzucono teorie walkę z Bogiem, ludzie wcale nie czują, że mogą w sposób wolny praktykować wiarę. Chrześcijańskie wartości wyszły z modality i ośmieszają jakby to były jedynie cudowne marzenia i legendy. A przecież, co wyraził Chesterton, „kiedy ludzie przestają wierzyć w Boga, nie wierzą już w nic, wierzą w cokolwiek”.

To prawda, obecny masowy rozwój sekt i wyznań jest dowodem na taką wiarę w cokolwiek. Czy ludzie wyjałowieni z wartości mogą ocalić Ziemię?

Istnienie świata jest zagrożone jak nigdy dotąd. Zegarowa bomba zaczęła odmierzać czas i chyba nie jesteśmy w stanie jej zatrzymać. Jedynie można złagodzić pewne tragiczne objawy, można na lęki i frustracje spojrzeć przez pryzmat zapowiedzianego końca, który nie będzie końcem wszystkiego, a jedynie za boskim przyzwoleniem totalną zmianą stanu bycia, przejściem z życia w materii do życia w stanie niemożliwym w tym momencie do opisania. *„Bóg otrze z oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie, ani żaloby, ni krzyku, ni trudu, bo pierwsze rzeczy przeminęły. I rzekł zasiadający na tronie: Oto czynię wszystko nowe”* (Ap 21).

Spoglądając na czekającą świat katastrofę nie można zapominać o chrześcijańskiej wizji tych spraw. „Ludzkość, to kolos na glinianych nogach” — mawiał Teilhard de Chardin, dlatego, jak pisze ten uczony teolog i przyrodnik, „im uważniej wpatrywałem się w tę sferę ludzkiej aktywności, tym bardziej oczywiste stawało się dla mnie,

że wszystkie związane z nią wysiłki i nadzieje muszą się zbiegać w jakimś ognisku Bożym” (*Wybór Pism, Warszawa 1966, s. 363*).

Wszelkie próby przeniknięcia tajemnicy końca świata, czyli jakiegoś algebraicznego rozwiązania problemu są z góry skazane na niepowodzenie. Natomiast nie można pominąć faktu biblijnego, że Bóg stworzył człowieka na obraz swój i podobieństwo. Wynika z tego, że sam Bóg poprzez akt stworzenia głęboko „zakorzenił się” w człowieka i świat, wszedł niejako w naszą historię. To on ukierunkował nasz rozwój, poznawanie i usamodzielnienie. Sprawił, że byliśmy najpierw jak „majsterkowicze” w królestwie Jego wszechświata, by z biegiem czasu poczuć się niemal jak partnerzy Boga. Z pewnością koniec świata nie będzie zmarnowaniem tego długiego procesu rozwoju. Raczej należy mówić o ukoronowaniu dziejów. Apokalipsa, ta przerażająca wizja końca, oprócz boleści zadanej materii, ciału, będzie weselem ducha, to znaczy, dopełni się ludzka kondycja o ten wymiar, który istniał od początku, ale był zakryty przed oczami, istniał dostępny jedynie przez wiarę.

To nie stary świat się kończy — mawiał św. Augustyn — to nowy się zaczyna. Każdy koniec jest zawsze nowym początkiem.